

JEDNA DECYZJA, KTÓRA ZMIENIŁA W ICH ŻYCIU WSZYSTKO



AGNIESZKA
PIETRZYK

URLOP NAD MORZEM

Prószyński i S-ka

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

AGNIESZKA
PIETRZYK

URLOP NAD MORZEM

Prószyński i S-ka

Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2014
Projekt okładki
Irina Pozniak
Zdjęcie na okładce
© Irene Lamprakou/Trevillion Images
Redaktor prowadzący
Michał Nalewski
Redakcja
Ewa Charitonow
Korekta
Maciej Korbasiński
ISBN 978-83-7961-600-8
Warszawa 2014
Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Nie miał już ani chwili do stracenia. Wyjął siekiere, uniósł oburącz, ledwie czując własne istnienie, i prawie bez wysiłku, prawie machinalnie spuścił ją obuchem na głowę starej.

ZBRODNIA I KARA, FIODOR DOSTOJEWSKI

ROZDZIAŁ I

Strych był ogromny, dwukondygnacyjny. Na drugi poziom prowadziły drewniane schody bez poręczy, przypominające drabinę postawioną na ukos. Panował tutaj półmrok, bo przez cztery wąskie okna wpadało niewiele światła. Pod ścianami stały meble, nadgryzione przez czas, zupełnie jak starocie w sklepie z antykami. Pośrodku walała się sterta sienników, jeden na drugim, na których leżał duży obraz z wizerunkiem Matki Boskiej. Upiorne wrażenie robił stół bez blatu, otoczony krzesłami bez siedzeń. Szkielety mebli przeznaczone raczej dla duchów, a nie dla żywych ludzi, pomyślałam. Nad stołem wisiał ozdobiony suszkami z kwiatów wieniec ze słomy. Przesuwałam się wzdłuż mebli. Była tutaj i czarna szafa ze złotym lwem, przypominająca te gdańskie, i ciemny kredens z intarsjowanymi drzwiczkami, i toporna meblościanka z lat siedemdziesiątych.

Zatrzymałam się przed pokrytym warstwą kurzu witrażem, potarłam palcem jedną z szybek. Miałam nadzieję, że odświeżę kolor, ale brud wydawał się tworzyć ze szkłem nierozdzielną całość. Drgnęłam, gdy za moimi plecami z hukiem zamknęła się okiennica. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Podeszłam do okna i spróbowałam je otworzyć, ale wiatr napierał, uniemożliwiając mi to skutecznie. Przy kolejnym podmuchu okiennica odchyliła się nieco; pchnęłam mocniej, okno otworzyło się z trzaskiem, a na skórze poczułam zimny podmuch. Wychyliłam się i złapałam za okiennicę. Staralam się przytwierdzić ją do ściany, ale zrezygnowałam po chwili. Za krótkie ręce. To robota dla Marcina.

Byliśmy jedynymi gośćmi w tym pięknym, starym domu na Mierzei Wiślanej. Przyjechaliśmy do Sztutowa wieczorem poprzedniego dnia. Gdy zaparkowaliśmy na podwórku, było już ciemno. Wysiadłam z samochodu, zmęczona pięciogodzinną jazdą w deszczu, i natychmiast zaskoczył mnie wyraźny, jednostajny szum morza. Przecież dom stoi prawie kilometr od plaży... Tak czy inaczej, było to dopiero preludium do dzisiejszego ryku fal i wycia wiatru. Trafiliśmy na listopadowy sztorm. Kaśka nie zaczekała na nas, bo jej mama bała się jeździć nocą, i wyjechała wraz z rodzicami przed południem. Prawdopodobnie minęliśmy się gdzieś pod Poznaniem. Dostaliśmy esemesa z informacją, że klucz wisi na gwoździu pod daszkiem ganku, po prawej stronie, i przez pół godziny w zupełnych ciemnościach macaliśmy na oślep. Niestety, klucza nie było. Ręce rozboleły mnie od ciągłego trzymania w górze. Marcin, poważny kierownik wydziału komunikacji w urzędzie miejskim, klął jak szewc. Nie mógł sobie darować, że pół roku temu rzucił papierosy. Bo gdyby palił, teraz poświeciłby zapalniczką. Jakaś drzazga wbiła mi się pod paznokieć; syknęłam z bólu. Miałam już dzwonić do Kaśki, gdy przyszło mi do głowy, że to, która strona ganku jest prawa, zależy od punktu widzenia. Spróbowaliśmy na drugim krańcu ganku, gdzie dość szybko natrafiłam na duży klucz. Wisiał na haku zrobionym z wygiętego gwoźdźca.

Rozejrzałam się po strychu. Warstwy kurzu wskazywały, że Kaśka nie

zapoznała się jeszcze ze spuścizną po poprzednich lokatorach. To dobrze, poszperam sobie tutaj pierwsza! Uwielbiam stare strychy, z tymi ich wszystkimi skarbami codziennego życia. Myszkować pośród pudeł, szaf, szuflad, walizek, wyciągać stare książki, gazety, zdjęcia... A jaka radość, gdy trafi się na coś naprawdę cennego, niespotykanego! Tyle tu mebli, zakamarków... Zapowiada się ciekawie. I moja przyjaciółka nie powinna mieć pretensji; w końcu to nie jej osobiste ruchomości, lecz dawna własność zupełnie obcych ludzi.

Podeszłam do dużego białego kredensu z mlecznymi szybkami. Piękny, z mnóstwem szufladek i drzwiczek: na serwetki, na sztucce, na przyprawy, przegródka na solniczkę, pieprzniczkę, cukiernicę i na wiele innych drobiazgów. Wysuwałam i otwierałam, raz po raz, ale wszędzie było pusto. Zajrzałam do stojącej obok niskiej, wąskiej komódki i zobaczyłam trzy wyłożone ceratą półki. Na jednej leżało kwadratowe lustro. Przejrzałam się; pęknięta płaszczyzna groteskowo wykrzywiała moją zwyczajną twarz z cienkimi ustami i małym noskiem. Przymknęłam drzwiczki i podeszłam do wysokiej szafy z metalowymi, zdobionymi uchwytnymi. Otworzyłam. Zaskrzypiały zawiasy. Na dole stało zamknięte pudło, pokryte pajęczyną. Uchyliłam pokrywę: na wierzchu znalazłam duży słomiany kapelusz, pod nim lotnicze okulary i przykręcane łyżwy, a na samym dnie drewnianą rurkę z otworkami, przypominającą fujarkę, oraz obłożoną gazetą książkę. Odchyliłam okładkę. *W pustyni i w puszczy*, przeczytałam. Przerzuciłam kilka stron. Papier był szary, zadrukowany drobną, wyblakłą czcionką. Nagle mignęło mi coś jaśniejszego. Zaczęłam kartkować wstecz i znalazłam białą kartkę w linie. Poszarpany brzeg wskazywał, że została wydarta z zeszytu. Widniało na niej kilka wierszy równego pisma. Podeszłam do okna i zaczęłam czytać.

„Mam na imię Staś i mam dziewięć lat. Moja mama nazywa się Ania. Jej mąż nazywa się Karl i jest Niemcem. Moja mama nie żyje. Wczoraj zabił ją Karl. Uderzył ją siekierą w głowę. Biegłem zawiadomić sąsiadów, ale Karl mnie dogonił i zamknął na strychu. Siedzę tu od wczoraj. Myślę, że mnie też zabije. Słyszałem, jak całą noc rozwałił podłogę w piwnicy. Myślę, że pochowa tam moją mamę i mnie. Bardzo się boję. Najbardziej tego, że będziemy leżeć w niepoświęconej ziemi. Moja babcia mówiła, że człowiek powinien leżeć w poświęconej ziemi, czyli na cmentarzu, bo inaczej czeka go piekło. Piszę ten list, aby ktoś go przeczytał, znalazł nasze ciała w piwnicy i przeniósł je na cmentarz”.

Kartka zdrzżała, zawirowały równe litery. Przysiadłam na brzegu ogromnej skrzyni i zaczęłam ponownie, tym razem wolniej, żeby mój umysł zdążył odnaleźć właściwe znaczenie poszczególnych wyrazów i zdań. Przy drugim czytaniu treść listu wydała mi się jeszcze bardziej przerażająca. Na dole kartki widniała data: „6 listopada 1959”.

Wiatr z przejmującym świstem wciskał się na strych przez nieszczelne okna.

Było mi zimno. Palce miałam zgrabiące. Powinnam zejść na dół, siedziałam jednak jak zahipnotyzowana. Z miejsca poderwał mnie dopiero głośny trzask. Znowu ta okiennica! Muszę pokazać list Marcinowi, postanowiłam, on będzie wiedział, co zrobić.

Schodziłam ostrożnie po stromych schodach. Minęłam kalosze, poustawiane na stopniach jak na półkach. Gdzieś tutaj są oparte o ścianę wędki, niewidoczne w tych ciemnościach... W końcu natrafiłam ręką na zimną metalową klamkę. Wyszłam na korytarz.

Marcina znalazłam w kuchni.

– Myślałem, że nie ma cię w domu. Że poleciałaś podziwiać sztorm – powiedział na mój widok.

Był nieogolony, bosy, ubrany tylko w dzinsy. Stał przed kuchenką i rozbijał jajka wprost na patelnię. Woda syczała w czajniku.

– Kubki i herbata są w szafce nad lodówką – oznajmił.

Ani drgnęłam, więc raz jeszcze spojrzał w moją stronę.

– Co się stało? – zapytał.

Usłyszałam niepokój w jego głosie. Podałam mu kartkę.

– Znalazłam to na strychu.

– Ale masz brudne ręce! Gdzie ty je wkładałaś?

Mieszając jajecznicę, zaczął czytać.

Poszłam do łazienki. Długo trzymałam dłonie pod ciepłą wodą, potem wytarłam je starannie. Przesunęłam palcem po policzku. Znowu kurz.

Czajnik gwizdał. Długo, głośno. Dlaczego on go nie wyłącza?

Wróciłam do kuchni, gdzie mój mąż właśnie nakładał jajecznicę na talerze. Przekręciłam kurek od gazu i wyjęłam z szafki dwa niebieskie kubki. Przesunęłam wzrokiem po kilkunastu kolorowych kartonikach.

– Co za herbaciany raj! – stwierdziłam i zaczęłam czytać napisy na pudełkach.

– Czarna z imbirem, czarna earl grey, zielona z malinami, zielona z pigwą, herbata z suszu owocowego na bazie hibiskusa, rosyjska karawana...

– To nie żaden raj, tylko chaos – skomentował Marcin.

– To co pijemy?

– Ta rosyjska karawana... Co to jest?

– „Wyjątkowa mieszanka chińskich herbat Keemun o tradycyjnym smaku, lekko wędzonym”...

Skrzywił się.

– Może wypijemy czarną z imbirem? Rozgrzeje nas – zaproponowałam.

Zgodził się.

Miałam już nasypać herbatę do kubków, gdy na najwyższej półce dostrzegłam dzbanek. Duży, niebieski, z długim dziobkiem i spiczastą pokrywką. W sam raz na napar.

Marcin siedział już przy stole i jadł jajecznicę. Zajęłam miejsce naprzeciwko. Co chwila podnosiłam głowę znad talerza i rozglądałam się po kuchni. Makatka przedstawiająca żółte tulipany dobrze komponowała się z miodowej barwy kredensem, na którego rogu stała karafka. Smukłe naczynie z mlecznego szkła już wczoraj zwróciło moją uwagę. Szkoda, że wyszły z użycia, pożałowałam. Na stole prezentują się o wiele gustowniej niż butelki i chyba nawet lepiej się z nich nalewa, bo miewają uchwyty. Jak ta tutaj.

Obok karafki leżał znaleziony list. Biel naczyń i kartki, miodowe tło kredensu. Martwa natura godna pędzla holenderskiego mistrza.

– To potworne – powiedziałam, wskazując palcem.

– Jak na niego trafiłaś? – zapytał Marcin.

– Szperałam w starych meblach na strychu. W szafie była książka w okładce z gazety. A w niej list.

– Kaśka ci pozwoliła?

– Nie pytałam o zgodę.

– Ja tam bym nie chciał, żeby ktoś szperał w moich szafach. A co, jeśli powiedziałyby nie?

– Ale ja tak lubię szperać! Wiesz, ile ciekawych rzeczy kryje się na takim starym strychu? Kiedyś z moją kuzynką Alą... Pamiętasz Alę, prawda? Ta prawniczka z Olsztyna, była na naszym weselu.

– Ta chuda i blada?

– Właśnie ona. To z nią włamałam się kiedyś do starego opuszczonego domu. Znalazłyśmy tam superfanty! Nawet kilka butelek po piwie, z niemieckimi etykietkami.

– No super! Znaleźć puste butelki po niemieckich turystach, to dopiero coś – powiedział uśmiechnięty Marcin z udawanym uznaniem.

Uśmiechnęłam się również.

– No co ty? Przecież te butelki były jeszcze sprzed wojny, browar Waldschlösschen czy jakoś podobnie. Ale to nie wszystko. Znalazłyśmy jeszcze metalowe pudełko po prezerwatywach, też stare i niemieckie. I co ty na to, ja się pytam?

– Masz je jeszcze?

– Nie. Alą je wzięła.

Marcin podniósł pokrywkę dzbanka, powąchał zawartość i napełnił herbatą dwa kubki. Kuchnię wypełniła przyjemna woń imbiru.

– Naprawdę myślisz, że w piwnicy zakopano zwłoki kobiety i dziecka? – zapytałam, wskazując ponownie na list.

– Nie wiem. A co Kaśka? Mówiła ci coś o poprzednich właścicielach?

– Wspominała, że kupiła dom od dwóch sióstr, dwóch starszych pań. Jedna mieszkała tutaj z mężem, a gdy ten umarł, wspólnie postanowiły sprzedać dom.

Marcin pierwszy skończył jajecznicę. Odłożył widelec.

– Idę na strych – oznajmił. – Gdzie leży ta książka?

– Na podłodze. Przed otwartą szafą.

Stojąc, dopijał herbatę.

– Aha, okiennica na górze lata we wszystkie strony. Przymocuj ją! – zawołałam, gdy już wychodził.

Wstawiłam talerze do zlewu i z kubkiem herbaty w dłoniach usiadłam na wprost okna. Wpatrywałam się w samotnie rosnącą wierzbę. Wiatr miotał nią jak cienką witką. Grube drzewo gięło się wpół, bijąc ziemi pokłony. Prostowało się dumnie, by zaraz odchylić się w przeciwną stronę.

Marcin wrócił po kilku minutach z książką. Na nagi tors narzucił polar. Dolał sobie herbaty z dzbanka.

– Nie da się umocować okiennicy – powiedział, upijając łyk. – Uchwyt się zepsuł.

Zaczął odwijać książkę z gazety. Stary, cienki papier odchodził płatami.

– Z którego jest roku? – zainteresowałam się.

– Właśnie próbuję to ustalić. Jeżeli ukazała się później niż data na liście, mogłoby to oznaczać, że chłopiec przeżył ten dzień.

Odłożył jeden skrawek gazety i wziął kolejny. Obejrzał go z dwóch stron, położył na stole i palcami delikatnie wygładził zagięcia. Zobaczyłam, jak unosi brwi ze zdziwienia.

– Co tam znalazłeś?

– Wygląda na to, że mały Staś lubił ponure żarty...

Zaczął czytać głośno.

– „Wczoraj przed wiedeńskim sądem stanął Max Gufler, zwany Sinobrodym z Tyrolu. Ten poczciwie wyglądający mężczyzna przyznał się do zabicia trzech kobiet. Oskarżono go jednak o pozbawienie życia aż dziesięciu narzeczonych i przywłaszczenie sobie ich wszystkich oszczędności. Gufler zawsze działał według tego samego schematu. Najpierw wyszukiwał w ogłoszeniach matrymonialnych anons samotnej wdowy i prowadził z ofiarą ożywioną korespondencję. Potem spotykali się i rozpoczynali przygotowania do ślubu, podczas których on mordował narzeczoną. Jako pierwszą – pięćdziesięcioletnią prostytutkę z Wiednia, która postanowiła zerwać ze swoją profesją i rozpocząć uczciwe życie. Dała więc ogłoszenie do rubryki matrymonialnej. Miała pecha, bo zainteresował się nią właśnie Gufler. Kobietę znaleziono martwą w jej mieszkaniu w wiedeńskiej dzielnicy domów publicznych. Zabójca zadał jej szereg ciosów w głowę, prawdopodobnie siekierą. Mieszkanie kobiety splądrowano. Ponieważ w Austrii kara śmierci została zniesiona, Sinobrodemu z Tyrolu grozi jedynie dożywocie”.

Marcin rzucił skrawek gazety na stół.

– Max Gufler zabijał, uderzając siekierą w głowę – powiedział. – A Staś

napisał to samo o Karlu. Czy to przypadkowe podobieństwo?

Musiałam przyznać, że taki artykuł mógł rozbudzić wyobraźnię dziewięcioletniego chłopca i zainspirować go do napisania makabry. Mimo to pokręciłam przecząco głową.

– W tym liście czuć autentyczne przerażenie – stwierdziłam. – Nie mów, że tego nie widzisz.

Marcin wstał. Myślałam, że nie chce już ciągnąć tematu, ale on podszedł do kredensu. Wziął kartkę i położył ją przede mną.

– Zobacz, jakie równe są wersy, jak staranne litery. Ręka mu na pewno nie drżała podczas pisania. Czy to robota roztrzęsionego, wystraszonego małego chłopca?

Przypomniałam sobie, jak sześć lat temu podpisywałam zgodę na operację Gabrysi. Lekarz podsunął mi kartkę i włożył w dłoń długopis. Miałam wrażenie, że moja dłoń wcale nie jest moja, nie miałam nad nią władzy. Z trudem stawiałam koślawe litery.

– Idę się ogolić, a potem prędko nad morze, powdychać jod – powiedział Marcin, całując mnie w czubek głowy. – Nie myśl już o tym – rzucił jeszcze, wychodząc z kuchni.

Zgniotłam skrawek brudnej, pożółkłej gazety, potem kolejny. Już miałam zamienić w papierową kulkę również list, zawahałam się jednak. Przeczytałam ostatnią linijkę.

„Piszę ten list, aby ktoś go przeczytał, odnalazł nasze ciała w piwnicy i przeniósł je na cmentarz”.

Włożyłam kartkę do książki, resztki książkowej obwoluty wyrzuciłam do kosza i wyszłam na korytarz. Otworzyłam drzwi na strych i zaczęłam powolną wspinaczkę po schodach. Postanowiłam jeszcze trochę poszperać. Może znajdę materialne dowody, które zaprzeczą makabrycznej treści? Pożółkłe ze starości świadectwo szkolne na dnie jakiejś szuflady albo widokówkę wysłaną przez Stasia do domu z kolonii? Data na takim dokumencie wyjaśniałaby wszystko.

Stałam na pierwszej kondygnacji poddasza, pośród szaf, komód, kredensów, skrzyń, kufrów i krzesel. Wiele mebli było okaleczonych: jakieś krzesła pozbawione nóg, jakiś stół bez blatu, komódka strasząca dziurą po szufladzie. Miałam wrażenie, że wszystkie te starocie podtrzymują się nawzajem, tworząc w ten sposób jeden organizm. Niski regał wspierał szczyt wielkiej szafy, olbrzymia skrzynia dociskała kredens do ściany, o małą etażerkę opierał się fotel, a o fotel wsparty był parasol. Nigdzie choć skrawka wolnej przestrzeni, w każdym miejscu stykające się graty. Gdyby tak wyjąć bodaj jeden, reszta zaczęłaby się przemieszczać i rozsypywać... Nawet zniknięcie parasola sprawiłoby, że cała ta graciarnia utraciłaby stabilność. Podeszłam, zawahałam się chwilę, ale kopnęłam starą umbrelkę. Upadła na deski, wznosząc siwy obłok kurzu. Nic ponadto, rupiecie

pozostały na miejscach. Nieruchome, wielkie, z wycelowanymi we mnie ostrościami kantów. To nie przytulny stryszek z antykami, lecz upiorne cmentarzysko...

Rozejrzałam się za biurkiem. Stało wciśnięte między dużą skrzynię a wąski regał na książki. Dojście do niego zagradzała sofa, na szczęście niska, pozwalająca na dostęp do dwóch szuflad. Przykłękłam na niej i poczułam, jak pod moim kolanem uginają się sprężyny. Złapałam za gałkę i pociągnęłam. Pierwsza szuflada nie drgnęła. Szarpnęłam mocniej. Wysunęła się z nieprzyjemnym zgrzytem; zupełnie jakby ktoś pocierał kawałkiem styropianu o szkło. Była pusta. Nie mogłam jej zamknąć, coś się zablokowało, zostawiłam więc uchyloną.

Otworzyłam kolejną. Też pusta.

Rozejrzałam się ponownie i tym razem moją uwagę zwróciła duża czarna komoda z czterema szufladami. Na blacie były wydrapane trzy litery: SOS. Wyobraźnia podsunęła mi obraz małego roztrzęsionego chłopca, ryjącego zardzewiałym gwoździem sygnał alarmowy, rozpaczliwe wołanie o pomoc. Zadygotałam. Jak bardzo ten Staś musiał się bać! Wiedział, że mama nie żyje, że jego czeka ten sam los... Czy próbował ukryć się przed Karlem w którejś z tych szaf?

Otworzyłam pierwszą szufladę w komodzie; dno pokrywała jedynie warstwa kurzu. Druga i trzecia również były puste, w czwartej znalazłam stary czepek kąpielowy.

Spojrzałam na wąskie, strome schody prowadzące na kolejny poziom strychu. Zaczęłam się wspinać, ostrożnie, bo nie było poręczy, a ja mam problemy z błędnikiem. Na górze powitało mnie zimno; szyby drżały od silnych podmuchów wiatru. Znajdowało się tutaj mniej mebli, i nic dziwnego, przecież wtarganie ich po drabiniastych stopniach byłoby kłopotliwe. Pośrodku stało metalowe łóżko, pod jedną ze ścian kufer i szafka, pod drugą stylowa ława, sanki, kilka pudeł i długa półka. Na podłodze wałały się porozrzucone puste worki, sznurki, kawałki papieru. Coś wisiało w rogu. Podeszłam bliżej. Warkocz czosnku i wianki ziół. Przykucnęłam przed kufrem. Kiedyś musiał uchodzić za całkiem elegancki – czarna skóra, metalowe okucia, blaszka z datą 1936 – teraz jednak przez popękane okrycie przeświecały deski. Podniosłam wieko i w środku zobaczyłam zwiniętą czarną tkaninę. Ujęłam ją w dwa palce. Worek, w którym najwyraźniej coś się znajduje! Wysypałam zawartość. Na podłogę z chrzęstem wypadły krzyże w rozmaitych kolorach i rozmiarach. Podniosłam największy, mosiężny, z wizerunkiem Chrystusa. Nagi Jezus, z odchyłoną do tyłu głową i uwypuklonymi mięśniami, wyglądał bardzo realistycznie. Nie jak Bóg, lecz jak cierpiący człowiek. Kolejny krzyż, drewniany, prosty, poczerniały ze starości. Włożyłam go z powrotem do worka i sięgnęłam po następny. Teraz na mojej dłoni leżał mały krzyżyk z bursztynu, przeznaczony do noszenia na szyi; schowałam go do kieszeni.

Zapatrzyłam się na kolorowy porcelanowy krzyż i czarny krzyż z białą obwódką. Podniosłam ten drugi. Na przecięciu widniała swastyka, na dolnym ramieniu rok: 1939.

Usłyszałam kroki, ciężkie i powolne. Ktoś chodził poniżej.

– Marcin?! – zawołałam.

Brak odpowiedzi. Na dole znów z hukiem trzasnęła okiennica.

– Marcin, to ty?! – wrzasnęłam ponownie.

Kroki ucichły, a ja poczułam niepokój. Z krzyżem w dłoni zbliżyłam się do schodów i spojrzałam w dół, ale w zasięgu wzroku miałam tylko stertę sienników z leżącym na jej szczycie obrazem Matki Boskiej. Na malowidło padł cień i po chwili zobaczyłam Marcina. Był w kurtce i butach.

– Dlaczego się nie odzywałeś, kiedy wołałam? – zapytałam ostro.

W odpowiedzi usłyszałam śmiech i krótkie pytanie:

– Co, miałaś cykora?

Byłam na niego zła. Dobrze wiedział, że nie lubię takich żartów.

– Złaż. Idziemy nad morze – powiedział.

– Wejdz po mnie. Sama nie dam rady, jest zbyt stromo.

Ruszył po schodach. Stopnie skrzypiały pod jego ciężarem. Gdy stanął przede mną, wyciągnęłam rękę z czarno-białym znaleziskiem.

– Zobacz.

Marcin oglądał krzyż, obracając go w palcach.

– Ciekawe, czy jest oryginalny? Trochę zbyt dobrze wygląda... – mruknął pod nosem.

– To jakaś odznaka?

– Aha. To nazistowski Krzyż Żelazny, przyznawany za męstwo na polu walki – wyjaśnił.

Zaczęłam głośno analizować:

– Staś napisał, że mąż mamy jest Niemcem i ma na imię Karl. A więc ten krzyż mógł należeć do niego. Za co go dostał, ja się pytam? No, za co? Za mordowanie kobiet i dzieci? Przecież oni głównie tym się zajmowali. A skoro robił to podczas wojny, po wojnie mógł również.

Marcin oddał mi krzyżyk.

– Powiedz Kaśce, żeby wystawiła go na Allegro. Powinna dostać dobrą cenę.

Powkładałam krzyże do worka, worek schowałam do kufra. A później, trzymając się kurczowo mężowskiego ramienia, zeszłam po stromych schodach.

ROZDZIAŁ II

Masy brunatnej wody, ozdobione białymi grzywami, pędziły w stronę lądu. Gdy fale rozbiły się o brzeg, na moją twarz spadały słone krople. Od kilku minut wpatrywałam się w rozszalałe morze. Ten widok wprawiał mnie w trans. Dopiero gdy Marcin złapał mnie za ramię i obrócił w stronę wydm, odzyskałam kontakt z rzeczywistością. Zobaczyłam w jego ręku cyfrówkę i wycelowany w siebie obiektyw.

Szliśmy wzdłuż plaży. Pod butami pękały muszelki. Ściągnęłam mocniej sznurki kaptura, żeby nie zerwał mi go wiatr. Przed nami widać było dziewczynę z gołą głową, która dłońmi zasłaniała uszy. Minął nas biegnący mężczyzna; przez ułamek sekundy widziałam czerwoną od wiatru twarz. Sztormowa pogoda przyciągnęła wielu spacerowiczów. Wszyscy wyglądali na zmarzniętych.

Kolejny silny podmuch niemal zatrzymał mnie w miejscu. Skręciłam w stronę wydm. Usiadłam na konarze, tyłem do wiatru. Pochyliłam się i otwartymi ustami łapałam zimne powietrze. Marcin dołączył do mnie.

– Wracamy? – zapytał po dobrej chwili.

Skinęłam potakująco głową.

Ruszyliśmy w drogę powrotną środkiem plaży, bo fale stawały się coraz bardziej niebezpieczne. Wydawało się, że zaraz dosięgną naszych stóp. Ale im dalej od morza, tym słabszy był huk fal. Teraz dominował szum lasu. Co jakiś czas docierał do nas trzask pękających gałęzi. Stare drzewa nie wytrzymały naporu wichury.

– Napalimy w kominku? – zaproponował Marcin, gdy weszliśmy do domu.

W pokojach było ciepło, ale od razu przystałam na tę propozycję – miałam ochotę posiedzieć z książką przy trzaskającym ogniu. Za kominkiem znaleźliśmy wysuszone drwa, z których ułożyłam sporawy stosik na palenisku. Pomiedzy szczapy wcisnęłam kawałek gazety. Marcin podał mi zapalki. Potarłam. Gdy błysnęła, przyłożyłam ją do papieru. Cienki język ognia pełzył po szczapach, a ja czułam ciepło ognia na twarzy. Po dwóch minutach odsunęłam się. Zaczynało parzyć.

– Zobacz, co znalazłem w kredensie. – Marcin podsunął mi pod oczy smukłą brązową butelkę, obciążoną złotą siatką i dodatkowo obwiązaną czerwoną tasiemką.

Pod kokardką znajdował się biały kartonik. Wyjęłam go i zobaczyłam drobne pismo Kaśki.

– „Beatko, właśnie trzymasz w ręku rum z Dominikany, przywieziony przeze mnie w te wakacje słynny Brugal Añejo. Można pić sam albo z jakimś dodatkiem. Na listopadowe zimno będzie pasował na gorąco, z herbatą”.

Kaśka dorysowała jeszcze uśmiechniętą buźkę i dwa kieliszki. Pokazałam rysunek Marcinowi.

– Pijemy z herbatą czy na czysto? – zapytał.

– Z herbatą, rzecz jasna – odparłam.

Pięć minut później na kwadratowym stoliku przed kominkiem stanęła taca z filiżankami i dzbankiem. Po dolaniu rumu do naparu zapachniało słodko. Piliśmy, siedząc naprzeciwko siebie w dużych fotelach. Zapatrzyłam się w ogień. Miło. Gdyby tak codziennie...

– Chciałbyś mieć taki dom? – Spojrzałam na męża. – Ogromna sypialnia, duża kuchnia i kominek... Chciałbyś?

– Jasne.

– To dlaczego nie ożeniłeś się z Kaśką, tylko ze mną?

– Bo ona kupiła ten dom, jak już byliśmy małżeństwem. Gdyby miała go wcześniej, kto wie?

– Ja pytam poważnie.

– A ja poważnie odpowiadam.

Zawsze obracał w żart moje pytania o ich związek. Kaśka, zagadywana na ten temat, reagowała podobnie.

Przechyliłam dzbanek. Resztką herbaty wąskim strumieniem spłynęła do filiżanki.

– Może coś zjemy? – zaproponował Marcin.

Skrzywiłam się na myśl, że miałabym pójść do kuchni.

– Ja mam urlop – powiedziałam błagalnie.

– Ja też, ale się poświęcę i trochę pokucharzę. Co powiesz na placki ziemniaczane?

Zgodziłam się. Odstawiłam filiżanki i dzbanek na tacę, którą wręczyłam Marcinowi.

– No już, do garów – rozkazałam słodko.

Wyszedł.

Przyniosłam sobie z sypialni powieść Mankella *Mężczyzna, który się uśmiechał*, zagłębiłam się ponownie w fotel i zaczęłam czytać, ale nie mogłam się skoncentrować. Przymknęłam książkę i spojrzałam na rok wydania. 2007. Myślałam, że to nowsza rzecz...

Tuż nad moją głową rozległo się nagle brzęczenie muchy. Kaśka słusznie nas przed nimi przestrzegała! Sporo ich tutaj. Najwyraźniej pochowały się w domu przed jesiennym chłodem. Powciskane gdzieś między deski, potrafią przetrwać w stanie anabiozy nawet do wiosny, wystarczy jednak pomieszkać przez kilka dni, a obudzone wyższą temperaturą zaczynają wychodzić z zakamarków.

Spojrzałam na leżącego na kolanach Mankella, potem znów w ogień. *W pustyni i w puszczy*. Tak, to ta powieść i zamknięty w niej list nie dawały mi spokoju! To nie mogła być lektura Stasia – przerabiałoby się ją kiedyś w wieku dwunastu lat, a on miał ich zaledwie dziewięć! Może czytał Sienkiewicza dla

przyjemności, a nie z obowiązku? A może jej wcale nie czytał i po prostu schował list do pierwszej znalezionej na strychu książki?

Marcin włączył w kuchni radio. Odłożyłam kryminał i wstałam.

– Pomóc ci? – zapytałam, wchodząc do kuchni.

Właśnie obierał ziemniaki.

– Nie, nie trzeba. Pozwól mi się wykazać – powiedział, nie odwracając się.

Zabrany z poddasza egzemplarz lektury leżał na kredensie, obok kryształowej karafki. Wzięłam go i zawróciłam do pokoju. Ogień w kominku przygasał, dorzuciłam więc kilka drewna, usiadłam w fotelu i otworzyłam książkę. Wydana w 1956 roku, trzy lata przed napisaniem listu... Przekartkowałam kilkadziesiąt stron z nadzieją, że znajdę na marginesie jakiś sporządzony ręką Stasia zapisek. Kilka banalnych słów, które jednak przekonają mnie, że historia o morderstwie została wymyślona. Przestałam na dziewięćdziesiątej szóstej stronie; wyglądało na to, że Staś był grzecznym chłopcem i nie mazał po książkach.

Wzięłam do ręki list, z postanowieniem, że przeczytam go ponownie, tym razem bardzo uważnie. Może znajdę to jedno słowo, które podważy makabryczną treść?

W mojej głowie kotłowały się pytania. Dlaczego Karl nie zabił Stasia od razu? Czy sąsiedzi zauważyli zniknięcie kobiety i dziecka? Czy nauczyciele zainteresowali się zbyt długą nieobecnością chłopca w szkole? A może domniemane morderstwo zostało już odkryte pół wieku temu, Karl skończył w więzieniu, Stasia zaś i jego mamę już dawno przeniesiono na cmentarz? A może były to czasy, kiedy zniknięcie całej rodziny nie budziło niczyjzego zdziwienia? No, ewentualnie strach, który kazał ludziom siedzieć cicho.

Schowałam list do książki i wyszłam na korytarz. Miałam przed sobą troje zamkniętych drzwi, z dużymi mosiężnymi klamkami. Pierwsze prowadziły na strych. Za drugimi znajdowała się niewielka komórka z mnóstwem półek. Gdy otworzyłam trzecie, owionęło mnie zimne piwniczne powietrze i zobaczyłam biegnące w dół strome schody bez poręczy. Zaczęłam ostrożnie schodzić po skrzypiących deskach, aż wreszcie stanęłam na ceglanej podłodze; również z cegieł wymurowano ściany i sufit. Piwnica była duża i ciemna, z jednym oknem w połowie zasłoniętym deską. Pod oknem stał stary rower bez siodełka. Dotknęłam kierownicy, do moich palców przykleiła się pajęczyna. Zajrzałam do stojącej w rogu dużej drewnianej skrzyni. Kilka kawałków węgla. Nic więcej.

Przyjrzałam się posadzce. Przesuwałam się po niej powoli, metodycznie, szurając pantoflami po równo ułożonych cegłach. Żadnej nie brakowało, żadna nie wystawała ponad pozostałe. Wszystkie tak samo pociemniałe. Gdyby ktoś przed pół wiekiem wymienił kilka, prawdopodobnie różniłyby się one od tych położonych sto lat temu żywszym odcieniem.

Pozałowałam, że przed zejściem do piwnicy nie włączyłam światła, ale

podeszłam do okna i złapałam za deskę. Gdyby udało mi się ją wyciągnąć, w piwnicy zrobiłoby się jaśniej, deska jednak tkwiła jak wmurowana. Cóż, pomyślałam i powróciłam do lustrowania ceglanej posadzki. Pod ścianą naprzeciwko okna dojrzałam ciemną plamę. Przejechałam po niej butem, postukałam obcasem. Warstwa ziemi, a pod nią równo poukładane cegły. Nie, Karl musiał wybrać miejsce, które nie rzuca się w oczy zaraz po wejściu do piwnicy. Może w rogu, gdzie teraz stoi skrzynia, albo pod schodami? Gdy weszłam pod schody, serce zabiło mi szybciej: tutaj posadzka była nierówna, a niektóre cegły tkwiły w niej na sztorc...

Prawie nic nie widziałam, więc pochyliłam się i przystąpiłam do badania rękami. Znajdowałam cegły długie i gładkie, pomiędzy nimi czułam ich połówki; wreszcie trafiłam na miejsce, gdzie brakowało co najmniej trzech. Przesunęłam się na kolanach i dotknęłam powierzchni będącej litą całością, odcinającą się od reszty jaśniejszą barwą. Cement! Ktoś wylał tutaj cement! Niedużo, bo zaledwie na szerokości trzydziestu centymetrów i długości trochę ponad pół metra. Ktoś, komu bardzo zależało na uzupełnieniu ubytku...

Wstałam i otrzepałam dłonie. Serce waliło mi jak oszalałe. Chciałam biec do Marcina, zawiadomić go o odkryciu, a jednak tego nie zrobiłam. Instynktownie czułam, że mój mąż będzie próbował powstrzymać mnie od dalszych kroków. Postanowiłam zatem działać samodzielnie.

Na dygoczących z podniecenia nogach, prawie na czworakach, pokonałam strome piwniczne schody. W kuchni nadal grało radio. Po cichutku włożyłam kurtkę i wymknęłam się z domu. Podtrzymując kaptur na głowie, poszłam pod wiatr, do pobliskiej szopy. Okazała się zamknięta tylko na skobel, więc bez trudu otworzyłam niskie drzwi. Mimo wszystko zawahałam się, zanim wkroczyłam do środka. Drewniana konstrukcja z każdym podmuchem wichury ugięła się, skrzypiąc głośno. Miałam wrażenie, że zaraz się zawali, grzebiąc mnie pod stertą spróchniałych desek... Szybko odszukałam potrzebne mi narzędzia; na długiej, szerokiej ławie pod ścianą znalazłam młotek i przecinak. Na widok białej w pieńki siekiery po plecach przeleciał mi dreszcz. Była stara, trzonek nosił wyraźne ślady zużycia. Niewykluczone, że właśnie nią Karl roztrzaskał głowę żony...

Już wychodziłam, gdy za drabiną dostrzegłam narzędzia ogrodnicze: łopaty, motyki, grabie, niektóre pokryte rdzą, inne całkiem nowe. Wzięłam najsolidniej wyglądający szpadel i czym prędzej opuściłam szopę.

Wiatr natychmiast zerwał mi kaptur.

Zanim ponownie znalazłam się w piwnicy, odszukałam w korytarzu włączniki światła i nacisnęłam trzeci w kolejności. Nic. Zatem drugi. Udało się! Pod ceglanym sufitem rozbłysła żarówka.

Weszłam na pierwszy stopień i zamknęłam za sobą drzwi. Podpierając się

szpadlem, sprawnie pokonałam stromiznę. Na dole oparłam go o ścianę i uzbrojona w przecinak i młotek wsunęłam się pod schody. Postanowiłam kuć blisko cementu. Włożyłam metalowy pręt między cegłę a jasną plamę i uderzyłam. Raz za razem, tak zapamiętałam, że nie usłyszałam otwierających się drzwi.

– Beata, co ty robisz? – zawołał Marcin ze szczytu schodów.

Wyprostowałam się. Byłam trochę zziębnięta, ale złapałam oddech.

– W tym miejscu są krzywo poukładane cegły, miejscami tylko ich połówki. No i ktoś tu wylał cement. Myślę, że to robota tego Karla. Zejdź i sam zobacz.

Zbiegł po stromych stopniach.

– Jesteś wariatka! Kaśka wystawi ci rachunek za zniszczenie posadzki. Dopiero będziesz miała!

– No, ale sam zobacz...

Wszedł pod schody i przystąpił do oględzin.

– Daj mi ten przecinak – powiedział po chwili. – I młotek. Ja skuję szybciej.

Pracował sprawnie i z zapałem. Chyba udzieliło mu się moje podniecenie. Kawałki cegieł odskakiwały na boki. Gdy Marcin się prostował, podchodziłam i wyciągałam naruszone cegły. Po godzinie sięgnął po szpadel, zaczął odgarniać pokruszony cement i ziemię, i nagle znieruchomiał. Na coś trafiliśmy.

Weszłam pod schody i zobaczyłam czaszkę. A właściwie jej górną część, tę z oczodołami. To głupie, ale miałam wrażenie, że się na mnie patrzą...

W milczeniu ruszyłam po stopniach i potknęłam się natychmiast. Marcin uratował mnie przed upadkiem, łapiąc w ostatniej chwili za sweter. Pomógł mi wyjść i zostawił w korytarzu. Sam wrócił do piwnicy.

Krew pulsowała mi w skroniach. Weszłam do kuchni i usiadłam przy stole. Obrus w żółto-brązową kratę wirował mi przed oczami. Mój mąż pojawił się po kilku minutach.

– Zrób mi mocną kawę – poprosił spokojnie i poszedł do łazienki.

Słyszałam, że myje ręce. Spojrzałam na swoje i poszłam za Marcinem. Nic nie mówiąc, ustąpił mi miejsca przy zlewie. Gdy wróciłam do kuchni, czajnik stał już na gazie.

Przygotowałam dwie filiżanki i czekałam, aż woda zacznie wrzeć. Marcin chodził po sąsiednim pokoju. Zawołałam go. Wszedł z butelką rumu w dłoni.

– Napijemy się, dobrze nam to zrobi – powiedział.

Otworzył drzwiczki kredensu tak gwałtownie, że aż zabrzęczały szybki. Wyjął dwa kieliszki, największe. Patrzyłam, jak ciemny alkohol wypełnia kryształowe, smukłe lampki. Widok przynosił ukojenie. Podniosłam kieliszek i wypiliśmy naraz całą zawartość. Palący płyn rozgrzewał od środka. Dopiero teraz poczułam, jak przemarzłam.

– Co teraz? – zapytał Marcin.

– Musimy powiadomić Kaśkę. Ona niech decyduje, co dalej. Przecież to jej

dom.

Postawiłam kawę na stole i usiadłam. Sięgnęłam po placek. Był zimny.

– Mógłbym ułożyć tę posadzkę po staremu... – powiedział Marcin po chwili milczenia. – Nikt by nie zauważył, że coś tam ruszaliśmy. Mielibyśmy spokój.

– No co ty? Kaśka powinna wiedzieć. Poza tym małemu Stasiowi należy się miejsce w poświęconej ziemi, tak jak sobie życzył. Po to przecież napisał list.

Jadłam zimne placki ziemniaczane, popijając je gorącą kawą. Marcin ponownie nalał rumu.

– Mój kolega też kiedyś znalazł ludzkie kości. Tyle że jakieś piszczele. A tu zanoszą się na kompletny szkielet.

– Na dwa szkielety – poprawiłam.

– No tak, dwa. Całe dwa kościotrupy w piwnicy. Nieźle. Zadzwoń do niego, niech wie o moim znalezisku. Bo on te swoje kości znalazł na cmentarzu. Opowiadałem ci kiedyś?

– Na cmentarzu? To chyba nic dziwnego? Przecież tam są same kości.

– No tak, ale on je znalazł nie w grobie, tylko... No, tak sobie leżały, między nagrobkami. Zgłosił to w cmentarnej administracji i dowiedział się, że po deszczu takie rzeczy się zdarzają. Po kilkudniowych ulewach podobno nawet czaszki wychodzą...

Wzdrygnęłam się.

– Obrzydliwość! – powiedziałam. – Jestem za kremacją.

– Ja też. Ale te kości, walające się po cmentarzu, jeszcze nie są najgorsze. Obrzydliwe dopiero jest to, że niektórzy ludzie zbierają szczątki, a potem sprzedają je w necie.

– Boże, kto to kupuje?

– Podobno studenci medycyny. Na jakimś forum przeczytałem, że rywalizują, kto pierwszy złoży z nich szkielet.

Trzymałam już w palcach kolejny placek, ale odłożyłam go na talerz. Nagle mnie zemdliło. Za szybko jadłam, za dużo. I jeszcze te emocje! Marcin znów dolał rumu, jednak zamiast kieliszka podniosłam komórkę.

– Nie dzwoń do Kaśki – powiedział. Bardzo poważnie.

Popatrzyłam zaskoczona.

– Nie dzwoń. Wykopiemy te kości i wystawimy na aukcji w Internecie. Za dwa szkielety powinniśmy trochę dostać. Jak myślisz?

W jego tonie pojawiła się tak dobrze mi znana ironiczna nuta.

– Marcin, błagam, nie żartuj sobie! Nie w takiej sytuacji! Przecież tu chodzi o podwójne morderstwo.

– Sorry, już nic nie mówię.

Z komórką w ręku poszłam do sypialni, stanęłam przy oknie i wybrałam numer Kaśki. Uśmiechnęłam się, gdy usłyszałam w słuchawce jej słodki głos.

– Coś nam się przytrafiło... – zaczęłam.

– Co takiego? Jakaś awaria? – zaniepokoiła się.

Patrzyłam na bezlistne gałęzie wyginane przez wiatr, na duże pojedyncze krople uderzające w szybę i relacjonowałam dzisiejsze wydarzenia.

– Kurczę, i co ja mam teraz z tym zrobić? – zapytała Kaśka, gdy skończyłam.

– Ja uważam, że należy spełnić ostatnią wolę ofiar, ale Marcin sugeruje, że można by zostawić je w piwnicy...

Milczała przez chwilę.

– No tak, to byłoby najprostsze – stwierdziła wreszcie. – Nic nie robić. Tyle że ja nie mam ochoty mieszkać z ludzkimi szczątkami. Może zresztą ja bym to jakoś zniosła, ale moja mama chyba nie. Kiedy się dowie, że w piwnicy leżą szkielety zamordowanej kobiety i jej dziecka, już nigdy nie przekroczy mojego progu. Bo przecież duchy mają to do siebie, że straszą...

W pokoju zrobiło się ciemno; widziałam już tylko zarys dużego, jasnego pieca. Podeszłam bliżej. Na czterech kafelkach namalowano wiatraki, na dwóch dziewczynkę z dzbankiem. Pozostałe były gładkie.

– Popytam w firmie, może ktoś wie, co robić w takiej sytuacji. Może są jakieś procedury? Zaraz do ciebie oddzwonię – powiedziała Kaśka i rozłączyła się.

Stałam przy piecu, czekając na telefon. Po pięciu minutach wiedziałam już, że na szybki odzew nie ma co liczyć.

Do sypialni zajrzał Marcin.

– No i co, rozmawiałaś z nią? – zapytał.

– Owszem. Ma oddzwonić za kilka minut. Musi się kogoś poradzić, co teraz.

Przeszliśmy do pokoju z kominkiem. Na palenisku dogasał ogień. Włączyłam małą lampkę stojącą na rogu kredensu. Przez jasnobursztynowy klosz sączyło się ciepłe światło. Usiedliśmy przy dużym dębowym stole. Komórkę położyłam przed sobą.

– Jeżeli Kaśka zdecyduje się na ekshumację, to najpierw powinna zawiadomić policję... – zaczął Marcin. – Jeśli rzeczywiście chodzi o morderstwo. To właściwie zadanie dla nich.

– Zadzwoń do Gabrysi i opowiem jej o wszystkim – postanowiłam.

Wzięłam do ręki telefon, ale zaraz go odłożyłam. Nie powinnam blokować numeru. Lepiej napiszę.

Postawiłam na stole laptopa.

– Przynies mi z sypialni list Stasia. Zostawiłam go na parapecie.

Marcin wyszedł z pokoju, a ja zaczęłam pisać.

„Córeńko, urlop w Sztutowie rozpoczął się fatalnie, żeby nie powiedzieć: makabrycznie. Nie chodzi mi bynajmniej o pogodę, bo ta jest sztormowa, a wiesz, że taką lubimy oboje, więc zdecydowaliśmy się na pobyt właśnie w listopadzie. Zanim przejdę do rzeczy, wspomnę tylko, że Kasia ma piękny dom: ogromny, stary,

cały drewniany, kryty czerwoną dachówką, z uroczym gankiem, z witrażami w drzwiach, kominkiem i dwoma wielkimi piecami. I z dwukondygnacyjnym strychem! Właśnie na tym strychu znalazłam kartkę następującej treści...”

Marcin postawił na stole butelkę i dwa kieliszki. Obok laptopa spoczął list Stasia. Przepisałam go, a następnie zrelacjonowałam Gabrysi nasze piwniczne odkrycie. Nacisnęłam „wyślij” i sięgnęłam po rum.

Za oknem było już zupełnie ciemno. Marcin ponownie rozpałił w kominku. Siedział teraz w fotelu i czytał „Przegląd Sportowy”. Gazeta przyjemnie szeleściła w jego rękach. A ja patrzyłam na odbijające się w szybie płomienie i małymi łykami popijałam alkohol. Idealna sceneria, aby się zrelaksować, ale dzisiaj to niemożliwe.

Drgnęłam, gdy odezwała się komórka. Na wyświetlaczu zobaczyłam twarz Kaśki.

– Będę jutro, około ósmej – zakomunikowała zdecydowanie. – Czekajcie na mnie ze śniadaniem. Jak przyjadę, zadzwonimy na policję.

Rozłączyła się, na mnie zaś spłynęło lekkie odprężenie. Może już niebawem Staś i jego mama znajdą się na cmentarzu?

Na monitorze pojawiła się wiadomość od Gabrysi. Otworzyłam ją i zaczęłam czytać.

– „Kochana mamuniu, jak wy macie fajnie! Ja na wykładach tylko słucham o wykopywaniu kości, a wy jesteście o krok do przodu. Zazdroszczę wam. Chciałabym teraz być z wami i kopać w piwnicy. Bawcie się dobrze. Napisz, co dalej z tymi zwłokami. Przekaż buziaczki Marcinowi”.

Zaskoczył mnie ton tego e-maila. Spodziewałam się raczej, że moja córka przejmie się tragicznym losem małego chłopca...

Położyliśmy się dobrze po północy. Po kilku kieliszkach rumu powinnam zasnąć od razu, kręciłam się jednak z boku na bok. Przeszkadzało mi i tykanie zegara, i huk wiatru. Podskakiwałam na łóżku z każdym uderzeniem okiennicy na strychu. Gdy udało mi się zdrzemnąć na chwilę, przyśnił mi się Karl z siekierą i mały Staś, próbujący schować się w szafie. Na dobre zasnęłam dopiero po trzeciej.

Gdy się obudziłam, Marcina nie było już w sypialni. Spojrzałam na ścienny zegar i stwierdziłam, że dochodzi ósma. Zajrzałam do kuchni. Pachniało naleśnikami. Mój mąż stał przy patelni. Tym razem ogolony i w swoim najlepszym swetrze.

– Kochanie, a pamiętasz, że Kaśka najbardziej lubi naleśniki z krewetkami i z czosnkiem? – zapytałam, starając się, aby w moim głosie nie było słychać sarkazmu.

– Pamiętam, pamiętam... Ale dzisiaj dostanie tylko z dżemem.

Poszłam do łazienki i obejrzałam w lustrze swoje podpuchnięte oczy. Odwróciłam się i zdjęłam piżamę. Wzięłam szybki prysznic. Potem przez kilka

minut stałam przed otwartą szafą i zastanawiałam się, w czym będę wyglądać najlepiej. Wczoraj miałam na sobie stary wygodny sweter, ale chyba pora z niego zrezygnować. Nie chcę chyba prezentować się gorzej od Kaśki? Zdecydowałam się na czarne dżinsy i kremową bluzkę z delikatnym haftem. Usiadłam przed toaletką i zaczęłam się malować.

– Beata, chodź na śniadanie! – zawołał Marcin.

– Nie czekamy na Kaśkę? – zapytałam, wchodząc do kuchni.

– Jest po ósmej, powinna zaraz być. Jeżeli się spóźni, jej strata. Będzie jadła zimne.

Usiadłam przy stole i nalałam sobie herbaty z dzbanka. Zapachniało malinami. Wśród herbat była wprawdzie zielona z malinami, ale to przecież niemożliwe, by śladowa ilość suszonych owoców dawała tak intensywny i słodki aromat. Upiłam trochę.

– Skąd wzięłeś sok z malin?

– W tej małej komórce, kiedy szukałem dżemu do naleśników, przy okazji znalazłem sok malinowy. Mam nadzieję, że Kaśka nas nie pozabija, że wyjadamy jej zapasy.

– Nie, nie zabije. Dwa trupy w piwnicy wystarczą. Poza tym powiedziała przecież, że mamy się częstować wszystkim, co znajdziemy w domu.

Posmarowałam naleśnik dżemem i zaczęłam zawijać.

Przed dziewiątą oboje stanęliśmy przy oknie, z którego najlepiej było widać drogę dojazdową, i wypatrywaliśmy srebrnego mercedesa Kaśki. W końcu się pojawił.

Właścicielka wysiadła z samochodu i pomachała do nas. Wiatr szarpał jej fioletowym szalem i długimi, rudymi włosami. Te włosy budziły podziw i zazdrość, zwłaszcza u kobiet, lecz ja byłam z nich tylko dumna. Były moim dziełem, znakiem firmowym. To ja je przedłużyłam, zagęściłam i pofarbowałam. To właśnie na głowie Kaśki po raz pierwszy zastosowałam mikroskopijne metalowe obrączki, za których pomocą do jej własnych doczepiłam pasma włosów naturalnych. Obrączki okazały się rewelacyjne, niewymagające użycia kleju, temperatury czy chemikaliów. No i nie były widoczne oraz nie uwierały. Co cztery tygodnie Kaśka wpadała do mnie do salonu, aby przesunąć mikroringi bliżej skóry. Odświeżenie fryzury trwało cztery godziny, ale efekt dawało znakomity.

Marcin rzucił się do drzwi, a ja nieśpiesznie ruszyłam za nim. Kaśka cmoknęła mojego męża w policzek. Potem mnie.

– Gdzie są te zwłoki? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, skierowała się do piwnicy.

Z lekką zgrozą patrzyłam, jak w kozakach na bardzo wysokich obcasach i w wąskiej spódnicy szybko pokonuje strome schody. Stała nad płytkim grobem i zagapiła się na czaszkę. Patrzyła długo. Wyjęła papierosa, zapaliła i patrzyła dalej.

Marcin zszedł do niej. Ja pozostałam w korytarzu. Nie zniósłabym chyba spojrzenia tych strasznych oczodołów.

– Trzeba zawiadomić policję. Przecież tu, kurczę, chodzi o morderstwo – powiedziała Kaśka, gdy już we troje usiedliśmy w kuchni.

Marcin postawił przed nią talerz z naleśnikami i kawę.

– Też uważam, że trzeba to zrobić – odparłam. – Ale żadnego śledztwa nie będzie. Morderstwo popełniono pół wieku temu, już się przedawniło.

Przyniosłam do kuchni laptopa i poszukałam w Internecie numeru telefonu na posterunek w Sztutowie. Zadzwoiła Kaśka i swoim słodkim głosem powiadomiła funkcjonariuszy o znalezieniu ludzkich kości. Podała nazwisko i adres. Słuchając jej, pomyślałam, że policja weźmie to zgłoszenie za żart.

Jednak dziesięć minut później na podwórko zajechał radiowóz z dwoma młodymi policjantami.

– Gdzie jest szkielet? – zapytał ten, który przedstawił się jako posterunkowy Dydek.

– Proszę za mną – powiedziała Kaśka i ruszyła do piwnicy.

Wsparta na ramieniu Marcina zesłam po stromych schodach.

Piwniczna woń wydawała się dzisiaj bardziej intensywna. Pod ścianą stała łopata, obok leżały młotek i przecinak. Zauważyłam, że grób jest nieco większy, niż zapamiętałam. Marcin musiał go poszerzyć, gdy uciekłam do kuchni. Postąpiłam dwa kroki do przodu i zobaczyłam czaszkę. Tym razem całą.

– Te kości długo już leżą. Może nawet od wojny – mruknął pod nosem posterunkowy Dydek, pochyliwszy się nad znaleziskiem.

– Od pięćdziesiątego dziewiątego roku – odezwała się Kaśka, podając mu list napisany przez Stasia.

Policjant odczytał go półgłosem.

– Wszystko jasne – oznajmił. – To już nie jest nasza sprawa. Przedawnienie.

– No tak, prowadzenie śledztwa w tej sprawie nie ma sensu – przerwała mu Kaśka. – To rozumiem, zwłaszcza że prawdopodobnie morderca już nie żyje. Ale ja bym chciała, żebyście sprawdzili, czy te szczątki w ogóle należą do kobiety i dziecka.

– To nie do nas takie życzenie. Owszem, możemy zawiadomić dochodzeniówkę, oni przyślą tu swoich techników, kości trafią do zakładu medycyny sądowej, a papiery do prokuratury. Tyle że w końcu ktoś się wpieni i robi awanturę za marnowanie publicznych pieniędzy.

– Wydaje mi się, że taka sprawa to całkiem dobry materiał szkoleniowy. Szkieletami mogliby zająć się technicy w ramach ćwiczeń – wtrąciłam.

– Proszę mi wierzyć, że mamy na czym się szkolić – odparł policjant. –

Denatów nam nie brakuje, niestety. Miesiąc temu odkopaliśmy zwłoki dwudziestoletniej dziewczyny. Turystka z Warszawy. Zaginęła latem.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Co mam zatem zrobić? – zapytała Kaśka.

– Najpierw musi pani uzyskać zgodę powiatowego inspektora sanitarnego na ekshumację. Potem wezwie pani zakład pogrzebowy, który zajmie się przewiezieniem szczątków na cmentarz. Ekshumacja dwóch ciał to jakieś dwa tysiące.

– Ale jeżeli nie chce pani tracić takiej kasy, można zawsze zasypać grób – dodał drugi policjant, o twarzy szesnastolatka.

– Mam mieszkać z kościotrupami? – zapytała oburzona Kaśka.

– Wielka mi rzecz! – odparł ze stoickim spokojem funkcjonariusz. – Tutaj na co drugim siedlisku znajdzie się jakiegoś trupa. Może nie w domu, ale w pobliżu. U mojej babci na przykład szkielet leży przy samej ścianie domu. To jakiś Szwab, Ruscy go kropnęli. Zagrzebali go szybko, bo front szedł, no i został do dziś. My sobie nic z niego nie robimy.

Posterunkowy Dydek znowu zabrał głos.

– A wiecie państwo, że w takiej Anglii czy w Ameryce do jednej znalezionej kostki przyjeżdża cały zespół archeologów? A ile oni tam tego mają, to znaczy tych kości? Niewiele w porównaniu z tym, co wykopuje się u nas. Tam, gdy znajdą dwie czaszki, to mają już grób zbiorowy, a tu przy budowie kilku kilometrów byle wiejskiej drogi wydobywa się po kilkadziesiąt kościotrupów. Na pewno państwo słyszeliście o masowym grobie w Malborku? W centrum miasta prawie tysiąc osiemset szkieletów! U nas rozpoczyna się procedurę tylko przy grobach masowych. Na jeden szkielet sprzed pięćdziesięciu lat, jak tutaj, zwyczajnie nikt nie ma czasu.

Po odjeździe policjantów staliśmy jeszcze jakiś czas w korytarzu. Pierwszy odezwał się Marcin.

– Wydaje mi się, że oni zwyczajnie olali tę sprawę. Chyba powinni przyjąć zgłoszenie, spisać protokół? Przecież nie można z góry, jedynie na podstawie listu i kościanych szczątków uznać, że to morderstwo sprzed półwiecza. A jeżeli ktoś w tym domu został zabity dziesięć albo dwadzieścia lat temu, to co? Przecież mogło tak być.

– Mogło, mogło, oczywiście. Ale raczej się tego nie dowiemy – powiedziała Kaśka.

Położyła na usta nową warstwę błyszczky i poprawiła włosy.

– Dobra, to teraz do tego inspektora sanitarnego. Wzięłam na jutro urlop, muszę pozbyć się tych kości – oznajmiła.

ROZDZIAŁ III

Urzędniczka miała na sobie białą bluzkę z żabotem, pomarańczową szminkę na wargach i tego samego koloru lakier na długich paznokciach. Zawodowym okiem oceniłam jej fryzurę: cieniowana grzywka, lekko opadająca na oczy, poza tym mocno cieniowane krótkie włosy, farbowane na blond. Całość gustowna, pasująca do kształtu twarzy.

– Chciałabym otrzymać zezwolenie na ekshumację – oznajmiła Kaśka.

Urzędniczka otworzyła szufladę i wyjęła formularz.

– Proszę wypełnić wniosek i przynieść go jutro – powiedziała, kładąc go na biurku.

– Czy mogę zrobić to teraz?

Lekko zaniepokojona kobieta rozejrzała się po pokoju.

– Tutaj pani chce wypełniać?

– Nie, wyjdę na korytarz.

– W takim razie... Przyjmę go od pani w każdej chwili.

Na korytarzu nie stało żadne krzesło, podeszłyśmy więc do okna. Kaśka położyła formularz na parapecie, pochyliła się i w takiej mało wygodnej pozycji zaczęła pisać.

– Mam podać dane osoby zmarłej: imię, nazwisko, data i miejsce urodzenia, data i miejsce zgonu – odezwała się po chwili.

– Chyba musisz w tych miejscach postawić kreski? – stwierdziłam niepewnie.

Kaśka wzięła papiery i skierowała się do pokoju, z którego przed chwilą wyszłyśmy. Poszłam za nią. Urzędniczka na nasz widok głośno odłożyła myszkę.

– A jeśli nie znam danych zmarłego? Czy w odpowiednie miejsca na formularzu mogę wstawić kreski? – zapytała Kaśka, kładąc wniosek na biurku.

Pracownica inspektoratu sanitarnego odwróciła blankiet w swoją stronę. Długim pomarańczowym paznokciem wodziła po kolejnych linijkach. Można było odnieść wrażenie, że właśnie czyta wniosek po raz pierwszy i dziwi się każdemu słowu.

– Ma pani wpisać imię i nazwisko zmarłego – odezwała się w końcu.

– Chodzi o to, że nie znam – wyjaśniła Kaśka.

Urzędniczka uśmiechnęła się.

– Proszę więc jechać na cmentarz i spisać z grobu imię i nazwisko ekshumowanej osoby – powiedziała tonem, jakim zwykle małym dzieciom tłumaczy się proste rzeczy.

Kaśka bardzo uprzejmie rozpoczęła wyjaśnienia:

– To nie jest zwykłe przeniesienie zwłok z jednego cmentarza na inny. Na terenie mojej posesji natrafiliśmy na ludzkie szczątki, ale nie wiemy, do kogo należą. Chcemy je przenieść na cmentarz, tam gdzie ich miejsce.

Kobieta przyłożyła palec do skroni i wysunęła czubek języka. Wyglądało, że

się zastanawia.

– Tam, gdzie trzeba wpisać dane osoby zmarłej, proszę napisać „nieznane” – stwierdziła po dłuższej chwili. – Jako przyczynę zgonu proszę nic nie zakreślać. I oczywiście musi pani uzasadnić wniosek.

Znowu na ułamek sekundy wysunęła czubek języka, a następnie postukała pomarańczowym paznokciem w formularz.

– Czy pani jest krewną osoby zmarłej? – zapytała.

– Nie, skądże – odparła Kaśka.

– W takim razie nie może pani złożyć tego wniosku. Prawo dokładnie podaje, kto jest upoważniony do przeprowadzenia ekshumacji. – Przejechała paznokciem po blankiecie. – „Prawo do pochówku ma pozostały małżonek, krewni zstępni, krewni wstępni, krewni boczni do czwartego stopnia pokrewieństwa, powinowaci w linii prostej do pierwszego stopnia pokrewieństwa” – przeczytała.

Miałam wrażenie, że w jej głosie pobrzmiewa satysfakcja.

– To co ja mam teraz zrobić? – zmartwiła się Kaśka.

– Może pani sobie zrobić grób w ogródku – zaproponowała urzędniczka z uśmiechem.

Widziałam, jak moja przyjaciółka zaciska dłonie w pięści. Była zła, ale mimo to słodkim głosem uprzejmie zapytała:

– Może jednak jest jakieś inne rozwiązanie?

Uśmiech znikł z twarzy urzędniczki. Gwałtownie odsunęła formularz na brzeg biurka.

– Musi pani uzyskać sądową zgodę na przeprowadzenie ekshumacji i dołączyć ją do wniosku.

– Na jakiej ulicy mieści się sąd?

– Na Poczty Gdańskiej.

Otworzyłam drzwi. Jedną nogą stałam już na korytarzu, gdy kobieta dodała z satysfakcją:

– Na Poczty Gdańskiej. W Malborku, oczywiście.

Z Nowego Dworu pojechałyśmy zatem do Malborka.

W budynku sądu przez pół godziny szukałyśmy osoby uprawnionej do wydania zezwolenia na przeprowadzenie ekshumacji. W końcu skierowano nas do pokoju, w którym siedziała starsza elegancka pani. Wysłuchała nas, obejrzała wniosek.

– Pani nie musi mieć do tego zgody sądu – oznajmiła. – Poza tym sąd w żadnym trybie takich zezwoleń nie wystawia. A do złożenia wniosku o ekshumację, nie licząc krewnych, uprawnione są również osoby zobowiązujące się dobrowolnie. Skoro szczątki, których tożsamość jest nieznana, leżą na pani posesji, ma pani prawo je ekshumować.

Wróciłyśmy do powiatowego inspektoratu sanitarnego. Kaśka, w rozpiętym

płaszczu, z rozwianymi włosami biegła korytarzem, wymachując wydrukowanym przez pracownicę sądu stosownym rozporządzeniem. Nie mogłam za nią nadążyć. Otwartymi ustami ciężko łapałam powietrze.

Wpadłyśmy do pokoju pańci z pomarańczowymi paznokciami. Moja przyjaciółka bez słowa cisnęła papiery na biurko. Kobieta poderwała się z krzesła.

– Pan inspektor czeka na panie w gabinecie obok – powiedziała przejęta. – Już zna całą sprawę.

Udałyśmy się do wskazanego pokoju. Inspektor zaczął od przeprosin.

– Zwykle zajmujemy się ekshumacjami z cmentarza na cmentarz. Ta zaś, o którą pani wnosi, to dla mojej sekretarki nowość. Proszę mi wybaczyć to zamieszanie...

Wziął od Kaśki wniosek i zaczął go przeglądać.

– Umówiła już pani kopaczy? – zapytał po chwili.

– Kogo? – zdziwiła się.

– Ktoś musi wydobyć szczątki i je przewieźć. My się tym nie zajmujemy. Ja pojawię się u pani, aby nadzorować prawidłowość ekshumacji, ale fizycznie jej wykonywać nie będę. Do wydobycia zwłok powinna pani wynająć zakład pogrzebowy. Oni są najlepiej przygotowani do takich zadań. Z nimi proszę ustalić termin ekshumacji, potem do mnie zadzwonić i powiedzieć, kiedy i o której mam przyjechać.

– Czy mógłby pan jutro?

– Tak. Jutro mogę asystować przy ekshumacji. Sądzę, że również każdy zakład pogrzebowy zgodzi się na jutrzejszy termin. A ma pani już miejsce na cmentarzu?

Kaśka pokręciła głową przecząco, tak mocno, że na chwilę włosy przesłoniły jej twarz.

– Musi się pani postarać. Może być w Sztutowie albo u nas, w Nowym Dworze. I nie musi być już zaraz. Zakład pogrzebowy przetrzyma parę dni szczątki u siebie. Zawsze są przygotowani na taką ewentualność. Moja asysta jest oczywiście bezpłatna, ale pracownikom zakładu i cmentarnej administracji będzie pani musiała zapłacić.

Jeszcze w samochodzie uruchomiłam Internet w komórce i zaczęłam szukać przedsiębiorstwa pogrzebowego w Nowym Dworze Gdańskim. Dwie minuty później miałam adres. Prowadzone przez GPS, dojechałyśmy na ulicę Trzeciego Maja. Kaśka poszła ustalać termin i rodzaj usług, a ja tymczasem zadzwoniłam do Marcina i zdałam mu relację z wizyty w inspektoracie.

– Załatwione – oznajmiła Kaśka po powrocie. – Będą jutro o dziewiątej. Zgodzili się przechować kości przez kilka dni. Teraz jedziemy do Sztutowa, na parafię. Trzeba załatwić miejsce na cmentarzu.

Przed plebanią rosły drzewa i krzaki zupełnie ogołoczone z liści przez kilkunastogodzinną wichurę. Przeszłyśmy przez otwartą bramkę i znalazłyśmy się

na niewielkim podwórku. Gdzieś w pobliżu ujadł pies. Liście szeleściły pod butami. Plebania wyglądała raczej mało okazale. Ot, prostokątny szary budynek z kamiennymi klombami przy ścianach.

Drzwi otworzył nam młody ksiądz. Gdy oznajmiłyśmy, że przychodzimy w sprawie pochówku, zaprosił nas do kancelarii. Znalazłyśmy się w pomieszczeniu z dwiema okazałymi szafami i dużym biurkiem. Po jednej stronie biurka stał monitor, klawiatura i drukarka, po drugiej metalowy, bogato rzeźbiony krzyż. Krzyż wisiał również na ścianie.

Dla petenta przewidziano tylko jedno krzesło. Zajęła je Kaśka. Ksiądz podsunął mi swoje. Sam stanął za biurkiem.

– Którego z naszych parafian straciliśmy? – zapytał.

– Same dokładnie nie wiemy. – Kaśka podała mu list Stasia.

Ksiądz założył okulary i zaczął czytać.

– Czy do tej zbrodni doszło na terenie naszej parafii? – zatroskał się szczerze.

Pokiwałyśmy twierdząco głowami.

– Wydaje mi się, że widzę panie po raz pierwszy...

– Kupiłam dom w Sztutowie na wiosnę – odparła Kaśka. I wskazując głową w moją stronę, mówiła: – Moja przyjaciółka przyjechała do mnie wraz z mężem na dwa tygodnie. To oni znaleźli list na strychu, a potem odkopali szczątki w piwnicy.

Ksiądz odłożył list na biurko.

– A zatem jest pani naszą nową parafianką – stwierdził.

– Niezupełnie. Mieszkam w Poznaniu, a tutaj będę spędzać tylko kilka tygodni w roku.

– Przejdźmy więc do pochówku. Mam rozumieć, że chcą panie pochować na naszym cmentarzu ofiary tego strasznego mordu.

– Tak – podsumowała Kaśka.

Kapłan postukał palcem w list.

– Ale czy ten Staś i jego mama byli ochrzczeni? Czy należeli do Kościoła katolickiego? Bo jeśli nie mieli wymaganych sakramentów, to niestety nie możemy ich pochować...

Tym razem uprzedziłam przyjaciółkę.

– Staś wyraźnie napisał, że chce być pochowany w poświęconej ziemi. To chyba wyraźny sygnał, że był wychowany w wierze katolickiej. A nawet jeżeli nie został ochrzczony, jakie ma to teraz znaczenie? Czy nie jest najważniejsza jego wola, wyrażona na krótko przed tragiczną śmiercią?

Na twarzy kapłana pojawił się pobłażliwy uśmiech. Pochylił się ku mnie.

– Droga pani, mnie obowiązuje kodeks prawa kanonicznego – wyjaśnił spokojnie. – Muszę mieć zaświadczenia o przyjętych sakramentach świętych. –

Wziął do ręki list i przyglądał mu się przez chwilę. – Spróbujemy chłopca

odnaleźć w księgach parafialnych. Nie znamy nazwiska, ale nie szkodzi. Wiemy, że w 1959 roku miał dziewięć lat, zatem ochrzczono go w 1950 albo na początku następnego roku. Księgi parafialne prowadzone są chronologicznie, więc nie powinno być problemu.

Podszedł do szafy i otworzył drzwiczki. Zobaczyłyśmy grzbiety kilkunastu ksiąg. Ksiądz wyjął jedną i położył na biurku.

– To księga chrztu prowadzona w latach 1945–1951. Poszukajmy chłopca, który otrzymał imię Stanisław, z matki Anny. Szkoda, że nie mamy imienia ojca... Nie wiem, jak panie sądzą, ale mnie się wydaje, że ów Karl był tylko opiekunem. Staś przecież pisze o nim: „mąż mamy”.

Kapłan otworzył księgę, a naszym oczom ukazały się duże pożółkłe stronicy, pokryte nieczytelnym odręcznym pismem.

– Szukanie trochę potrwa. Wtedy rodziło się dużo dzieci, nie to co teraz...

Podsunęłam księdzu swoje krzesło. Podziękował i usiadł. Zaczęłam chodzić po pokoju. Kaśka wyjęła paczkę davidoffów i nerwowo obracała ją w palcach. Wiedziałam, że to oznaka głodu nikotynowego.

– Przepraszam, wyjdę zapalić – wyszeptwała.

Ksiądz podniósł głowę, ale zaraz bez słowa powrócił do czytania.

Kaśka wyszła, zostawiając na poręczy krzesła fioletowy szal. Zająłam jej miejsce. Patrzyłam, jak palec mężczyzny przesuwają się z góry na dół, strona po stronie.

Zerknęłam na zegarek, wskazówka minutnika zatoczyła już ćwierć koła. Pomyślałam, że moja przyjaciółka powinna wrócić. Podeszłam do okna. Kaśka stała na małym podwórku. Już nie paliła. Trzymała rękę przy uchu, co wskazywało, że rozmawia przez telefon.

Naraz usłyszałam szelest kolejnej przekładanej strony i po chwili podekscytowany głos księdza.

– Znalazłem!

Dałam Kaśce znak, żeby wracała, a sama podeszłam do biurka. Popatrzyłam na niewyraźny zapis. Przymrużyłam powieki.

– „Stanisław, ochrzczony 16.04.1950, urodzony 02.03.1950, syn Anny i Józefa, rodzice chrzestni Leokadia i Karl” – przeczytałam.

Kaśce, która właśnie wpadła do kancelarii, zakomunikowałam:

– Karl był ojcem chrzestnym Stasia!

Pochyliła się nad księgą.

– Przy innych zapisach podane są nazwiska, a przy Stasiu żadnego. Dlaczego?

– Mogę to wyjaśnić tylko w jeden sposób – odezwał się ksiądz. – W tamtych czasach niektórzy rodzice chrzcili dzieci po kryjomu, w zakrystii, bez podawania nazwisk. No, wiedzą panie, takie czasy. Ci, którzy byli blisko partii, to właściwie nie mieli innego wyjścia. Chłopca rzeczywiście można pochować w obrządku

katolickim, ale czy jego matka też miała wymagane sakramenty? Nie wiadomo. Będziemy mieli z nią problem.

– To, jak sam ksiądz powiedział, można sprawdzić w księgach parafialnych – zaczęłam. – Wystarczy też popytać wśród starszych mieszkańców Sztutowa. Ktoś musi pamiętać tych ludzi.

– Droga pani, to nie takie proste. Księgi parafialne sprzed wojny się nie zachowały, ale to bez znaczenia, bo najprawdopodobniej rodzice Stasia nie pochodzili stąd. Prawie wszyscy mieszkańcy Sztutowa to ludność napływowa.

Kaśka zgarnęła z poręczy krzesła swój szal, gotowa do wyjścia. Zdziwiło mnie to, bo przecież cel wizyty nie został osiągnięty. Ksiądz chyba odniósł podobne wrażenie.

– Droga pani, ja oczywiście pomogę – powiedział, podnosząc się z krzesła. – Zwrócę się do biskupa diecezjalnego, bo tylko on jest władny zdecydować, czy mama Stasia może być pochowana na naszym cmentarzu. Myślę, że biskup się zgodzi, są po temu przesłanki. Skoro pani Anna ochrzciła syna, prawdopodobnie sama była katoliczką. Ochrczoną i praktykującą.

ROZDZIAŁ IV

Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Słońce wspinało się po kamiennych schodkach ganku. Zapowiadał się pogodny dzień. Staś opuści wkrótce zimne, piwniczne mury. To dobrze, że na powierzchni powita go piękna aura, pomyślałam.

Obok mnie stanęła Kaśka. Wyjęła z ust papierosa.

– Zaraz powinni być. Kurczę, mam nadzieję, że to nie potrwa długo. Wieczorem muszę być w Poznaniu.

Na ganek wyszedł Marcin z kubkiem pełnym aromatycznej, puszystej czekolady. Miałam już wyciągnąć rękę po gorący napój, ale on podał go Kaśce.

– Dosypałem trochę chili, jak sobie życzyłaś.

Retrospekcja. Pamięć podsunęła mi obraz Marcina w jasnym garniturze, podchodzącego do Kaśki z niebieskim drinkiem w wysokiej, wąskiej szklance. Wręczył jej go z lekkim ukłonem.

– Taki jak chciałaś – powiedział.

To było prawie trzy lata temu, w Madagaskarze. Noc sylwestrowa, Kaśka w czerwonej, bardzo krótkiej sukience, a ja w czarnej, z głęboko wyciętym dekoltem. Przedstawiła mnie.

– Moja fryzjerka.

Jakby prezentowała pokojówkę, służącą. Miałam już wygłosić slogan reklamowy: „Salon Gabriella zaprasza. Zdejmiemy ci problem z głowy”, po czym odwrócić się i odejść, ale słowa Kaśki sprawiły, że zmieniłam zamiar. Wzięła mnie pod ramię.

– Beata jest moją najlepszą przyjaciółką i superbabką – uzupełniła.

Marcin uścisnął mocno moją dłoń i z uśmiechem zaproponował drinka. Gdy się oddalał, patrzyłam jak urzeczona na jego smukłą, gibką sylwetkę. Kaśka tymczasem zerknęła na mnie.

– Ciacho, nie? – stwierdziła raczej, niż zapytała.

Byli młodzi, piękni i zapatrzeni w siebie. To był ich sylwester, trzymałam się więc na uboczu. Tylko raz zgodziłam się zatańczyć z Marcinem i raz z Kaśką, o piątej rano na niemal całkowicie opustoszałej sali. Zdjęłyśmy buty i skakałyśmy jak wariatki. Kątem oka widziałam Marcina pijącego szampana wprost z butelki.

Po raz kolejny zobaczyłam go dwa miesiące później, gdy wszedł do mojego zakładu i poprosił o strzyżenie. Nie tłumaczyłam, że to salon damski, bo przecież dobrze wiedział. Wyjęłam z pojemnika nowe nożyczki, stalowe, z sześciocentymetrowymi ostrzami, i nie pytając, wystrzygłam mu mocno boki oraz tył. Górę wycieniowałam. Miał ładne uszy – nieduże, przylegające – kilka siwych włosów, które przydawały mu powagi, oraz kształtne, jakby kobiece brwi. Strzygłam w milczeniu, on również się nie odzywał. Na koniec podziękował i zapłacił. Gdy zamiatalam włosy, stał nieruchomo obok. Niby chciał coś

powiedzieć, ale do salonu weszła młoda dziewczyna, której przed dwoma miesiącami robiłam irokeza. Marcin pożegnał się i wyszedł. Tego samego dnia wieczorem zadzwoniłam do Kaśki i rozmawiając o jakichś banalnych rzeczach, mimochodem zapytałam o jej związek. Usłyszałam, że to już nieaktualne, że tak naprawdę to między nimi nic nie było. Dziesięć miesięcy później znowu bawiliśmy się na sylwestra w Madagaskarze, ale tym razem na naszym przyjęciu weselnym. Moim i Marcina.

Gdy Kaśka kończyła czekoladę, na podwórko wtoczył się czarny karawan, z którego wysiedli dwaj mężczyźni. Otworzyli tylne drzwiczki i wyciągnęli dwie trumny. Zaskoczyło mnie, że obie są duże. Chyba dla Stasia powinni przywieźć mniejszą. Prawdopodobnie nie wiedzieli, że tu chodzi o dziecko.

– Rozumiem, że zwłoki są po mineralizacji? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Leżą tutaj od pół wieku – wyjaśniła Kaśka.

– To znaczy, że będzie czyściutka robótka. Same kościotrupki – ucieszył się.

Na podwórko wjechało kolejne auto. Z inspektorem sanitarnym za kierownicą.

– Jak długo to potrwa? – zapytałam.

– Ze trzy godzinki, może ździebko dłużej – odparł jeden z pracowników zakładu pogrzebowego.

– Zatem ja wybieram się na trzygodzinny spacer – oznajmiłam.

– To dobry pomysł. Idź – powiedział Marcin.

Miałam nadzieję, że do mnie dołączy; przecież to nasz wspólny urlop. Niestety, wolał przyglądać się ekshumacji.

Podążałam drogą prowadzącą na plażę. Otaczał mnie cichy las, żadnych ptasich odgłosów, żadnych szelestów. Aż trudno uwierzyć, że dwa dni temu wichura łamała drzewa. Przeszłam pod dużym szyldem zachęcającym do kupna apartamentów i mieszkań w Sztutowie oraz Kątach Rybackich. Bagatela, już od stu dwudziestu tysięcy złotych! Potrafiłam sobie nawet wyobrazić te dwadzieścia jeden metrów kwadratowych, tak zwany salon z aneksem kuchennym!

Do plaży pozostało niewiele. Teraz po lewej ciągnęły się lokale gastronomiczne, wszystkie zamknięte, po prawej nadal był las. Przede mną szły spacerkiem dwie starsze panie, obie w kapeluszach, w towarzystwie mężczyzny w średnim wieku. Może znały kiedyś Stasia i jego mamę? Tylko czy one w ogóle są stąd? Najprościej podejść i zapytać, pomyślałam. Zbliżyłam się, ale usłyszałam twardą niemiecką mowę. Wyminęłam całą trójkę i powędrowałam dalej.

Morze, zmęczone wielogodzinnym sztormem, teraz kołysało się leniwie. Mewy, krzyżąc, latały nisko nad zielonkawą wodą. Czarne kormorany cicho przycupnęły w pobliżu wydmy. Szłam wzdłuż plaży i podobnie jak nieliczni spacerowicze szukałam bursztynów. Dobiegł do mnie brązowy piesek i zaczął obszczekiwanie. Chłopak w kolorowej czapce z daszkiem zagwizdał, przywołując kundelka, ten jednak ujadał coraz głośniejsze.

– Przepraszam panią – powiedział nieznajomy, biorąc psiaka na ręce. – Reksio takie dziwo zobaczył przed chwilą, że szybko się nie uspokoi. Proszę nieco podejść, to też pani zobaczy to coś.

Chciałam dopytać, ale chłopak już biegł środkiem plaży. A ja po kilku minutach dojrzałam grupkę ludzi stojącą blisko wody. Przez szum fal docierały do mnie pojedyncze słowa, śmiech i okrzyki. Wyglądało to na towarzyskie spotkanie dobrze bawiących się znajomych. Miałam zamiar wyminąć ich dużym łukiem, ale podczas zbliżania się dostrzegłam, że niektórzy stoją w pewnym oddaleniu od pozostałych, jakby nie należeli do zgromadzenia. Ciekawość przeważała. Szłam powoli; zaledwie kilka metrów dzieliło mnie od otyłej kobiety stojącej pomiędzy dwoma wysokimi mężczyznami. Kobieta odwróciła się i spojrzała.

– Jeszcze jedna – powiedziała do towarzyszy.

Moja obecność chyba nie była dobrze widziana, ale mimo to podeszłam. Nie potrafiłam powstrzymać okrzyku.

– Och!

Na białym piasku leżała szara foka. Patrzyła wprost na mnie dużymi, czarnymi oczami. Wyciągnęłam komórkę i zaczęłam robić zdjęcia.

Ale Gabrysia się zdziwi, gdy dostanie ode mnie ememesa! Może nawet nie uwierzy, pomyśli, że ściągnęłam zdjęcie z sieci.

Inni także celowali w fokę swoimi komórkami i obiektywami. A ona leżała jak kłoda, jakby wiedziała, że przy cyfrowej technologii wskazany jest bezruch. Młody chłopak podszedł, dotknął wąskiej głowy i grzbietu.

– Jest ciepła! – zawołał.

– A jaka ma być? Przecież to nie ryba! – odezwała się otyła kobieta.

Do obmacywania foki wzięli się kolejni gapie. Na początku ssak zachowywał spokój, ale wkrótce zaczął się powoli wycofywać do wody. Młody, dobrze ubrany mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych zaklął. Obejrzał się nerwowo za siebie. Znienacka zamachał ręką.

– Szybciej, kurwa, szybciej! – zawołał. – Bo zaraz ucieknie!

Plażą biegła młoda kobieta z na oko trzyletnim dzieckiem na ręku. Zatrzymała się obok mnie, dysząc ciężko. Mężczyzna w przeciwsłonecznych okularach polecił:

– Posadź małą na foce! Szybko!

– A jeżeli ją ugryzie? – powątpiewała kobieta.

– Głupia, foki nie gryzą! Sadzaj ją, bo zaraz gównem z tego będzie!

Kobieta posłusznie wykonała polecenie, ale wystraszona dziewczynka zaczęła płakać i wyginać się w rękach matki. Mężczyzna pstrykał zdjęcia.

– Kurwa, uspokój ją, bo wychodzą ruszone! – warknął zirytowany.

Patrzyłam na tę scenę z niesmakiem.

– Czy wiesz, dlaczego tak często głupota wychodzi z człowieka? – zapytała

otyła kobieta swego towarzysza. A ponieważ ten nie odpowiedział, odpowiedzi udzieliła sobie sama: – Bo pewnie nie może z nim długo wytrzymać...

Poczułam do niej sympatię.

Na szczęście foka ewakuowała się wreszcie do wody, a ja odwróciłam się i ruszyłam w stronę wyjścia z plaży. Miałam jeszcze półtorej godziny, więc postanowiłam sprawdzić, czy można gdzieś wypić kawę. Byłam na wysokości bramki numer 62; mimo że prowadziła do lasu, zdecydowałam się z niej skorzystać.

Między drzewami owionęło mnie chłodne powietrze. Zobaczyłam tablicę z napisem: „Uwaga, morświny”. A po drugiej stronie: „Uwaga, foki”. Zatrzymałam się i zaczęłam czytać.

„Jeśli zobaczysz fokę pływającą w morzu lub leżącą na brzegu, pilnie zawiadom Błękitny Patrol lub Stację Morską Uniwersytetu Gdańskiego. Nie podchodź, odpoczywającej na brzegu focke zapewnij spokój. Nie dopuszczaj do foki dzieci i psów. Spłoszona może ugryźć. Nie zaganiaj foki do wody”.

A jednak foki gryzą! Szkoda, że tamta nie dziabnęła tego typka w przeciwsłonecznych okularach!

Leśna ścieżka prowadziła w stronę lokali gastronomicznych. Jeden z nich, stojący przy samej plaży, był otwarty. Na przestronnym tarasie stały tylko dwa stoliki; mimo słonecznej pogody nikt nie odważył się przy nich zasiąść. W środku panował przyjemny gwar, ciepło. Pachniało goframi. Wśród klientów dostrzegłam otyłą kobietę – nie sposób było jej nie zauważyć. Pusty stół przy dużym oknie. Znakomicie, będę miała piękny widok na morze, pomyślałam.

Kupiłam kawę i usiadłam. Wpatrywałam się przez chwilę w zielonkawę fale, potem przeniosłam wzrok na klientów baru. Otyłej nieznajomej wciąż towarzyszyli dwaj mężczyźni. Cała trójka siedziała przy piwie i zachowywała się swobodnie. Prawdopodobnie miejscowi, ze Sztutowa. Jeden z mężczyzn poklepał barmana po plecach. Kobieta podniosła stojącą na stole białą żaglówkę i pokazywała ją drugiemu towarzyszowi, coś tłumacząc. Identyczne żaglówki ozdabiały każdy blat, mój również. Przyjrzałam się łódce uważnie, ze wszystkich stron, lecz nie zauważyłam nic wyjątkowego.

Znów zapatrzyłam się na morze i mimowolnie zaczęłam rozmyślać o nieprzypadkowości przypadków. Dzisiaj, szóstego listopada, równo pięćdziesiąt jeden lat po śmierci Stasia, zwłoki zostaną wydobyte i niebawem złożone w poświęconej ziemi. Czy to na pewno zbieg okoliczności? Może przypadki nie istnieją, a wszechświat jest dobrze zaprogramowany? Może żyjemy według czyjegoś planu i według niego umieramy?

Drzwi do baru otworzyły się i wionęło zimnem. Spojrzałam na wchodzących. Jasnowłosa dziewczyna pchała przed sobą inwalidzki wózek, na którym siedziała staruszka przykryta kraciatym kocem. Dziewczyna skinęła głową otyłej kobiecie

i jej towarzyszom. Jeden z nich uniósł się nieco i odpowiedział głębokim ukłonem, przeznaczonym bardziej dla starszej pani, nie dla młodziutkiej blondynki. Może ta starowinka to jakaś lokalna znakomitość, powszechnie szanowana matrona?

Dziewczyna zmierzała wprost do mojego stolika.

– Przepraszam panią, czy możemy się przysiąść? – zapytała. – Moja babcia bardzo lubi widok na morze z tego miejsca. Nie zgodzi się, abym ustawiła wózek gdziekolwiek indziej...

Dziewczyna była starsza, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Jej poważne spojrzenie pozbawione było młodzieńczej beztroski, którą tak często widywałam u Gabrysi. Mogła mieć nawet trzydziestkę.

Gdy wyraziłam zgodę, przysunęła wózek ze starszą panią do szczytu stołu, a sama zajęła miejsce naprzeciwko mnie. Zauważyłam, że ma ładne, wąskie dłonie. Jedną powędrowała pod brodę, do pierwszego z dużych guzików – rozpięła jeden po drugim, odsłaniając smukłą szyję i zmysłową linię dekoltu. Z gładko zaczesanych do tyłu włosów wysunął się kosmyk. Założyła go za ucho. Była piękna. Przy niej nawet Kaśka, ze swoimi rudymi włosami i perfekcyjnym makijażem, wyglądałaby blado. Złapałam się na tym, że przyglądam się nieznajomej zbyt natarczywie, więc przeniosłam wzrok za okno. Nad zielonkawą wodą wciąż szybowały mewy.

Przyjechaliśmy z Marcinem do Sztutowa, aby w spokoju, z dala od ludzi, spędzić tylko ze sobą dwa tygodnie. Kto by pomyślał, że czekają nas atrakcje w postaci ekshumacji i udziału w pogrzebie? Gabrysi zapewne odpowiadałby taki wypoczynek. Zawsze lubiła zaskakujące sytuacje. Już jako mała dziewczynka ekscytowała się każdym odstępstwem od normy. Klaskała, gdy w środku nocy na pustej drodze psuł się samochód albo gdy we Władysławowie na plaży ukradziono mi torebkę. Entuzjastycznie zareagowała, gdy w naszym mieszkaniu pojawił się szczur. Usiadła na stołku pośrodku kuchni i oznajmiła, że zaczeka na to zwierzątko z długim ogonem... Jakież ona robiła wielkie oczy w momentach radosnego zdziwienia! Nazywałam ją wtedy sową, moją kochaną sówką. Gdyby była tu ze mną, na pewno podkręcałaby jeszcze tę niesamowitą, niepokojącą atmosferę.

Zerknęłam na moje towarzyszki. Starsza pani właśnie otworzyła bezzębne usta i chwyciła nimi słomkę zanurzoną w kuflu piwa. Piła, poświstując głośno. Po jej brodzie pociekła cienka stróżka, a młoda dziewczyna wytarła ją troskliwie. Może ta starowinka pamięta Stasia i jego mamę? Nie miałam odwagi zagadnąć. Wydawało mi się, że pytaniem naruszę intymną więź między kobietami. Patrzyłam więc na morze i małymi łykami piłam aromatyczną kawę.

Odstawiłam filiżankę i włożyłam dłoń do kieszeni swetra. Palce natrafiły na znajomy przedmiot. Bursztynowy krzyżyk, dwa dni temu znaleziony na strychu! Odruchowo zaczęłam się nim bawić. Wyjęłam rękę z kieszeni. Nagle bursztynowy

drobiazg wymknął mi się z palców. Odbił się od blatu i upadł tuż przed starszą panią.

– Przepraszam – powiedziałam i wyciągnęłam dłoń po krzyżyk, ale staruszka była szybsza. Przykryła go kościstą dłonią.

– To moje! – pisnęła.

Dziewczyna pogłaskała babcię po rękę.

– Tak nie można – powiedziała łagodnie. – Musisz to oddać.

Starsza pani wcale nie miała takiego zamiaru. Zacisnęła dłoń w pięść.

– To moje! Karl mi to zabrał – powiedziała piskliwie.

Chyba się przesłyszałam. Pochyliłam się nad stołem.

– Pani powiedziała „Karl”? – zapytałam. – Czy pani знаła Karla?

Siwa głowa zaczęła się trząść, z otwartych ust pociekła jej ślina. Dziewczyna siłą rozgięła kościste palce. Bursztynowy krzyżyk upadł na obrus.

– Przepraszam – powiedziała, podając mi drobiazg.

Odruchowo sięgnęłam po krzyżyk, ale zaraz się powstrzymałam.

– On prawdopodobnie rzeczywiście należy do pani babci. Ja go jedynie znalazłam.

Zaskoczona dziewczyna patrzyła to na mnie, to na krzyżyk. Wreszcie wstała.

– Nie przypominam sobie, by moja babcia miała coś takiego... – stwierdziła.

W lokalu narastał gwar, wchodzili kolejni klienci. Starsza pani mamrotała coś niezrozumiale pod nosem. Blondynka odsunęła wózek od stołu; nie mogła manewrować swobodnie, bo za nią zatrzymało się trzech młodych chłopaków. Wstałam i pochyliłam się nad staruszką. Drżąca siwa głowa znalazła się zaledwie kilka centymetrów od mojej. Poczułam kwaśny zapach, typowy dla starości.

– Czy znała pani Karla?

– Karl to zły człowiek – odparła wyraźnie. Dodała coś jeszcze, ale nie zrozumiałam słów.

Dziewczyna odsunęła mnie delikatnie, ale stanowczo. Wykręciła wózką i skierowała się do wyjścia. Trzymałam się tuż za jej plecami.

– Czy znała pani żonę Karla, Annę? I jej synka Stasia? – zapytałam już na zewnątrz.

Staruszka dygotała. Wnuczka starannie otuliła ją kocem, podciągając go aż pod brodę.

– Czy pani ich znała? – kontynuowałam.

Dziewczyna spojrzała na mnie z uśmiechem, choć czułam pretensję za to nagabywanie.

– Przecież pani widzi, w jakim stanie jest babcia...

Przeprosiłam i cofnęłam się o krok. Zanim jednak dziewczyna oddaliła się, pchając przed sobą wózek, usłyszałam jeszcze:

– Karl Dietrich to diabeł!

– Karl Dietrich... – powtórzyłam, wchodząc ponownie do lokalu.

Omiotłam wzrokiem wnętrze; kilka osób jadło pierogi. Podeszłam do baru i poprosiłam o trzy porcje ruskich na wynos. Zawróciłam do stolika. Pośrodku blatu, obok białej żaglówki, leżał bursztynowy krzyżyk. Schowałam go do kieszeni, włożyłam kurtkę, odebrałam zamówienie i wyszłam.

W stronę plaży zmierzali kolejni spacerowicze. Nie było ich wielu: dwie dziewczyny i trzech chłopców. Chyba gimnazjaliści. Szli szybko, jakby każde chciało wyprzedzić pozostałych. Wszyscy dźwigali wypchane plecaki. Zapewne od razu po lekcjach śpieszyli, żeby zobaczyć fokę. Nie miałam wątpliwości, że informacja o pojawieniu się morskiego ssaka obiegła esemesami i ememesami całe Sztutowo i okolicę. To w końcu spora atrakcja, nawet dla tubylców.

Ruszyłam w stronę domu. Paczka z pierogami kusiała. Odchyliłam papier i wyciągnęłam jednego. Był ciepły i pachnący... Po drodze zjadłam pięć i pożałowałam, że nie kupiłam więcej. Przez całą drogę kołatały mi w głowie słowa staruszki: „Karl Dietrich to diabeł!”. Wygląda na to, że słyszał niegdyś w Sztutowie z okrucieństwa... Czy poza zabiciem żony i pasierba miał na sumieniu coś jeszcze?

Na podwórku nie było już karawanu i samochodu inspektora. Kaśka i Marcin stali na ganku. Jak dwa słupy soli. Żadne z nich nie poruszyło się, nie zamachało do mnie, nie zawołało. Czyżby tak poraziła ich ekshumacja?

– Już po wszystkim? – zapytałam, wchodząc po kamiennych schodkach.

– Tak – odparła Kaśka.

Czułam, że coś jest nie w porządku.

– Czy wszystko poszło zgodnie z planem? – zapytałam niepewnie.

– Niezupełnie.

Taka lakoniczność nie pasowała do mojej przyjaciółki. Spojrzałam na Marcina. Miałam nadzieję, że on powie mi coś więcej.

– Na razie pogrzebu nie będzie – oznajmił.

– Dlaczego?

Spojrzeli po sobie w milczeniu. Ich zachowanie nieco mnie zirytowało.

– Do jasnej cholery, o co tutaj chodzi? – Podniosłam głos. – Ja się pytam. Czy to jakaś tajemnica?

Kaśka zaczęła mówić:

– Kopacze znaleźli szczątki pojedynczej osoby. Rozwalili mi prawie pół piwnicy dla jednego kościotrupa! Dorosłego, jak twierdzi inspektor. Wygląda na to, że Karl pochował w piwnicy jedynie mamę Stasia.

– A co zrobił z chłopcem? – zapytałam i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, co znaczą słowa Kaśki. – Staś żyje! Skoro nie ma jego zwłok, on żyje! – zawołałam.

– Niekoniecznie – odezwał się Marcin. – Karl mógł go zakopać gdzie indziej,

bo nie chciało mu się rozwalać podłogi w piwnicy. Staś może być pochowany na przykład w szopie, w sadzie. Albo w miejscu, w którym nikt nigdy go nie znajdzie.

– Może jednak Karl go nie zabił? Może chłopcu udało się uciec? – powiedziałam z nadzieją.

Marcin pozbawił mnie złudzeń.

– Gdyby żył, nie pozwoliłby, aby zwłoki jego matki pozostały w piwnicy. Na pewno przeniósłby je na cmentarz.

Dreszcz przeszedł mi po plecach.

– Wejdźmy do domu. Robi się coraz zimniej – poprosiłam.

– Co masz w tej paczce? – zapytała Kaśka.

– Kupiłam wam ruskie pierogi.

– Fajnie! Zjem i się zbieram.

Wrzucając pierogi na patelnię, relacjonowała:

– Nasz szkielet pojechał do Gdańska, do zakładu medycyny sądowej. Poczekamy na ekspertyzę, a potem urządzimy mamie Stasia pochówek.

– Po co ta ekspertyza? Nie było jej w planach – zdziwiłam się.

– Inspektor powiedział, że jest taka możliwość. No a skoro jest, to czemu nie skorzystać? Nie powiem, trochę to będzie, kurczę, kosztowało, ale warto zapłacić, żeby mieć pewność, że w tym liście to prawda. Przyznaj, że sama chciałabyś wiedzieć, jak ona zginęła.

– Owszem, chciałabym mieć pewność.

– No właśnie, a ekspertyza to wykaże. Zostanie też ustalony wiek, płeć, przybliżona data śmierci. Analizy DNA nie ma sensu robić, bo nie ma materiału porównawczego.

Ustawiłam na kredensie trzy talerze.

– Kurczę, trochę mało tych pierogów – zauważyła Kaśka.

– Zjadłam pięć po drodze – przyznałam się.

– To teraz dostaniesz najmniej – oznajmiła, kładąc na moim talerzu tylko cztery.

ROZDZIAŁ V

Następnego dnia mój mąż zastał mnie w kuchni w dziwnej pozycji. Chodziłam na czworakach wzdłuż jednej ze ścian.

– Co ty wyrabiasz? – zapytał.

Uniosłam zaczerwienioną z emocji twarz.

– Jedna deska w podłodze jest o pół centymetra wyższa od pozostałych. Tu może być pochowany Staś...

– Beata, ty chyba zwariowałaś! Zastanów się, co mówisz. Kto by chował trupa w domu? Wiesz, jak musiałby śmierdzieć? I to przez wiele miesięcy.

Ostatnia wola chłopca nie dawała mi spokoju. Jego list przez pół wieku leżał ukryty na strychu, aż przeznaczenie włożyło go w ręce. Moje, nie kogoś innego. To ja powinnam dopilnować realizacji testamentu! Powinnam odnaleźć szczątki Stasia i pochować je w poświęconej ziemi.

Marcin nie podzielał mojego zaangażowania.

– Beata, zrozum, że szukasz igły w stogu siana – przekonywał mnie poirytowany.

Krążyłam więc po posesji sama, rozglądając się za miejscem, w którym Karl mógł zakopać ciało. Na moją wyobraźnię najbardziej oddziaływała szopa. Stała blisko domu, a więc odpadał problem z przetransportowaniem ciała. Pod osłoną nocy wystarczyło jedynie zrobić kilkanaście kroków z ciężkim workiem na plecach...

Otworzyłam niskie drzwi i weszłam do środka. Pod stopami miałam równe, twarde jak beton klepisko. Przesuwałam się powoli, szukając jakiejś nierówności, która wskazywałaby, że pół wieku temu ktoś naruszył tę płaszczyznę. Obeszłam prawie całą szopę i nic. Właściwie należałoby przekopać całość, cały sad również i jeszcze stodołę... Zatrzymałam się przy skrzyni zbitej z grubych desek. Podobna stała w piwnicy. Ta tutaj była wyższa, sięgała mi do połowy uda. Znajdowały się w niej opony i jakieś części samochodowe. Nie czułam się na siłach, by to wszystko wyładować, ale jeśli chciałam przesunąć skrzynię, nie miałam wyjścia.

Poszłam po Marcina. Zastałam go przy otwartych drzwiach na strych. Oglądał stojące na schodach wędki.

– Jak myślisz, gdzie tu można wędkować? – zapytał na mój widok.

– Przecież nie umiesz łowić. Nigdy tego nie robiłeś.

– A cóż to za sztuka? Zarzuca się kij i się czeka. Poza tym parę razy byłem z ojcem na rybach. Dawno, jeszcze nie chodziłem do szkoły. Niewiele pamiętam, tylko że raz zasnąłem na takim szerokim pniu za plecami taty. A gdy się obudziłem, ojca już nie było. Pojechał do domu beze mnie! Zwyczajnie zapomniał, że mnie zabrał. Potem mama już więcej mnie z nim nie puściła. Fajnego mam tatę, nie?

Na moment powróciłam myślami do dnia sprzed trzynastu lat, kiedy to posadziłam Gabrysię na korytarzu w urzędzie skarbowym i kazałam jej się nie

ruszać. Sama biegałam z piętra na piętro, odsyłana przez jedną urzędniczkę do kolejnej. Aż w końcu wyszłam z budynku, zapominając zabrać córkę. Dopiero w tramwaju zauważyłam jej brak. Nie musiałam długo przekonywać motorniczego, żeby się zatrzymał, wystarczyło szaleństwo w moich oczach... Nie chciało mi się teraz opowiadać o tym Marcinowi.

– Chodź lepiej. Jesteś mi potrzebny – powiedziałam.

Odstawił wędki i posłusznie ruszył za mną. Gdy dotarliśmy do szopy, poprosiłam, żeby opróżnił skrzynię. Nie zapytał po co.

– Dobrze, sprawdzimy, czy w skrzyni pod nią i za nią nie ma schowanego Stasia, ale już nigdzie więcej nie będziemy go szukać – oznajmił. – Zaczniemy w końcu spędzać urlop jak należy. Obiecujesz?

Zgodziłam się, a Marcin podwinął rękawy i przystąpił do opróżniania skrzyni. Wyjmował opony, zderzaki, akumulatory, lampy samochodowe i układał je rządkiem na klepisku. Sapał przy tym jak parowóz. Na chwilę zatrzymał się nad niemieckim hełmem, włożył go na głowę i zasalutował. Pogoniłam go, niechętnie odłożył znaleźisko. Gdy skrzynia opustoszała, stanęliśmy oboje u jej szczytu i spróbowaliśmy ją popchnąć. Nawet nie drgnęła. Marcin wbił przecinak tuż przy jej ścianie.

– Wkopana jest w ziemię – zaanonsował krótko. – Nie ruszymy jej za Chiny.

– Możemy ją odkopać – powiedziałam i złapałam za szpadel.

Ustawiłam ostrze i przycisnęłam butem. Narzędzie obróciło się w moich dłoniach, zupełnie jakbym próbowała wbić je w beton.

– Odkopanie tej skrzyni będzie trudniejsze niż rozwalenie podłogi w piwnicy – oznajmił Marcin.

– Ale musimy sprawdzić, czy pod skrzynią nie ma Stasia. Rozumiesz? Musimy. Czuję, że on tam może być.

– Obiecuję ci, że przed wyjazdem znajdę kogoś do pomocy i ruszę ten kłopot z miejsca. Ale na razie zamierzam się cieszyć urlopem.

Trudno było mi pogodzić się z chwilowym odstąpieniem od poszukiwań. Miałam wrażenie, że jestem bardzo blisko celu. Kopnęłam ze złością w deski, tak mocno, że aż zabolęła mnie noga. Marcin wyciągnął mnie z szopy. Widziałam jego ściągnięte brwi i przymrużone oczy. Był zły, ale nie na niedającą się ruszyć skrzynię, lecz na mnie. Irytowała go moja zawziętość, upór.

– Beata, proszę... Spędźmy w spokoju kilka dni – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Wiedziałam, że jeżeli się nie zgodzę, on gotów jest wrócić beze mnie do Poznania. Obiecałam, że na kilka dni zapomnę o Stasiu.

Powróciliśmy zatem do wcześniejszych urlopowych planów. Jeszcze tego samego dnia wybraliśmy się na wycieczkę rowerową. Owinęliśmy twarze szalikami, na dłonie włożyliśmy rękawiczki i ruszyliśmy szlakiem bursztynowym

przez las. Przez kilkanaście kilometrów mój pojazd podskakiwał na nierównościach. Naciskałam mocno na pedały, jednocześnie unosząc obolały zadek. Wieczorem uklękałam przed łóżkiem, wtuliłam twarz w poduszkę i zaczęłam jęczeć, że mam siniaki na tyłku. Marcin podszedł i ściągnął mi spodnie razem z majtkami. Wyprostowałam się gwałtownie. On jednak przycisnął mi głowę do poduszki, obejrzał moją pupę i siląc się na lekarski ton, oznajmił:

– Zalecam jutro godzinny bezpośredni kontakt z siodełkiem...

Roześmiałam się.

A następnego dnia zgodziłam się popedałować do Kątów Rybackich. Na miejscu przyczepiliśmy rowery do barierek przy nieczynnym lokalu gastronomicznym i poszliśmy na plażę. Tam, za pomocą stalowej liny, właśnie wyciągano łodzie na brzeg. Podniecona podbiegłam do kutra, aby zobaczyć efekt połowu.

Z bliska łodzie prezentowały się jak masywne morskie kolosy. Żeby cokolwiek dojrzeć, musiałam wspinać się na palce. Gdy stanęłam przy burcie drugiego kutra, pochyliło się nade mną dwóch rybaków. Złapali mnie za ramiona i wciągnęli do środka. Odurzona silną wonią ryb i smoły, przysiadłam na mokrej ławce.

– To dla pani – powiedział jeden, rzucając mi na kolana dużą flądre.

Wystraszona, odchyliłam się do tyłu. Flądra zaczęła zsuwać się z kolan, złapałam ją w ostatniej chwili. Miałam mokre spodnie, ręce również. Zrobiłam płaczliwą minę.

– Co za kobita! Dajesz jej rybę, a ona nawet nie podziękuje, całusa nie da, tylko się krzywi!

Spojrzałam na rybaka. Miał około pięćdziesiątki, mocno przerzedzone włosy i obwisłe policzki. Jakoś nie miałam ochoty dziękować mu całusem.

– Bo kobietom daje się kwiaty, a nie ryby. Pamiętaj, Franiu, kwiaty! Za kwiatka pani by cię na pewno pocałowała – odezwał się drugi, nieco młodszy, z rybimi łuskami na rękawach kurtki.

– Dziękuję! Bardzo dziękuję za rybkę. Będzie na kolację – wykrztusiłam w końcu.

Starszy rybak uśmiechnął się szeroko, odsłaniając ubytki w dolnej szczęce.

– Tak, ryb trzeba jeść jak najwięcej – oznajmił. – Bo mają fosfor i dobrze wpływają na inteligencję. Tak mówią naukowcy, ale to prawda. Widzę to po sobie.

– Oj tak, Franiu! Po tobie tę inteligencję widać już z daleka – wtrącił drugi rybak.

Franiu ciągnął, nie zwracając uwagi na uszczypliwość:

– Ta jedna fląderka dla pani to będzie za mało. Zdecydowanie za mało fosforu.

– Myśli pan, że ja potrzebuję go więcej? – zapytałam.

– No, przecież taka piękna kobieta nie będzie jadła kolacji sama... Mam rację? A taka jedna fląderka na dwie osoby to co to jest? Ani do najedzenia, ani

do zmyślenia.

Zrozumiałam w końcu, czego ode mnie oczekuje.

– To ja bym kupiła jeszcze ze dwie sztuki, ale może nie flądę, tylko coś innego – powiedziałam skwapliwie. – Mają może panowie sandacza?

– Mamy dorsza – odpowiedzieli.

Młodszy zapakował mi w reklamówkę trzy dorsze i tę darowaną flądę. Podałam pakunek Marcinowi, usiadłam na burcie kutra, przełożyłam nogi i zeskoczyłam na piasek.

Gdy wróciliśmy do Sztutowa, ułożyłam ryby na pniu przy stodole. Najpierw jasne dorsze, wszystkie z otwartymi pyskami. Na samym brzegu pniaka spoczęła ciemna flądra. Spojrzałam w jej oko, nierozumne i spokojne. Mokre i śliskie płaskie ciało przytrzymałam lewą ręką, w prawą chwyciłam nóż i silnym uderzeniem wbiłam go w rybią głowę. Poczułam opór ości. Przycisnęłam mocniej ostrze i z cichym trzaskiem odciąłam łeb. Ześlizgnął się wprost pod moje stopy. Odsunęłam go czubkiem buta.

Miałam właśnie rozciąć białawy brzuch, ale odezwała się moja komórka. Odruchowo skierowałam mokrą dłoń do kieszeni, lecz zatrzymałam się w pół drogi. Z domu wyszedł Marcin. Niósł miskę na sprawione ryby.

– Ktoś przed chwilą do mnie dzwonił. Sprawdź kto – poprosiłam.

Wyjął telefon, a ja powróciłam do patroszenia.

– To Kaśka – zakomunikował.

Wrzuciłam flądę do miski. Dłonie miałam tak przemarznięte, że nie mogłam utrzymać noża. Poprosiłam Marcina, żeby dokończył, i pobiegłam do domu umyć ręce. Gdy wróciłam, rozmawiał z Kaśką. Podał mi aparat.

– Ma dla ciebie jakieś sensacyjne wieści – powiedział.

Przyłożyłam komórkę do ucha.

– Beata, nie uwierzysz! – usłyszałam rozemocjonowany głos przyjaciółki. – Nie uwierzysz, co się stało! Wyobraź sobie, że ten szkielet to wcale nie kobieta, tylko facet! Najprawdziwszy facet!

Miałam wrażenie, że znaczenie słów dociera do mnie dużo później niż ich artykulacja.

– Przecież to niemożliwe... – stwierdziłam, gdy już pojęłam.

– Możliwe, bo tak właśnie jest. Znam wyniki oględzin, wprowadź jeszcze nieoficjalne, bo nie na papierze, ale przed chwilą rozmawiałam z lekarzem przez telefon.

Marcin podwinął do łokcia rękawy, wziął nóż i energicznie przystąpił do sprawiania dorszy. Patrzyłam na niego i słuchałam.

– I ten lekarz powiedział mi, że to mężczyzna, około czterdziestoletni, z dużymi brakami w uzębieniu. Ale Beata, o najważniejszym jeszcze nie wiesz. On nie umarł śmiercią naturalną. On został zamordowany. – W tej chwili Kaśka zrobiła

dłuższą pauzę, jakby chciała zaakcentować wagę wiadomości. – W tylnej części czaszki jest spore wgniecenie. Mogło powstać od uderzenia siekierą.

Gapiłam się, jak Marcin sprawnie odcina rybi łeb, jak rozcina brzuch aż do ogona i wkłada ostrze do wnętrza, a następnie kilkoma ruchami patroszy do czysta. Wnętrznosci, śliskie i sine, spływały z pniaka.

– Co ty o tym sądzisz? – zapytała Kaśka.

Moje myśli kręciły się jak w kołowrotku. Nie byłam w stanie ich zatrzymać i uporządkować.

Marcin spojrzał na mnie.

– Coś się stało? – zapytał z niepokojem.

– Nic... – wyszeptałam.

Kaśka uznała, że właśnie udzieliłam jej odpowiedzi.

– Jak to: nic? Przecież to oczywiste, że ten szkielet należy do Karla! To nie on zabił żonę, lecz ona jego.

– Ale przecież Staś napisał... – zaczęłam niepewnie.

Kaśka mi przerwała.

– Wiesz, co ja myślę o tym liście? Myślę, że to taki dziecięcy mechanizm obronny. Mały widział, jak matka zabija ojczyrna, ale jego świadomość nie dopuszczała tej potworności. Stąd konfabulacja.

Gdy skończyłam rozmawiać, w misce leżały już dwa wypatroszone dorsze, a Marcin właśnie rozkrawał trzeciego. Zrelacjonowałam mu rewelacje Kaśki. Zdziwił się, nawet bardzo. Uniósł upačkany rybimi wnętrznosciami nóż.

– Ależ ten Karl musiał zaleźć jej za skórę, skoro go zabiła! Może lał ją i dzieciaka, aż w końcu nie wytrzymała i go trzasnęła? Takie rzeczy się zdarzają.

Dobrze wiedziałam, że się zdarzają. Sama kilka lat temu podniosłam rękę na ojca Gabrysi, umęczona ciągłą szarpaniną, popychaniem. Omal go wówczas nie zabiłam.

– Ta staruszka na wózku powiedziała, że Karl to diabeł. Wygląda na to, że ludzie tutaj wiedzieli o jego okrucieństwie.

– Tym bardziej nie możemy się dziwić, że go walnęła tą siekierą. Tyran, Niemiec, a jak Niemiec, to i nazista. Przecież to było kilkanaście lat po wojnie, na pewno wciąż uważał się za nadcześniaka. Ożenił się z Polką, żeby mieć służącą, a pasierba traktował gorzej niż psa. Należało mu się.

– Szybko osądziłeś tego Karla... Za szybko. A może było zupełnie inaczej? Może to był normalny facet z żoneczką psychopatką?

Marcin powrócił do patroszenia dorsza.

– Zastanawia mnie tylko jedno – powiedział po chwili. – Czy sama dałaby radę zakopać go w piwnicy? Zabić z zaskoczenia to tak, bez problemu, ale przenoszenie zwłok, zagrzebywanie ich to nie robota dla kobiety. Czy czasem nie miała współnika? Dziewięcioletni wystraszony chłopiec raczej by jej nie pomógł. To

musiałyby być ktoś dorosły.

Gdzieś blisko rozległo się przeraźliwe miauczenie. Rozejrzeliśmy się oboje, ale to ja pierwsza dostrzegłam rudego kocura skradającego się wzdłuż stodoły.

– Przyszedł na rybkę – stwierdził Marcin i rzucił mu łeb.

Kot jednym susem znalazł się przy rybiej głowie, chwycił ją w zęby i zaczął się wycofywać. Zatrzymał się przy rogu stodoły i przystąpił do spożywania przysmaku.

– Wcale nie jestem przekonana, że to szczątki Karla. Nie mamy żadnego dowodu, nawet poszlaki. Dobrze byłoby coś takiego znaleźć. I chciałabym raz jeszcze porozmawiać z tą staruszką na wózku. Gdyby ona powiedziała, że Karl niespodziewanie zniknął, wyjechał pół wieku temu, to już byłoby coś.

– Najpierw poszukajmy Karla Dietricha w księgach parafialnych i na cmentarzu. Jeżeli go tam znajdziemy, to nie on leżał w piwnicy.

Dobry pomysł. Na cmentarz każdy ma prawo wstępu, niemal przez całą dobę. Możemy tam jechać zaraz. A jeśli nie znajdziemy odpowiedzi, dopiero wtedy zaczniemy szukać kontaktu z ludźmi, ze starszymi mieszkańcami Sztutowa.

Podniosłam miskę, w której leżały wszystkie cztery sprawione ryby.

– Mamy Stasia też powinniśmy poszukać na cmentarzu. Proponuję od razu.

– Tylko umyję ręce.

Marcin wziął ode mnie miskę i poszedł do domu. Czekałam, obserwując rudego kota. Był duży, zadbany, miał dwie białe skarpetki na przednich łapach. Zapewne oswojony, a mimo to nieufny. Ponownie zaczął się skradać w kierunku pniaka. Złapał w zęby kolejny rybi łeb i oddalił się dostojnie. Załedwie o metr.

Parafialny cmentarzyk był nieduży, raptem pięć alejek, wzdłuż każdej około trzydziestu grobów. Całość otaczała zwykła siatka, wejście pozbawione było furtki. Szłam pierwszą alejką i czytałam napisy na nagrobkach. Gdzieś niedaleko ujądał pies. W gałęziach pobliskich drzew odzywały się wrony. Nachyliłam się, podniosłam dwa leżące na ścieżce znicze i ustawiłam je przy czarnym granicie. Niedawna wichura zmioła szklane i plastikowe znicze, w zamian przynosząc foliowe torebki i przegniłe liście. Podeszłam do grobu z drewnianym krzyżem i pojedynczą płonącą lampką. Pod szklaną kopułą poruszał się nikły płomyk. Spojrzałam na datę pochówku: 2010. W tej alejce wszystkie groby pochodziły z ostatniej dekady. Weszłam w drugą, którą sprawdzał Marcin.

– Tutaj nie ma ani Karla Dietricha, ani Anny Dietrich – oznajmił, gdy się zbliżyłam.

Razem weszliśmy w kolejną. Zatrzymywałam wzrok na każdej płycie, na każdym nazwisku. Mijaliśmy pomniki: granitowe, piaskowcowe, marmurowe, trafiały się ziemne kopczyki. Na jednej z mogił leżało kilka kamieni. Najstarsze pochodziły z lat osiemdziesiątych.

– Gdzie są te wcześniejsze? – zapytałam.

– Może w Kątach, a może w Stegnie? Drugiego cmentarza raczej tu nie ma, chociaż kto wie?

Skuliłam się z zimna. Pobliskie ujadanie nie ustawało. Skierowałam się w stronę wyjścia.

– Jedź do domu i wstaw rybę do piekarnika – powiedziałam. – Ja jeszcze pójde na plebanie i poproszę o księgi. Może tam znajdę Dietrichów?

Na cmentarzu pojawiła się postać w ciemnym płaszczu i czarnym kapeluszu, żywcem jak z filmu Hitchcocka. Brakowało jedynie kamiennego muru, rozpadających się krzyży i bijących w oddali dzwonów. Uśmiechnęłam się do mijanego mężczyzny, a on odpowiedział skinieniem głowy.

Stałam przed drzwiami plebanii i nacisnęłam dzwonek. Otworzyła mi kobieta w średnim wieku. Patrzyła na mnie, wysuwając ku przodowi małą głowę. Jej zaciśnięte wąskie usta nie zapowiadały niczego dobrego. Uśmiechnęłam się.

– Czy mogłabym zobaczyć się z księdzem? – zapytałam uprzejmie.

– Ma na myśli proboszcza? – uściśliła chłodno.

– Tak.

– Kancelaria czynna od czternastej do szesnastej – oznajmiła i wykonała ruch, jakby chciała zamknąć drzwi.

– To bardzo ważne – powiedziałam szybko.

Zawahała się.

– Niech wejdzie – zdecydowała.

Mamrocząc pod nosem, zniknęła za drzwiami z witrażem. Gdzieś w głębi domu stuknęły kolejne drzwi. Minuty mijały, czekałam. Może zapomniała? Po chwili jednak zza witraża dobiegł mnie głos:

– Co za ludzie! Przylezie taka i zaraz z proboszczem chce gadać, jakby proboszcz nic innego nie miał do roboty, tylko gadać z takimi tam. Proboszcz też człowiek i musi odpocząć i zjeść w spokoju, bo jeść w pośpiechu nie można, bo na żołądku stanie, a proboszcz ma delikatny żołądek, ja o tym najlepiej wiem. Gdy robiłam księdzu kartoflaka, to pamięta ksiądz, jak rzygał, bo jadł za szybko? Kto to widział, żeby tak na łapu-capu łykać?

– Pani Jadwigo, litości... – poprosił pleban słabo.

Ujrzałam go we drzwiach.

– Niech będzie pochwalony... – przywitałam się.

– Kto ma być pochwalony? Może ja? – zapytał.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – wypowiedziałam kompletną formułkę.

– Na wieki wieków amen – odpowiedział i postąpił krok do przodu.

Dopiero teraz mnie rozpoznał.

– To pani przychodziła z tą rudą panią w sprawie pochówku tego zabitego chłopca i jego mamy? Ja już napisałem do biskupa diecezjalnego i naświetliłem

sytuację. Myślę, że się zgodzi, ale trzeba jeszcze trochę poczekać na odpowiedź. Jakies dwa, trzy tygodnie.

Złożyłam ręce jak do modlitwy.

– Proszę księdza, wiele się zmieniło. – Zaczęłam wyjaśnienia. – Okazało się, że w piwnicy zakopany był tylko jeden szkielet. W zakładzie medycyny sądowej stwierdzono, że należy do mężczyzny. No i mamy teraz problem, bo nie wiemy do kogo...

Proboszcz wzniósł oczy do nieba.

– To znaczy, że to nie szczątki chłopca i jego mamy? – zapytał zdumiony.

– Nie, na pewno. To ktoś zupełnie inny.

– Kto to taki?

– No właśnie próbuję ustalić, kim jest ten mężczyzna...

– To właściwie nie jest konieczne – przerwał mi ksiądz. A widząc moje zdziwienie, wyjaśnił: – Możecie go pochować jako NN. Ale nie tutaj, a na cmentarzu miejskim. Oczywiście będzie to pogrzeb świecki.

Kiwałam głową na znak zgody.

– Podejrzewamy, że szkielet należy do niejakiego Karla Dietricha. Ksiądz pamięta, to ów Karl miał rzekomo zabić chłopca i jego mamę. To o nim napisał Staś w liście. My jednak myślimy, że stało się dokładnie odwrotnie i że to Karl został zabity przez żonę i być może jakiegoś jej współnika. Chciałam księdza prosić o zgodę na zerknięcie w księgi parafialne. Żeby sprawdzić, czy Karl nie został pochowany na którymś z pobliskich cmentarzy. Jeżeli tak, oznaczałoby to, że na pewno nie on został zakopany w piwnicy.

– Proszę za mną – powiedział ksiądz i otworzył drzwi do kancelarii.

Zobaczyłam te same dwie szafy, to samo ogromne biurko z komputerem i metalowym krzyżem. W pomieszczeniu pachniało teraz jakimiś chemikaliami. Domyśliłam się, że niedawno wypastowano drewnianą podłogę, i spojrzałam na buty. Z wierzchu wyglądały na czyste, ale w podeszwach tkwiły zapewne grudki cmentarnej ziemi. Zsunęłam z nóg obuwie i przekroczyłam próg.

– Od którego roku chce pani przeglądać wpisy w księdze zgonów?

– Od 1959. Jeżeli sugerujemy się datą na liście Stasia, to w tym roku Karl jeszcze żył.

Ksiądz położył na biurku cztery grube tomy.

– Pierwsza księga zgonów zaczyna się w roku 1955, ostatnia kończy się na 2010.

Otworzył pierwszą i zaczął szybko przerzucać strony. Zatrzymał się w połowie tomu.

– Tutaj zaczyna się rok 1959 – zakomunikował. – Niestety, nie mam czasu, by pani towarzyszyć...

– Poradzę sobie sama – powiedziałam i usiadłam.

Za proboszczem zamknęły się drzwi, a ja oddałam się lekturze. Pierwszy zapis pochodził ze stycznia. Przerzuciłam kilka kartek, szukając wzrokiem listopadowej daty; były grube i pożółkłe, pismo zaś wyblakłe, mało czytelne. Z przymrużonymi oczami śledziłam kolejne wersy. Na początku ogarniałam jeszcze wzrokiem całe imię i nazwisko, ale po pół godzinie koncentrowałam się już tylko na dwóch początkowych literach imienia. Gdy trafiałam na „Karola”, przez mój wyłączony z myślenia mózg przechodził impuls pobudzający do aktywności szare komórki. „Anna” nie elektryzowała mnie aż tak bardzo. Otworzyłam drugą księgę. Tutaj papier był jaśniejszy, pismo lepiej widoczne. Mój wzrok szybciej przesuwał się po wpisach, ale komfort czytania nie trwał długo. Po kilkunastu stronach zmienił się charakter pisma, litery stały się niekształtne, rozciągnięte. Coraz częściej musiałam prostować na chwilę plecy, bywało, że po każdej kartce. Niewiele to pomagało, kark zeszywniał na amen. A może wstać i przejść się po kancelarii?, pomyślałam. Nie, szkoda czasu! Chciałam jak najszybciej zakończyć przegląd, bo już dopadło mnie ssanie w żołądku. W pewnej chwili zauważyłam, że przesuвам wzrokiem po wpisach, nie rozpoznając liter. Nie byłam w stanie ustalić momentu, w którym przeszłam na bezmyślny tryb, więc cofnęłam się o trzy strony. Gdy otworzyłam trzeci tom, do kancelarii zajrzała gosposia.

– Chce herbaty? – zapytała.

Miałam wrażenie, że w głosie kobiety zabrzmiała życzliwa nuta.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu... – zaczęłam niepewnie.

Kobieta nie pozwoliła mi na obiekcje.

– Przy herbacie będzie lepiej pracowała – oświadczyła stanowczo.

Pięć minut później weszła z białą filiżanką. Postawiła ją na brzegu biurka.

– Czy może słyszała pani kiedyś o mieszkającym w okolicy Karlu Dietrichu? – zapytałam.

– O Karlu Dietrichu... – powtórzyła, jakby usiłowała przypomnieć sobie osobę, do której należy nazwisko. – To chyba jakiś szkop – powiedziała po chwili.

– Tak, to Niemiec. Znała go pani?

– Nie, nie znałam. Nikt taki za moich czasów tutaj nie mieszkał. Chociaż może się mylę... – Mówiąc, poruszała głową. Mały siwy kok podrygiwał prawie z każdym słowem. Położyła dłoń na biodrze i ciągnęła: – Jak pani powiedziała nazwisko, to tak mi zaświtało w głowie, jakbym już gdzieś je słyszała. Ale nie wiem gdzie. Może ktoś o niego kiedyś pytał albo ktoś mi o nim gadał. Nie pamiętam.

Na spodeczku obok filiżanki leżało czekoladowe serduszko. Włożyłam je do ust i popiłam herbatą. Byłam wdzięczna za ten niewielki poczęstunek.

– Gdyby pani przypomniała sobie cokolwiek o Karlu Dietrichu albo o jego żonie Annie, proszę powiedzieć proboszczowi. On wie, gdzie mnie znaleźć.

– A po co szuka tego Niemca? To jakaś rodzina? – zapytała, zaglądając

do otwartej księgi zgonów.

– Nie, nie rodzina. Podejrzewam, że ów Karl został zamordowany, ale nie mam co do tego pewności. Szukam kogoś ze Sztutowa, kto może go znał i pamięta, czy zniknął, czy po prostu zmarł.

Kobieta stała przede mną z na wpół otwartymi ustami. Na jej czole pojawiły się głębokie bruzdy, widomy znak zastanowienia.

– Zapytam mojego teścia – obiecała, wyraźnie poruszona. – On tu mieszka od zawsze, może pamięta tego Niemca. Ja jestem z Krynicy, a w Sztutowie mieszkam dopiero od trzydziestu lat.

Kobieta wyszła, a ja powróciłam do ksiąg. Popijając herbatę, przesuwałam wzrokiem po początkowych literach kolejnych nazwisk. Otworzyłam ostatnią księgę i z ulgą spostrzegłam, że pismo nie wyblakło, papier jest jasny, a litery wykaligrafowane starannie. Teraz czytanie szło mi szybciej i było mniej męczące.

Wreszcie przewróciłam ostatnią kartkę. Siedziałam przez chwilę nieruchomo. Informacji o zgonie Karla Dietricha nie znalazłam. Tego się właściwie spodziewałam, bo przecież on został pochowany w piwnicy Kaśki. Ale dlaczego w księgach nie odnotowano śmierci Anny Dietrich? Czyżby opuściła Sztutowo po zamordowaniu męża? Wielce prawdopodobne.

Przyjechał po mnie Marcin. Wsiadłam do samochodu i od razu zdałam mu relację z efektów wizyty na plebanii.

– Może Anna Dietrich jeszcze żyje – zauważył mój mąż.

Musiałam przyznać, że to możliwe. W roku 1959 jej syn miał dziewięć lat, ona około trzydziestki, a więc dzisiaj byłaby osiemdziesięcioletnią panią.

W domu czekał na mnie pieczony dorsz. Rozciąłam folię aluminiową, odsłaniając białe mięso, grubo obłożone cebulą i marchewką. Ciepła para przesycona zapachem ryby i warzyw uderzyła w moje nozdrza, zmuszając żołądek do wydzielenia dużej ilości soków trawiennych. Jadłam szybko, nic sobie nie robiąc z przestróg gospośki proboszcza. Marcin postawił przede mną kufel z jasnym piwem. Piana sięgała jednej trzeciej naczynia. Wypiłam łącznie połowę. Po obiedzie otworzyłam kolejny specjal, ale tym razem dolałam soku malinowego. Usiadłam w sypialni przy piecu i popijałam. Rozkoszowałam się ciepłym bijącym od kafli. Przyciskałam do nich mocno plecy i trzymałam tak długo, aż zaczynały parzyć. Do pokoju wszedł Marcin i ciężko usiadł na łóżku.

– Ale se podjadłem, jak nigdy. To, kurde, prawda, że urlop zmienia tuszę, a nie duszę. – Odchylił się i rozpiął pasek przy spodniach. – No co? Przyznasz, że rybka wyszła mi super?

Lubił być chwalony. Nie żałowałam mu pochwał, bo wywierały pozytywny skutek. Raz za coś doceniony, Marcin starał się wykazać w danej materii ponownie. Więc jeśli go teraz pochwalę, podczas urlopu raz jeszcze upiecze rybę. Z mężczyznami jak z dziećmi, a raczej jak z psami – pogłaskani zaaportują

ponownie. A może kobiety wcale nie są inne?

- Pychotliwe. Skąd wiedziałeś, że dorsz lubi marchewkę i cebulę?
- Nie miałem pojęcia. Marchewka i cebula były w spizarce, to je dodałem.
- Ty mój geniuszu kulinarny – powiedziałam, głaszcząc stopą jego kolana.

Osunął się w pościel, podparł ręką głowę. Jeszcze bronił się przed snem. Coś powiedział niewyraźnie, ale po chwili usłyszałam chrapanie. Odstawiłam na parapet pusty kufel, wzięłam laptopa i przeszłam do pokoju z kominkiem.

Palenisko zionęło ciemną, zimną otchłanią. W półmroku ogromne dębowe meble poszarzały. Aby przywołać przytulny nastrój, włączyłam lampkę stojącą na kredensie. Bursztynowe światło odbiło się w wysokim lustrze znajdującym się w rogu pokoju i przywróciło meblom brąz. Deski w podłodze swojsko skrzypiały niemal przy każdym moim stąpieniu. Gdzieś pod sufitem brzęczała mucha.

Usiadłam przy okrągłym stole przykrytym serwetą i uruchomiłam komputer. Uśmiechnęłam się na widok opisu umieszczonego przez Gabrysię na GG:

„Za górami, za lasami mieszka mamunia ze szkieletami”.

Kliknęłam w pole edycji i zaczęłam pisać.

„Już nie mieszkam ze szkieletami. Ten jeden, który był zakopany w piwnicy, pojechał do zakładu medycyny sądowej w Gdańsku. Czy uwierzysz, Gabrysiu, że ten szkielet nie należy wcale do kobiety, ale do mężczyzny? Zatem nie może to być mama Stasia. Podejrzewamy, że w piwnicy został zakopany Karl. Prawdopodobnie zabiła go żona, która nie mogła znieść tyranii”.

Nacisnęłam przycisk „wyślij”, a następnie wpisałam w wyszukiwarce dwa słowa: „Karl Dietrich”. W wynikach pojawił się jakiś niemiecki polityk o tym nazwisku, odnotowany przez Wikipedię, oraz młody inżynier z Monachium, posiadający profil na Facebooku. Znalazłam serwis z bezpłatnymi ogłoszeniami, gdzie zamieściłam komunikat o następującej treści:

„Interesują mnie wszelkie informacje o Karlu Dietrichu, zamieszkałym po wojnie w Sztutowie. Będę wdzięczna za każdą wiadomość”.

Podalam adres e-mail i podpisałam się. Szanse, że ktoś się odezwie, były niewielkie. Właściwie liczyłam wyłącznie na Stasia, a raczej na sześćdziesięcioletniego dzisiaj pana Stanisława. Może i jemu przyjdzie do głowy, by wpisać w wyszukiwarce nazwisko znienawidzonego ojczyma? A wtedy natrafi na moje ogłoszenie. Może się odezwie i w końcu dowiemy się, co takiego stało się tutaj pół wieku temu?

Na GG pojawiła się wiadomość od Gabrysi. Otworzyłam ją i zaczęłam czytać:

„Mamuniu, z wykopanymi kośćmi przeważnie bywa tak, że należą do kogoś innego, niż się z początku zakłada. Jako studentka archeologii coś o tym wiem. Jedną z takich historii pokrótce ci przytoczę. Po wojnie we Wrocławiu znaleziono dwie mumie. Tak, mamuniu, mumie to nie tylko egipska atrakcja, u nas też takowe znajdują. Jedna z nich, ta bardziej zniszczona, miała na głowie koronę. Wszem

wobec otrąbiono, że oto odnaleziono mumię piastowskiego władcy! Jakież było zdziwienie, gdy okazało się, że korona wykonana jest z aluminium! Zapewne jakiś niemiecki naukowiec odkrył truchła już przed wojną i dla żartu jednemu założył koronę. A skoro mumia miała fałszywą koronę, nie mogła być piastowskim władcą. Okazało się, że pochodziła ze starożytnego Egiptu. Widzisz sama, mamuniu, jak to jest ze znaleziskami. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ten wasz szkielet nie należał do Karla, a do zupełnie kogoś innego...

Wracając do moich mumii, to naukowcy uratowali tę lepiej zachowaną, przenosząc ją na Uniwersytet Wrocławski. Tam niedawno zaczęto ją badać i okazało się, że została wypreparowana w szczególny sposób, bo oprócz wnętrza czaszki wyczyszczono też rdzeń kręgowy”.

Wyłączyłam komputer i podeszłam do okna. W głębokiej szarówce dostrzegałam kontury naszego samochodu. Stojąca kilka metrów dalej szopa zlewała się z ciemnym tłem sadu. W zasięgu mojego wzroku znajdował się także fragment kamiennego ganku. Widziałam gruby filar, róg drewnianego dachu i schodki. Serce zabiło mi szybciej. Ktoś tam stał. Kto? Dlaczego nie puka, nie dzwoni? Ogarnął mnie niepokój. Pobiegłam do sypialni, złapałam Marcina za ramię. Otworzył oczy.

– Ktoś stoi na naszym ganku! – wyszeptałam.

– I co z tego? – zapytał zaspanym głosem.

– Chodź ze mną! Otworzymy drzwi i sprawdzimy kto to!

Podnosił się powoli. Pobiegłam do pokoju z kominkiem i znów wyjrzałam przez okno. Ciemna postać schodziła po schodkach. Rzuciłam się do drzwi, otworzyłam. Nikogo nie było. To niemożliwe, żeby tak szybko zdołał się oddalić! Wyszłam na ganek.

– Kto tu jest? – niemal krzyknęłam.

Odpowiedziało mi huczenie sowy. Wyteżałam wzrok, próbując przeniknąć głęboką szarość. Widziałam samochód, szopę, stodołę i ciemną przestrzeń sadu. Nigdzie żadnej osoby, żadnego ruchu. Zimne powietrze wciskało się pod mój sweter. Drgnęłam, gdy pod drewnianym dachem ganku rozbłysła włączona przez Marcina żarówka. Przestrzeń znajdująca się poza strumieniem światła pograżyła się w kompletnym mroku.

– Kto to był?

– Nie wiem. Nie zdążyłam zobaczyć.

Rozległ się sygnał komórki, krótki, jak przy esemesie. Gdzieś blisko, kilka metrów od nas.

– Kto tu? – zapytałam ponownie.

Z ciemności wyłoniły się dwie sylwetki. Zbliżały się do nas powoli. Marcin wysunął się przede mnie.

– Dobry wieczór – odezwał się jeden z przybyszy.

Przy schodkach stanęło dwóch chłopaków z plecakami.

– Czego tu szukacie? – zapytał ostro Marcin.

– Militariów. No wie pan: bagnety, hełmy, skrzynie po nabojach. I takie tam.

– To dlaczego się tak skradacie, kręcicie wokół domu? Nie lepiej było od razu zadzwonić do drzwi?

– Miałem już pukać, ale jest późno. Tata kazał nam wracać autobusem po osiemnastej.

Chłopcy byli bardzo młodzi. Ten, który mówił, nie miał więcej jak szesnaście, siedemnaście lat. Drugi chyba był młodszy.

– No to mają państwo jakieś militaria?

Stanęłam obok męża.

– My tutaj tylko spędzamy urlop. Właścicielki nie ma. Powiem jej, że byliście i czego szukacie.

– Zostawię pani wizytówkę mojego taty. Jak coś się znajdzie, proszę zadzwonić. Któryś z nas przyjedzie.

Chłopak szybko pokonał kamienne schodki i wręczył mi kartonik.

– Takie chodzenie po domach przynosi efekt? Nie lepiej szukać w sieci? – zapytał Marcin.

– Żeby pan wiedział, co ludzie mają po domach i nawet o tym nie wiedzą! Raz trafiłem na amerykański telefon polowy w oryginalnym skórzanym futerale. Czad! Ojcu kapcie spadły, jak go zobaczył. Najfajniej jest, jak ludzie wpuszczają nas do domu albo do stodoły. Mówią, że nic nie mają, a jak już zaczniemy szukać, to znajdujemy taśmy amunicyjne, skrzynki na zapalniki, wojskowe plecaki, menażki, saperki. I wszystko w dobrym stanie.

– A karabin też wam się trafił? – zainteresował się Marcin.

– Jeszcze nie. Z karabinami jest tutaj ciężko. Lepiej w południowo-wschodniej Polsce. Tam szybciej można coś znaleźć.

Dobrze rozumiałam tę ich pasję poszukiwania materialnych śladów wojennej przeszłości. Przypominała mi moje zamiłowanie do szperania po strychach, tyle że ja nie tropiłam konkretnych przedmiotów. Interesowała mnie każda rzecz: stara, nietypowa, opowiadająca jakąś historię. No i nie byłam kolekcjonerką, a znajduwane przeze mnie drobiazgi z czasem gdzieś przepadały.

Chłopcy pożegnali się i zniknęli w ciemności.

Zmarznięci schroniliśmy się do domu.

ROZDZIAŁ VI

Ciężkie śniegowe chmury wisały nisko nad naszymi głowami. W każdej chwili mogło zacząć sypać. Wchodziliśmy do kolejnych baraków za grupą młodych ludzi prowadzonych przez anglojęzycznego przewodnika. Po jakimś czasie dosłyszałam, że są z Izraela. Szli w milczeniu, z posępnymi twarzami. My również. Długo staliśmy przed pomnikiem, na którym wyryto napis:

„Los nasz dla Was przestrożą ma być, nie legendą. Jeśli ludzie zamilkną, głązy wołać będą”.

W głowie kołatała mi jedna liczba: sto dwadzieścia tysięcy. Właśnie tyle osób przeszło przez bramę śmierci. Na początku była to tylko liczba, ale po chwili zaczęła się przeistaczać, przybierać dziwne kształty, aż zmieniła się w ludzką twarz. Przerazającą, wykrzywioną strachem i cierpieniem. Obok tej twarzy pojawiła się kolejna, z podobnymi rysami, a potem następne. Przycisnęłam dłońmi skronie. Nie miałam ochoty widzieć stu dwudziestu tysięcy przerażonych, wychudzonych fizjonomii...

Opuściliśmy teren muzeum i powoli, w milczeniu, poszliśmy w stronę samochodu. Nagle dobiegł mnie narastający gwar. Obejrzałam się. Za nami podążali Izraelczycy, wszyscy jak jeden roześmiani i rozgadani, jakby właśnie wyszli z wesołego miasteczka. Patrzyłam zaskoczona.

– Nie dziw się – powiedział Marcin. – Oni w tym tygodniu widzieli już Auschwitz, Treblinkę i Majdanek. Przywykli.

Zaparkowaliśmy przed piekarnią i wysiedliśmy z auta. Dwóch małych chłopców w identycznych pomarańczowych kurteczkach turlało po chodniku pustą butelkę po piwie. Kopnięta zbyt energicznie, podskoczyła na nierówności i stoczyła się wprost pod nasze renault. Jeden z chłopców wczołgał się pod samochód i wyciągnął zabawkę. Podrzucił ją i usiłował kopnąć w powietrzu. Nie trafił. Butelka spadła z hukiem na chodnik, rozbijając się na kilka kawałków. W tej samej chwili z piekarni wyszła młoda kobieta w jasnym płaszczu. Wręczyła malcom po pączku i ruszyła przed siebie. Chłopcy pobiegli za nią.

Pchnęłam ciężkie drzwi i weszliśmy do ciepłego, pachnącego pieczywem wnętrza. Ekspedientka przywitała nas szerokim uśmiechem.

Lubiłam tutaj przychodzić. Ta mała nadmorska piekarnia miała w sobie coś magicznego, bajkowego. Tu spełniały się marzenia o kusząco zakręconych rogalach z makiem, o zniewalająco słodkich bułeczkach z rodzynkami. Tutaj nawet dziewczynka z zapałkami znalazłaby ciepły chlebek z chrupiącą skórką. Tutaj był prawdziwy raj dla bajkowego Jasia i jego siostry Małgosi. Mogliby do woli przebierać w korzennych piernikach i pachnących drożdżówkach.

Miałam przed sobą trzy półki z chlebem. Bogactwo smaków i kształtów, chleb pszenny i żytni, chleby z rodzynkami, śliwkami, słonecznikiem, czosnkiem i cebulą, chleby dyniowe, sojowe i na zakwasie. Jedne okrągłe, inne prostokątne, także te

w kształcie tradycyjnego bochenka. Zastanawiałam się, który wybrać. Wzięłam w końcu razowy z siemieniem lnianym i mały ze śliwkami. Marcin położył na ladzie dwie bułki maślane, dwie grahamki i ogromny rogal.

– Bierzemy to wszystko? – zdziwiłam się.

– Tak smakowicie wyglądają, że nie mogłam się powstrzymać...

Przez szybę w drzwiach zobaczyłam, jak zgięta wpół ekspedientka zbiera z chodnika rozbitą butelkę. Ktoś obok niej przechodził. Ktoś bardzo duży. Znałam tę sylwetkę. To ta otyła kobieta, która kilka dni temu w towarzystwie dwóch mężczyzn obserwowała fokę, a później piła piwo w barze. Bez chwili zastanowienia rzuciłam moje bochenki na ladę i wybiegłam z piekarni. Wracająca do środka ekspedientka spojrzała zaskoczona.

Szłam szybko, zapatrzona w ogromne pośladki. Zrównałam się z kobietą.

– Przepraszam, mam do pani jedno pytanie...

Myślałam, że tamta się zatrzyma, ona jednak szła dalej. Chyba nawet przyśpieszyła, jakby chciała przede mną uciec. Jej kreszowe spodnie szeleściły głośno, gdy ocierała jednym tłustym udem o drugie. Na stopach miała stare zniszczone adidasy. Wciąż dotrzymywałam jej kroku.

– O co chodzi? – zapytała sucho.

– Trzy dni temu w barze przysiadła się do mnie piękna blondynka ze staruszką na wózku inwalidzkim. Chciałabym się skontaktować z tymi paniami. Czy mogłyby mi pani w tym pomóc?

– Nie – odparła krótko.

Nawet na moment nie odwróciła głowy w moją stronę.

– Starsza pani zostawiła wtedy na stole bursztynowy krzyżyk. Chciałabym go jej oddać. – Podjęłam kolejną próbę.

– Nie znam ich – oznajmiła.

– Przepraszam – powiedziałam i przystanęłam.

Kobieta zatrzymała się również i wreszcie na mnie spojrzała. Miałam wrażenie, że jej oczy wwiercają się w moją głowę.

– A tak naprawdę czego pani od nich chce? – zapytała.

– Chciałabym porozmawiać ze starszą panią o Karlu Dietrichu. – Postawiłam na szczerość.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

– A kim jest ten... No ten Karl Dietrich? – zainteresowała się.

– Chyba mieszkańcem Sztutowa, który prawdopodobnie zaginął pół wieku temu.

Grubaska wydała z siebie krótki dźwięk, przypominający parsknięcie. Poprawiła stary zmechacony szalik i podjęła marsz.

– Znikający faceci to specjalność tych kobiet. – Dobiegły mnie jeszcze jej słowa.

Spojrzałam w stronę piekarni. Marcin stał przy samochodzie i przywoływał mnie gestem. Zawahałam się przez chwilę, ale pobiegłam za kobietą. Usłyszała moje kroki, odwróciła się.

– Ta blondynka jest lekarzem – powiedziała. – Mieszka z matką i babcią. Szanowna pani doktor patrzy na wszystkich z góry. Nigdy jej nie lubiłam. Już w podstawówce zadzierała nosa.

– Pani mówiła coś o znikających facetach. Czy mogłabym usłyszeć coś więcej?

– Trzydzieści lat temu przepadł ojciec naszej blondynki, a dwa lata temu jej mąż. Ludzie gadają, że losy jej dziadka też nie są jasne.

– Zniknęli czy zaginęli? To przecież różnica – dopytywałam.

– Ja tam nie wiem. Nikt nie wie, a przecież one prawdy nie powiedzą. Niech pani da sobie z nimi spokój. O tym Karlu, czy jak mu tam, też niczego nie wyjawia.

Otyła kobieta oddaliła się żwawo, a ja powróciłam do Marcina. Właśnie kończył ogromnego rogała. Wytarłam okruszki z jego brody i z ust.

– Czego chciałaś od tej grubej baby? – zapytał.

– Nie lubię, gdy w ten sposób mówisz o kobietach – powiedziałam i wsiadłam do auta.

Na ganku czekał na nas rudy kot. Urwałam dla niego kawałek bułki. Powąchał i oddalił się z uniesionym ogonem.

Dwie godziny później ktoś zadzwonił do naszych drzwi.

Zamoczyłam właśnie w misce dwie ścierki kuchenne i zamierałam zamieść korytarz. Nie mogłam znaleźć zmiotki. Przypomniałam sobie, że na strychu stoi miotła na długim kiju, i wysłałam po nią Marcina, a sama wzięłam się do zwijania dwóch wąskich chodników w korytarzu. Wtedy właśnie rozległ się dzwonek – głośny, przenikliwy. Brzmiał jak alarm, jak sygnał ostrzegający przed zagrożeniem. Znieruchomiałam zgięta w pół. Kto to? Przecież my tutaj nikogo nie znamy. Czy to może znowu ci poszukiwacze militariów?

Marcin zbiegł po schodach, podał mi miotłę i podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczyłam drobną kobietę sylwetkę w krótkim futerku i ogromnej futrzanej czapce. Czapka zasłaniała pół twarzy. Dopiero gdy kobieta się odezwała, rozpoznałam w niej gosposię księdza.

– Przyszłam powiedzieć, że znalazłam kogoś, kto znał tego Karla. Jak chce, to zaprowadzę teraz. To niedaleko. Dziesięć minut na nogach.

Wpadłam do pokoju z kominkiem. Przeczesałam włosy, skropiłam szyję perfumami, zrezygnowałam z czapki i chusty. Tylko kurtka i kaptur na głowę. Byłam gotowa.

Wyszłam na ganek, Marcin za mną. Gospośia stała przy rowerze. Do bagażnika przyczepiona była czarna elegancka torebka. Prowadziła pojazd, trzymając obiema rękami za kierownicę. Szliśmy szybko.

– Może pani pomożę? – zaproponował Marcin.

– Nie trzeba, to tylko rower – odparła.

Czułam intensywną woń naftaliny, wydobywającą się z jej futra.

– Do kogo idziemy? – zapytałam.

– Do znajomych moich teściów. Mają nowy dom pod lasem. Latem wynajmują pokoje takim jak wy. Biorą siedemdziesiąt złotych za łóżko i zawsze mają chętnych. Głupich nie brakuje. Kto to słyszał tyle płacić?

Skrećiliśmy w polną, ubitą drogę.

– Idziemy na skróty – wyjaśniła kobieta.

Po lewej ciągnęły się domy. Były wśród nich i duże budynki z tarasami i pseudokolumnami, i małe drewniane chatki, wyglądające jak ogrodowe altany. Trafiały się również prostokątne, kilkukondygnacyjne oraz typowo wiejskie, wiekowe, z zabudowaniami gospodarczymi. Jak u Kaśki. Na większości posesji czekały psy. Jedne szarpały się na krótkich łańcuchach, inne leniwie leżały przy ogrodzeniach. Na jednym z podwórek stał wysoki, łysy mężczyzna; w szybko zapadającym zmroku zobaczyłam żarzącego się w jego ustach papierosa. Patrzyłam, jak w kolejnych oknach pojawia się światło. Z małego drewnianego domku wyszedł młody chłopak, stanął przy drodze i odprowadzał nas wzrokiem.

Do czerni lasu pozostało niewiele ponad sto metrów, a mnie ciarki przeszły po plecach na myśl, że kobieta prowadzi nas właśnie tam. Może między drzewami czekają ludzie, którzy zatłuką nas kijami i zakopią, żebyśmy tylko nie poznali tajemnicy śmierci Karla? Mijani mężczyźni nagle wydali mi się bardzo podejrzani. Spojrzałam na Marcina. Był spokojny.

Nasza przewodniczka zatrzymała się przed dużym domem z wysokim ogrodzeniem. Przez chwilę szukała przycisku domofonu. W końcu pchnęła bramę i wtoczyła rower na niewielkie podwórko. Podążyliśmy za nią.

Drzwi otworzyła nam starsza pani z ustami w kolorze dojrzałej wiśni, ubrana w różowy zmechacony sweter. Moją uwagę zwróciła jej fryzura: wściekle czerwone loki, które zwykle nazywa się „barankiem”. Intensywny odcień nijak nie pasował do pomarszczonej twarzy. Gdyby gospodyni pojawiła się w moim salonie, przefarbowałabym włosy na ciepły kasztan i użyłabym największych wałków, żeby unieść je u nasady, a nie skrećić w spiralę.

Zostaliśmy zaprowadzeni do dużego salonu połączonego z kuchnią. Chciałam usiąść na pięknej czarnej kanapie w złote kwiaty, ale gospodyni mnie powstrzymała, zapraszając do obejrzenia pokoiów na wynajem. Schodami, przysłoniętymi zieloną wykładziną – mającą prawdopodobnie chronić drewniane stopnie przed butami licznych wczasowiczów – ruszyliśmy na piętro. Właścicielka szła przodem.

– To dom mojego synusia – opowiadała. – Od sześciu lat w Szwecji pracują, on i synowa. Planują wrócić, ale kto ich tam wie? Ja teraz ich domem się zajmuję.

A jak synuś wróci, ja do siebie, to jest: do córki, wrócę.

Weszliśmy do pierwszego pokoju. Urządzony był skromnie. Dwa wąskie tapczany, szafa i mały stolik z wiekowym telewizorem. Kobieta uchyliła też drzwi do małej błękitnej łazienki.

– Teraz wszystkie pokoje puste stoją, a przecież u nas jesienią też pięknie. Tylko ludzie tego nie wiedzą. Gadajcie tam w mieście, że teraz nad morzem pięknie i taniej niż latem, tylko pięćdziesiąt złotych za nocleg. A jak trzeba, to i śniadanie uszykuję.

Pozostałe trzy pokoje wyglądały identycznie jak ten pierwszy. Jedyne łazienki różniły się kolorem kafelków. Starsza pani patrzyła na nas wyczekująco, zaczęłam więc komplementować praktyczne umeblowanie i zapewniać, że polecę tę kwatere znajomym. Marcin poszedł dalej, mówiąc, że na wiosnę przyśle tutaj rodziców. Wiśniowe usta kobiety rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Towarzysząca nam gospodyni księdza milczała.

Gdy siedzieliśmy już w salonie, a starsza pani zajęła się parzeniem herbaty, nachyliła się do mojego ucha.

– U mojej bratowej można wynająć łóżko już za trzydzieści pięć złotych! Jak chce, to dam numer telefonu.

Starsza pani postawiła na niskim stole cztery filiżanki z herbatą. Usiadła w głębokim fotelu, wygładziła różowy sweter na brzuchu.

– Jadzia mi mówiła, że państwo szukają kogoś, kto Karla Dietricha znał. Ja go kiedyś znałam. To bardzo dobry gospodarz był i człowiek wspaniały, oj wspaniały! Wszyscy go tu szanowali.

Spojrzałam na Marcina. Lekkim uniesieniem brwi dał mi znak, że również jest zdziwiony pochlebną opinią.

– Innych chłopów baby z gospody musiały siłą wyciągać, a Karl sam wracał i nawet się nie chwiał – ciągnęła gospodyni. – A jak on panią Anię kochał, oj, jak bardzo! Wpatrzony jak w obrazek w nią był! Piękna z nich para. Pamiętam, jak pod rękę do kościoła szli. Ona taka śliczna, oj, jaka śliczna, z długimi rudymi włosami, a on wysoki, wyprostowany jak żołnierz. I zawsze w białej koszuli.

– Pamięta pani ich syna? Stasia? – zapytałam.

Kobieta zamachała obiema rękami.

– Och, Staś! Cudowny, ode mnie o jakieś dziesięć, dwanaście lat młodszy. Synem Karla nie był, ale Karl jak własne dziecko go traktował, oj tak, wspaniałym ojcem był. A Staś go uwielbiał. Tak było, jak mi Bóg miły!

Miałam wrażenie, że gdybym zapytała starszą panią o Judasza, również dowiedziałabym się o samych zaletach.

Kobieta wzięła pilota i włączyła wiszący na ścianie telewizor. Zaczynał się jakiś serial.

– Czy pamięta pani okoliczności zniknięcia Karla? – zapytałam.

– On nie zniknął, bo niby gdzie miałby zniknąć? On wyjechał, najzwyczajniej w świecie. Jadzia mi mówiła, że Karla zabito, ale to bujda. Kto by na takiego człowieka rękę podniósł? Czego to ludzie nie wymyślą! Karl z rodziną do Gdańska wyjechał, jakieś czterdzieści lat temu. Właściwie nie wiadomo, dlaczego do miasta poszli. Przecież Karl bardzo dobrze gospodarzył, a to dobre czasy dla rolników były, oj dobre! Nie to co teraz. Nędza z bidą.

Kobieta nie patrzyła już na nas, wzrok utkwiała w ekranie telewizora. Gospodyni księdza także zerkała na serial.

– A może to tylko pani Ania wyjechała z synem? Jaką mamy pewność, że Karl także opuścił Sztutowo? – pytałam dalej.

Starsza pani machnęła ręką, dając mi znak, abym na chwilę zamilkła. Wyciągnęła głowę w stronę telewizora i nasłuchiwała. Odezwała się, dopiero gdy serialowy bohater skończył swoją kwestię.

– Karl na pewno stąd wyjechał, bo potem parę razy do Sztutowa wpadał. Ja go już nie widziałam, ale inni tak. Na pewno go widywali. Taki sąsiad, rudy Bronek, on widział Karla. Pamiętam, choć to dawno było. Bronek do mnie do kuchni wpada, ja wtedy akurat kaczkę opalałam, i nad uchem mi krzyczy: „Niemcy idą!”. Mało wtedy nie umarłam, tak się wystraszyłam! Kaczka mi z rąk na podłogę wyleciała. Taki był ten rudy Bronek. Młodość, to i durność. Potem mi wyjaśnił, że o Karla mu szło.

Gospodyni księdza głośno odstawiła filiżankę.

– No, niech w końcu powie o tym kościotrupie – ponagliła.

– O jakim kościotrupie? – zainteresowała się starsza pani.

– Moja przyjaciółka kupiła dom, który kiedyś należał do Dietrichów. I w piwnicy pod posadzką znaleźliśmy szkielet. Kogoś, kto został zamordowany, bo na czasce jest ślad po uderzeniu, prawdopodobnie siekierą. Podejrzewamy, że to kości Karla.

Z dłoni kobiety wypadła łyżeczka i z hałasem wylądowała na podłodze. Ona sama podniosła się powoli, z dłońmi przyciśniętymi do serca. Wiśniowe usta były szeroko otwarte, jakby nie mogły złapać powietrza. Gospodyni opadła na fotel.

– A więc go ukatrupili! – wyszeptała. – Biedaczek! Ukatrupili go. O Boże, to prawda. Tyle razy moja mama mi gadała, że oni go ukatrupili. A ja jej na to, że to niemożliwe, bo kto by takiemu nieborakowi krzywdę zrobić chciał? Mama rację miała, oj tak...

Do rozmowy wtrącił się Marcin.

– Kto zabił i kogo?

Pani Jadzia schyliła się po łyżeczkę. Wytarła ją w serwetkę i położyła na stole. Następnie powtórzyła pytanie.

– Marysia, kto zabił i kogo? No, gadajże!

– Jak to kogo? Oczywiście, że pana Majewskiego – odparła starsza pani.

Już nie patrzyła na ekran. Losy serialowych bohaterów nagle przestały być

ważne.

– Kim był pan Majewski? – zapytałam.

Pani Maria wyciszyła telewizor.

– Pan Majewski pierwszym mężem pani Ani był. Majewscy w domu mieszkali, który należał dawniej, no, przed wojną, do rodziców Karla Dietricha. Starzy Dietrichowie w ramach wysiedleń, rzecz jasna, wyjechali. Karl nie wyjechał, chociaż powinien. Ale właścicielem to on już nie był. Parobkiem zwykłym i tyle. Bez niego Majewscy by zginęli, oj tak, zginęliby. Te ich hektary to Karl obrabiał, bo robotny był i znający się. A pan Majewski przeciwnie, o pracy na roli nie miał pojęcia. Oj nie miał, nie miał... Miastowy człowiek. Pamiętam, taki mikry, w okularach. Chłopi na niego „magister” wołali, bo kształcony. To mu się chwali, ale gnojówka mu śmierdziała i podobno pszenicy od żyta nie odróżniał, i krowy się bał. Ciężko mu tu było, więc wyjechał. Mówili, że do Warszawy. Jak wyjeżdżał, to Staś małym chłopcem jeszcze był, może siedem, może osiem lat... Pan Majewski już nigdy więcej się tutaj nie pojawił. Pani Ania rozповідаła, że mąż po nią i po syna wróci, ale nie wrócił jakoś. I po jakimś czasie za mąż za Karla wyszła. A moja mama pierwsza gadać zaczęła, że pan Majewski wcale nie wyjechał, ale zabity został. Że gdyby żył, to na pewno syna by odwiedzał. Potem inni sąsiedzi plotkować zaczęli. Gadali takie rzeczy, że Karl i Ania kochankami od dawna byli, że rogi panu Majewskiemu przyprawiali pod jego własnym dachem, że pani Ania w nocy z łóżka męża wychodziła i szła do parobka. Że pewnie pan Majewski ich przyłapał i wtedy Karl go zabił. Bo Karl był wielki, a pan Majewski taki mały... Żadnych szans nie miał, biedaczek. Niektórzy to gorsze rzeczy nawet gadali, że to pani Ania kochanka namówiła, aby ten jej męża zabił. Ale ja w to nie wierzę, ona zawsze taka miła była i piękna! To musiał być wypadek, nieszczęśliwy wypadek. Oj tak...

Patrzyłam na fotografii w złotych ramkach. Było ich dziewięć, ustawionych na komodzie w jednym rzędzie i w równej odległości od siebie. Siedziałam zbyt daleko, żeby dostrzec, co przedstawiają. Prawdopodobnie znajdowali się na nich bliscy starszej pani, zapewne synuś z żoną i córcia, i oczywiście wnuki. Miałam ochotę przyjrzeć się fotografiom z bliska i odczytać, jakie relacje łączą poszczególnych członków rodziny. Nawet pozowane ujęcia to zdradzają. Kto obok kogo stoi i w jakiej odległości. Kto na kogo zerka i z jaką miną. Gdyby dane mi było spojrzeć na rodzinne zdjęcie Stasia, czy wiedziałabym coś więcej? Mały chłopiec pomiędzy rodzicami i, trochę na uboczu, Karl. A może to pan Majewski zostałby zepchnięty na sam brzeg fotografii przez postawnego Niemca?

Z zamyślenia wyrwał mnie brzęk odstawianej na spodeczek filiżanki i głos Marcina.

– A więc już wszystko wiadomo... Bardzo pani dziękujemy.

Co on mówi? Przecież wcale nic nie wiadomo!

– Czy ma pani może zdjęcie Stasia albo jego rodziców? – zapytałam.

– Nie, nie mam. A niby skąd miałabym mieć? Przecież to nie rodzina. Obcy ludzie i tyle.

– Myślałam, że może na jakimś festynie albo na dożynkach ktoś was razem z sąsiadami sfotografował...

– Z sąsiadami to i owszem. Ale akurat nie z tymi.

Pani Maria kręciła się w fotelu, wyraźnie poruszona. W końcu wstała i klasnęła w dłonie.

– Takich nowin bez gorzałeczki nie przetrawimy – podsumowała.

Przemknęła przez salon ze zwinnością niespotykaną u osób w jej wieku, aż zafurkotała szeroka spódnica, i zatrzymała się przed kredensem w części kuchennej. Wróciła za chwilę z butelką i czterema kieliszkami. Nucąc pod nosem jakąś znaną melodię, naląła alkoholu, energicznie zakręciła butelkę i odniosła ją do kuchni. Na drugą kolejkę nie było co liczyć. Uniosła kieliszek.

– Czas życia krótki, kropnijmy wódki! – powiedziała.

Upiłam trochę i zaparło mi dech.

– Mocne... – wyszeptał Marcin.

Trunek na moment odebrał jego strunom głosową zdolność do wydawania silniejszych dźwięków.

Tymczasem obie starsze panie przechyliły kieliszki i opróżniły zawartość jednym haustem.

– To nalewka na dwudziestu ziołach, według przepisu mojej mamy – wyjaśniła pani Marysia. – Ach, ta moja mama! Zawsze i we wszystkim miała rację. I co do ukatrupienia pana Majewskiego też nosa miała. Szkoda, że z tym szkieletem to się wcześniej nie wydało, jak jeszcze żyła. Aż trudno uwierzyć, że ten Karl, taki grzeczny, a pana Majewskiego ukatrupił! On to musiał z miłości zrobić, do pani Ani. Na pewno pan Majewski rozwodu nie chciał jej dać. To na pewno z miłości się stało. Moja mama zawsze mówiła, że miłość gorsza niż sraczka. Na jedno i na drugie nie poradzisz.

– Ale po co zaraz mordować? Przecież pani Ania mogła z tym całym Karlem po prostu odejść – zauważył Marcin.

– I zostawić te wszystkie hektary? Co pan, niepoważny? – wtrąciła gosposia księdza.

– No tak, hektary... – powiedział mój mąż z lekką ironią, którą wyczułam chyba tylko ja.

– Ale to nie jest wcale takie proste... – powiedziałam i zamilkłam. Wcale nie byłam pewna, co chcę powiedzieć.

– Co nie jest proste? – dopytywała pani Jadzia.

Coś w tym ukatrupieniu pana Majewskiego mi nie pasowało. Coś nakazywało mi wątpić w to, że wykopany szkielet należy właśnie do niego. Usłyszałam, jak mój mąż mówi:

– Generalnie morderstwo nie jest proste. No bo konsekwencje. Trzeba się z nimi liczyć.

Miałam wrażenie, że w tej chwili w mojej głowie zetknęły się neurony, umożliwiając logiczny przepływ myśli.

– Pani Ania wyszła za Karla? – zapytałam.

– No tak, wyszła za niego. Przecież po to Karl pana Majewskiego... – Pani Maria zawiesiła głos.

– Ale pani Ania nie mogła wyjść ponownie za męża, bo oficjalnie nie była ani rozwódką, ani wdową. Nikt by jej nie dał ślubu.

Gospośia księdza zareagowała pierwsza.

– Marysia, czy ty aby pewna jesteś, że oni małżeństwem byli?

– Na ich weselu nie tańczyłam, bo wesela nie robili, ale małżeństwem byli. Na pewno – oświadczyła stanowczo.

– Pani Mario, skoro Anna wyszła za Karla, najpierw musiała rozwieść się z mężem. A to z kolei znaczy, że to nie pan Majewski został zamordowany i zakopany w piwnicy.

Starsza pani zaprotestowała natychmiast.

– A niby kogo ukatrupili jak nie jego? No kogo? Nikt inny wtedy nie zaginął ani nie wyjechał nagle. Tylko pan Majewski. Moja mama zawsze nosa miała, nigdy się nie myliła. To jego ukatrupili, na pewno.

Pani Maria wzięła się pod boki, gotowa bronić swojej wersji wydarzeń sprzed półwiecza.

Spojrzałam na Marcina.

– Ja też myślę, że to pan Majewski – oznajmił.

Domyśliłam się, że nie chce robić starszej pani przykrości. Podniosłam się powoli, Marcin również. Gospodyni postanowiła odprowadzić nas do bramy. Narzuciła na siebie płaszcz i otworzyła drzwi. Na zewnątrz, w zupełnych ciemnościach unosiła się sina, wilgotna mgła. Pani Jadzia po omacku odnalazła swój rower i wytoczyła go na drogę. Powiedziała „dobranoc” i odjechała, nie włączając świateł, jak cyklista widmo, niewidzialna i zapewne nic niewidząca. Przez chwilę słyszeliśmy jeszcze klekot bagażnika i błotników. Zgrzytnęła zamykana brama. Ruszyliśmy do domu.

– Co o tym wszystkim myślisz? – zapytałam.

Nie musiałam nic wyjaśniać. Temat był oczywisty.

– Myślę, że Karl zabił pana Majewskiego.

– Ale fakt, że Anna i Karl byli małżeństwem, temu zaprzecza.

– Niekoniecznie.

– Jak to?

– A może pani Anna najpierw formalnie rozeszła się z mężem, a dopiero potem Karl go załatwił? Albo może nigdy nie była żoną Majewskiego, albo pobrali

się w czasie wojny i ich związek nie został nigdzie odnotowany? A może Karłowi udało się załatwić fałszywy akt zgonu pana Majewskiego? Na wiele sposobów można wyjaśnić, jakim cudem się pobrali.

Musiałam przyznać mu rację.

– Oni przez tyle lat mieszkali razem... – kontynuował Marcin. – Wyobrażasz sobie? Pod jednym dachem mąż i kochanek. Ależ tam musiało iskrzyć! Jakoś się nie dziwię, że doszło do morderstwa. To właściwie naturalna kolej rzeczy i potwierdzenie statystyk. Jeżeli pani Ania przyłożyła do tego rękę, to mamy ponadto iście szekspirowską historię. Kochanek i żona zabijają męża.

– A w tym wszystkim jeszcze dziecko – dodałam.

Trzymałam się mocno ramienia Marcina, żeby się nie potknąć na nierównej drodze.

– Jak myślisz, Staś wiedział? – zapytałam.

– Raczej wiedział. No bo ten list. Na pewno się bał, że jego i matkę czeka ten sam los co ojca. Myślę, że któregoś dnia Karl zamknął go za karę na strychu. Staś się wystraszył, uznał, że to już ten moment, i wtedy napisał list z prośbą, żeby przenieść jego ciało na cmentarz.

Szliśmy obok jakiegoś budynku. Przez mgłę przebijało się padające z okna nikłe światło. Miałam ochotę wyciągnąć przed siebie ręce i rozedrzeć tę mglistą ciemność, która utrudniała nam powrót do domu.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytałam.

– Chyba tak. Zaraz powinniśmy skręcać.

Znikły gdzieś wszystkie ujadające psy i wieczorną ciszę zakłócały tylko nasze kroki. Nagle, jakieś trzy metry przed nami, rozbłysnął wąski snop światła. W naszą stronę szedł ktoś z latarką. Zatrzymaliśmy się. Światło powędrowało w górę, na nasze twarze. Usłyszałam miły kobiecy głos.

– Przepraszam.

Kobieta skierowała świetlny strumień na siebie i w tej samej chwili ujraliśmy piękną alabastrową twarz. Od razu ją poznałam. To ta sama śliczna blondynka, która przysiadła się do mojego stolika. Tutaj, na polnej drodze, w wieczornej mgle wyglądała jak anioł objawiający się zbłąkanym wędrowcom. Opuściła rękę z latarką i postąpiła w bok, chcąc nas wyminąć.

Otworzyłam usta, żeby ją zatrzymać, ale się zawahałam. Kilka godzin temu prosiłam otyłą kobietę o kontakt do staruszki na wózku i zostałam odprawiona z niczym. A teraz taka okazja! Mam oto przed sobą wnuczkę starszej pani. Mogę poprosić o spotkanie. Tylko po co? Przecież już wszystko wiadomo. A może jednak warto porozmawiać i potwierdzić zasłyszane informacje? Albo podważyć ich prawdziwość. Babcia blondynki twierdziła, że Karl to diabeł. Z kolei starsza pani w różowym swetrze uważała go za dobrego człowieka. Skąd taka rozbieżność?

Moje wahanie najwyraźniej trwało zbyt długo.

Piękna dziewczyna oddalała się niemal bezgłośnie. We mgle znikąło światło latarki. Było za późno, żeby ją zatrzymać.

Skręciliśmy na drogę prowadzącą do domu. Widoczność spadła prawie do zera. Wcześniej punktami orientacyjnymi były wyłaniające się z mgły rozświetlone okna, a tu zupełna czerń. Czułam pod butami żwir, który zmienił się w twarde klepisko. Byliśmy na podwórku. Skierowaliśmy się na prawo, w stronę ganku. Po omacku odnaleźliśmy kamienne schodki. Marcin przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Wreszcie. Czułam zmęczenie. Zdjęłam kurtkę i powiesiłam ją na wieszaku. Ruszyłam do kuchni. Nagle zamarłam. Strach na moment odebrał mi władzę w nogach. Stałam na wąskim dywaniku. Byłam pewna, że przed wyjściem zwinęłam go i postawiłam pod ścianą! Jakim cudem z powrotem znalazł się na podłodze?

– Marcin, ktoś tutaj był... – powiedziałam cicho.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Jestem pewna, że przed wyjściem zwinęłam ten dywanik i postawiłam go tam. Właśnie tam – wskazałam dłonią.

– A gdzie jest miotła? Nie ma miotły!

Zadrżały mi nogi. Rozejrzałam się za czymś, co mogłoby posłużyć jako broń. Parasolka na szafce! Marcin ją uniósł i zbliżył się do kuchennych drzwi. Otworzył, włączył światło. Szukaliśmy śladów obecności intruza. Przy stole cztery krzesła, jedno odsunięte. Na kraciatym obrusie otwarta paczka ciastek. Nie należała do nas.

Ciche, wyraźne kroki. Ktoś chodził po strychu. Podniosłam głowę i zapatrzyłam się w sufit, jakbym mogła dostrzec cokolwiek przez deski. Marcin wyszedł z kuchni, ja za nim. Uchylił drzwi na strych i zobaczyliśmy światło.

– Kto tam jest? – zawołał.

Szybkie, pewne kroki nad naszymi głowami. Ten ktoś zbliżał się do schodów. Patrzyłam w głąb poddasza, a serce waliło mi jak oszalałe. Nogi w czarnych spodniach.

– To ja, kochani! – rozległ się znajomy głos.

Ulga była ogromna. Któż inny mógłby to być, jeśli nie Kaśka?

– Sorry, że was nie uprzedziłam – powiedziała, zbiegając po schodach. – Trochę się tam na górze rozejrzałam – mówiła z uśmiechem Kaśka, gestykulując. – Kurczę, ile tam jest kurzu! Koszmar! Atak kaszlu mnie złapał, myślałam, że płuca wypluję. Muszę tam zrobić porządek, tylko kiedy? Przecież ja nie mam czasu, a tam trzeba ze trzy dni posiedzieć. Może kogoś wynajmę? No, bo przecież tak tego nie zostawię, tej całej graciarni. Stamtąd można połowę rzeczy wyrzucić, ale inne są fajne. Do renowacji się je odda i będzie super.

– Jak chcesz, to przyjadę z tobą w któryś weekend i pomogę ci wysprzątać – zaproponował Marcin.

Spojrzałam zaskoczona i lekko oburzona. Chyba nie myśli, że go samego z nią

puszczę gdziekolwiek? A co dopiero do Sztutowa!

– Dzięki, Martin, ale chyba wynajmę jakąś firmę, która mi to poznosi i od razu wywiezie. Myślałam, że na strychu natrafię na coś, co jest związane z naszą sprawą. No wiecie, jakieś zdjęcia, listy, pamiątki rodzinne. Ale znalazłam jedynie obrazek święty z datą 1966 i jeszcze karty do tarota. A wy gdzie się włóczyliście tak długo? Czekam na was prawie od dwóch godzin. Mam nowe wieści w związku z naszym szkieletem.

Zakołysała szczupłymi, zgrabnymi biodrami. Wyglądała świeżo i atrakcyjnie, mimo czasu spędzonego w zakurzonej pomieszczeniu.

– Dostałaś ekspertyzę? – zapytałam.

– Nie, to nie to. Na ekspertyzę musimy jeszcze trochę poczekać. Ale zadzwoniłam do kobiet, od których kupiłam ten dom. Pamiętacie, mówiłam wam, że kupiłam go od dwóch sióstr. Jedna z nich mieszkała tutaj z mężem. No i zadzwoniłam wczoraj do tych pań. I wiecie, czego się dowiedziałam?

Zrobiła pauzę i patrzyła wyczekująco.

– No mów! – ponagliłam.

– Otóż dowiedziałam się, że panie kupiły dom od państwa Dietrichów. W 1969 roku. Od Karla Dietricha i jego żony Anny.

Kaśka położyła akcent na słowo „Karl”. Milczeliśmy, czekając na dalszy wywód, ale patrzyła zdezorientowana:

– Co jest? Nie załapaliście, o co biega? Karl był obecny przy podpisywaniu umowy, a potem załadował meble i pierzyny na ciężarówkę i wyjechał stąd wraz z żoną. To jasne, że to nie on został zamordowany i zakopany w piwnicy, a zupełnie ktoś inny. I co wy na to? No co? No, przyznaj Martin, że się wykazałam.

– O tym, że Karl wyjechał, wiemy od dwóch godzin – powiedział Marcin.

– Skąd? – zapytała krótko.

– Udało nam się dotrzeć do pewnej starszej pani. – Zaczęłam wyjaśnienia. –

Żebyś ją zobaczyła! Na głowie czerwony baranek, taki, że hej. Okaz naprawdę niespotykany, aż miałam ochotę złapać za nożyczki. No więc ona pamięta Dietrichów, Stasia też. Pamięta, że cała rodzina wyjechała do Gdańska jakieś czterdzieści lat temu. Wyjawiała nam coś jeszcze. Coś bardzo ciekawego... –

Zrobiłam efektowną pauzę. – Powiedziała, że gdy ze Sztutowa znikł pierwszy mąż pani Ani, pan Majewski, ludzie zaczęli plotkować, że on wcale nie wyjechał, a został zamordowany przez kochankę żony, czyli Karla. I co ty na to, ja się pytam?

– Chyba muszę zgodzić się z moją mamą, że w każdej plotce jest trochę prawdy...

Kroiłam chleb, Kaśka wędlinę i żółty ser. Noże raz po raz stukały o drewniane deski. Wciąż rozmawiałyśmy o Dietrichach i o panu Majewskim. Marcin się nie wtrącał. Siedział przy stole i przeglądał przywieziony przez Kaśkę „Głos Wielkopolski”. Odezwał się tylko raz, żeby poinformować ją o wizycie

poszukiwaczy militariów. Kaśka wzruszyła ramionami.

– Ale ja tu nie mam żadnych pamiątek z wojny – powiedziała. – A tak mi się przynajmniej wydaje. Żaden czołg w stodole nie stoi.

– W szopie znalazłem hełm. No i jeszcze ten krzyż nazistowski, który Beata wygrzebała na strychu. Ale krzyża za darmo im nie oddawaj, bo szkoda. On musi być trochę wart.

– Jutro będziemy mieli gości – zakomunikowała Kaśka przy kolacji.

– My? Kogo? – zapytałam zaskoczona.

– To wasz urlop i nie powinnam tu nikogo zapraszać, ale zaprosiłam je. To znaczy te panie, od których kupiłam dom. Tak sobie pomyślałam, że się czegoś więcej od nich dowiemy, o tym szkielecie i w ogóle o Dietrichach. No, ale wy byliście szybsi. Kurczę, może jednak do nich zadzwonię i powiem, że nie mam czasu? Albo wymyślę coś innego?

– Niech przyjadą. Nigdy nic nie wiadomo – powiedziałam.

– Zaproponowałam im, że pojedę po nie do Malborka, a potem je odwiozę. Taka jestem dobra!

ROZDZIAŁ VII

Obudziłam się znieenacka. Coś wyrwało mnie ze snu. Jakiś odgłos, może esemes? Spojrzałam na wyświetlacz. Nikt do mnie nie napisał. Było piętnaście po dziewiątej. Usiadłam na łóżku i nasłuchiwałam. W całym domu panowała cisza, zakłócana jedynie tykaniem ściennego zegara. Wysunęłam się spod kołdry i podreptałam na korytarz. Najpierw zajrzałam do kuchni. W miejscu kraciastego obrusa pojawiła się cerata w żółte tulipany. Na kredensie stał niebieski dzbanek. Podniosłam pokrywkę. Zapachniało herbatą. Jeszcze ciepła. Nalałam.

A zatem Marcin i Kaśka zjedli już śniadanie... Wspólnie, beze mnie. Musiało być miło: szepty i dyskretne chichotanie przy herbacie i kanapkach. A teraz jeszcze wymknęli się na romantyczny spacer nad morze! Oboje młodszy ode mnie o kilka lat. No i kiedyś byli parą. I żadne z nich nie wyjawiało mi, dlaczego ich związek się rozpadł. Fakt, nigdy jakoś szczególnie nie dopytywałam. Może to jakaś błaża sprzeczka, o której już nie pamiętają, i teraz żałują, że im się nie udało. Poczuję się stara, nieatrakcyjna i zbyt techniczna. Wracam do Poznania! Spakuję swoje rzeczy, zaraz, żeby mnie nie zastali, gdy wrócą z plaży. Na pewno się ucieszą!

Trzymając kubek w ręku, weszłam do pokoju z kominkiem. Na stole leżały czarne rękawiczki Kaśki, kluczyków nie było. Wyjrzałam przez okno. Po srebrnym mercedesie ani śladu. A zatem wybrali się samochodem... Wygodni, żeby nie powiedzieć: leniwi. Dopiliśmy herbatę i odstawiłam kubek na parapet. I dopiero teraz zauważyłam otwarte drzwi szopy. Pewnie Marcin zapomniał je zamknąć, gdy rano poszedł po drewno. Zerknęłam na schowek przy kominku. Był pusty.

Szopa była zamykana wyłącznie na skobel, każdy mógł wejść. Złodziej? Tylko czego złodziej mógł tam szukać? Przecież tam nic nie ma. Nie, nieprawda. Są narzędzia ogrodnicze i te wszystkie części samochodowe; znalazłoby się wielu amatorów. Najprawdopodobniej ktoś wszedł tam po drewno. Zaczęły się przecież zimowe chłody.

Stałam w oknie i czekałam na intruza, ale nikt nie wychodził. Tymczasem zza szopy wyłonił się rudy kot. Skradał się wzdłuż drewnianej ściany powoli, czujnie, aż wreszcie przystanął przy drzwiach, zajrzał i ostrożnie przekroczył próg przednimi łapkami. Odskokzył gwałtownie i błyskawicznie ukrył się za szopą. Teraz miałam pewność.

Nie zastanawiając się dłużej, narzuciłam kurtkę na piżamę, wsunęłam bosc stopy w buty i wyszłam z domu. Było zimno. Pewnym krokiem zbliżyłam się do składowiska i przystanąłam metr przed otwartymi drzwiami. Bujały się na zawiasach, lekko skrzypiąc. Weszłam do środka i zobaczyłam mojego męża z siekierą w ręku. Właśnie brał zamach, próbując uderzyć w kawałek drewna leżący na dużym pniaku. Rozłupane szczapy spadły na klepisko. Marcin musiał usłyszeć kroki, bo odwrócił się w moim kierunku.

– W piżamie? – zdziwił się. – Nie za zimno?

– Zimno jak diabli! A w tyłek najbardziej.

Zaczęłam szczełkać zębami.

– Leć się ubierz! Zaraz przyjeżdżają goście. Kaśka pewnie już w Malborku. Za niecałą godzinę powinna wrócić.

– Myślałam, że poszłicie nad morze...

– Chciałam ją wyciągnąć na spacer, ale ona się śpieszyła, jak zwykle. Jeszcze dzisiaj chce wrócić do Poznania.

Kurtka Marcina wisiała na wystającym z drabiny gwoździu. On sam miał na sobie jedynie czarny sweter i wąski szalik, niedbale zawiązany wokół szyi. Z siekierą w ręku wyglądał jak drwal z reklamy, który ma zachęcać zagranicznych turystów do odwiedzenia Polski. Nowa wersja polskiego hydraulika.

– No leć już, ja zaraz skończę i przyjdę – ponaglił.

Objęłam go w pasie i przytuliłam.

– Nie żałujesz, że się ze mną ożeniłeś? – zapytałam szeptem.

– Jak będziesz nieposłuszna, to pożałuję. No, już cię tu nie ma!

Odsunął mnie stanowczo i odwrócił w stronę drzwi. Otuliłam się mocniej kurtką i pobiegłam do domu.

Zanim weszłam pod prysznic, ustawiłam radio tak głośno, że przez szum wody docierały do mnie dźwięki koncertu wiolonczelowego. Przykręciłam kurek z ukropem, pozwalając zimnemu strumieniowi spływać po ciele. Potem energicznie wtarłam w skórę balsam: pomarańczowy na biodra i biust, migdałowy na resztę. Owinięta w ręcznik przeszłam do sypialni. Włożyłam szafirową bluzkę, a na nią czarną, krótką tunikę. Przejrzałam się w lustrze. Elegancko i zgrabnie. Może być. Zasłuchana w jakieś preludium Chopina, przystąpiłam do robienia makijażu.

Marcin kręcił się po kuchni, więc zawołałam, żeby usmażył mi grzanki. Rozległ się głos Kaliny Jędrusik. Zaczęłam nucić do wtóru Kalinie Jędrusik: „Bo we mnie jest seks...”, lecz nagle piosenka się urwała, w jej miejsce usłyszałam Lady Gagę. A zatem Marcin zmienił stację.

Weszłam do kuchni.

– No, no... Teraz to wyglądasz – powiedział z uznaniem.

Stał przy patelni i obracał chleb. Przyciszyłam nieco radio.

– Zostajemy tu do końca urlopu? – zapytałam.

– A co, coś się zmieniło? Kaśka nas wyrzuca?

– Nie, nic. Pomyślałam sobie tylko, że może się nudzisz. Nie szkoda ci, że nie pojechaliśmy do Egiptu?

– Egipt! Co za nuda, tylko piramidy, piasek, mrówki faraonki i drapanie się wszędzie, gdzie śwędzi!

– Gabrysia była nim zachwycona. Pamiętasz, jak opowiadała o nurkowaniu? Żółwie, ryby, koralowce. Podobno raj.

– Umiesz nurkować? Nie przyznawałaś się wcześniej – powiedział zaczepnie.

– Nie umiem. Ale Gabrysia też nie umiała i jakoś sobie poradziła. Mówi, że to łatwe. Poza tym tam są instruktorzy. A w ofercie, którą przeglądałam, była jeszcze wspinaczka na górę Synaj.

– Wiesz, czym groziłaby taka wspinaczka na Synaj? – zapytał poważnie, aż zaczęłam się zastanawiać, jakie mogą się z nią wiązać zagrożenia. – Biorąc pod uwagę nasz talent do odkrywania różnych dziwnych rzeczy, choćby takich jak szkielety, obawiam się, że moglibyśmy trafić na dziesięć kamiennych tablic z przykazaniami.

Nie zrezygnował z poważnego tonu, więc odparłam podobnie:

– Nie byłoby źle. Moglibyśmy je opchnąć na Allegro. Tylko z ich przewiezieniem do Polski mógłby być kłopot...

Spojrzałam na termometr. Wskazywał dwa stopnie poniżej zera. Pierwsza ujemna temperatura tej jesieni.

Ugryzłam grzanekę. Była chrupiąca, z wierzchu posypana żółtym serem. Przełknęłam.

– Pyszne – oznajmiłam. – Takie właśnie lubię.

Marcin wrzucił mi na talerz kolejną.

– Co Kaśka teraz zrobi z tym szkieletem? Chodzi mi o to, czy będzie pogrzeb? – zapytał.

– Nie rozmawialiśmy o tym, ale chyba należy się nieboszczykowi normalny pochówek. Tutejszy ksiądz znów będzie musiał prosić swojego biskupa, czy kogo tam, o zgodę na katolicki obrządek. Przecież nie mamy pewności, że pan Majewski miał te wszystkie sakramenty...

Marcin podrygiwał w rytm skocznej melodii.

– To co, napalimy w kominku? – zapytał, gdy muzyka uspokoiła się nieco.

– Jasne!

Zjadłam ostatnią grzanekę, umyłam naczynia i postanowiłam poczytać trochę do przyjazdu gości. Z kryminałem Mankella powędrowałam do pokoju. Marcin właśnie kończył układać na palenisku drwa. Między szczapy wcisnął kawałek gazety i przyłożył zapalniczkę. Ten moment lubiłam najbardziej: widok rozprzestrzeniającego się ognia. Cienki płomień pełzł po drwach, obejmując cały stos i zamieniając go w pochodnię. Usiadłam w fotelu i zapatrzyłam się w trzaskający ogień. Zamknięta powieść leżała na kolanach.

Staś, jego rodzice i Karl... Dwóch mężczyzn i piękna kobieta pod jednym dachem. W tym domu rozegrała się najpowszechniejsza w przyrodzie walka o samicę, w której, jak to zwykle bywa, zwyciężył silniejszy fizycznie. A może nie chodziło o Annę, lecz o terytorium, o przestrzeń? Ziemia i zabudowania należały w końcu do rodziców Karla. On sam nie potrafił pogodzić się ze stratą i postanowił odzyskać dziedzictwo. A jeżeli było zupełnie inaczej? Może pod tym dachem rozegrała się tragedia, której się nawet nie domyślamy?

Najwyraźniej pociągało mnie życie tej trójki. A właściwie czwórki, bo jeszcze Staś. Chciałam się o nich dowiedzieć jak najwięcej. Jacy byli? Jak długo mieszkali razem? Kto tu rządził? Który pokój zajmował Karl, a gdzie znajdowała się sypialnia państwa Majewskich? Wszystko było ważne. Najdrobniejszy szczegół mógł rozbudzić moją wyobraźnię.

Narzędzie zbrodni, siekiera, znajdowało się pod ręką, wbite w pień albo rzucone na klepisko w szopie. To bardzo ułatwiało mordercy zadanie. Taki Raskolnikow na przykład – ileż on musiał się natrudzić, żeby niepostrzeżenie przenieść siekierę przez kilka ulic! Ukrył ją pod płaszczem, ale nie tak po prostu. Najpierw pod pachą przyszył pętlę. Niby nic takiego, ale musiała mieć odpowiednią wielkość i wytrzymałość, żeby utrzymać narzędzie. Płaszcz też nie mógł być pierwszy z brzegu. Musiał być obszerny, z kieszenią, żeby po włożeniu do niej ręki można było przytrzymać siekierę łokciem. Raskolnikow przez dwa tygodnie przygotowywał się do akcji, igłę i nici do przyszywania pętli trzymając zawinięte w papier, dobrze ukryte. No i jeszcze musiał ukraść narzędzie zbrodni z kuchni swej gospodyni, a po morderstwie odłożyć je na miejsce. Planowana długo kradzież nie wypaliła, ale na swoje nieszczęście znalazł drugą siekierę, w akurat pustej stróżówce. A tutaj Karl po prostu wyciągnął ją z pieńka i rąbnął pana Majewskiego w głowę. I nawet nie myślał o jej ukryciu, bo wbity w pień toporek nie budzi podejrzeń. Wprawdzie taki Raskolnikow dysponował też składanym nożem ogrodniczym, ale bał się mu zawierzyć, a raczej swoim siłom. Nic dziwnego, nóż to nie najlepsze wyjście. Wiem to z doświadczenia, w końcu z nożem kuchennym w dłoni rzuciłam się na mojego pierwszego męża. To był impuls, bezpośredni, natychmiastowy sprzeciw wobec kolejnego upokorzenia. Gdybym planowała zabić, za przykładem Raskolnikowa wybrałabym siekierę.

– Chyba przyjechały... – odezwał się Marcin.

Podeszłam do okna.

Z samochodu wysiadała właśnie kobieta w kapeluszu i ciemnym płaszczu z lisim kołnierzem. Druga miała na sobie brązową kurtkę i wełnianą czapkę. Obie ruszyły w stronę ganku. Za nimi szła Kaśka, niosąc kartonik, zapewne z ciastem. Pobiełam do kuchni. Gdy wyjmowałam z kredensu filiżanki i spodeczki, w korytarzu rozległy się podniesione głosy, które po chwili przycichły. Panie zapewne przeszły do pokoju.

Do kuchni wpadła Kaśka.

– Dla mnie kawę. I dla naszych gości też – powiedziała.

Postawiła pudełko na stole.

– Pokrój ciasto, proszę – dodała i wybiegła.

Otworzyłam pudełko i owionęła mnie słodka woń. Sernik z cienką warstwą pianki pokroiłam na małe kawałki, jabłecznik z lukrem na nieco większe. Zalałam kawę i ustawiłam wszystko na dużej tacy. Jeszcze widelczyki. Położyłam je obok

talerza z ciastem.

Gdy weszłam do pokoju, jedna z pań stała przy kominku i kartkowała powieść Mankella. Uśmiechnęła się do mnie.

– Też lubię kryminały – oznajmiła. I dokonała prezentacji: – Mam na imię Henryka. A moja siostra to Janina.

W białej bluzce i czarnej spódnicy wyglądała jak emerytowana urzędniczka. Miała gładko zaczesane włosy, siwe, ale rodzajem siwizny srebrzystej. Z jej uszu zwisały złote kolczyki w kształcie kół. Pani Janina prezentowała się skromnie. Uwagę zwracała cienka siwa kitka, niedbale leżąca na karku. Ten mysi ogonek aż się prosił, żeby go obciąć. Obie panie czuły się w swoim dawnym domu swobodnie, jakby właśnie doń powróciły po dłuższej nieobecności.

Pani Janina mocno uścisnęła moją dłoń.

– Mieszkałam tutaj z mężem przez czterdzieści lat. Czterdzieści, a tak szybko upłynęło...

Pośrodku okrągłego stołu Kaśka postawiła duży mosiężny świecznik na trzy świece. Do każdej z nich przytknęła płomyk zapalniczki. Knoty rozbłysły.

– Kupiłam go na Jarmarku Dominikańskim – powiedziała.

Pani Janina nałożyła sobie na talerzyk kawałek sernika.

– Musi pani zabezpieczyć te róże – zwróciła się do Kaśki. – Koniecznie, to ostatni moment. Wystarczy parę mroźnych nocy i po krzakach.

– Chętnie bym się tym zajęła, naprawdę. Przecież po to kupiłam dom z ogrodem, żeby trochę pogrzebać w ziemi. Mam już dosyć tych analiz i posiedzeń, ale nie mogę się od nich oderwać, niestety. Kurczę, chyba powinnam rozejrzeć się za kimś, kto zajmie się moim ogrodem i sadem, bo inaczej wszystko porośnie chwastem. Może mi pani kogoś polecić? Przecież pani zna tutaj wszystkich.

Kobieta popadła w zamyślenie.

– Mogę pani polecić Konrada – odparła po chwili. – Tak, on będzie najlepszy. Skończył szkołę ogrodniczą. To taki miejscowy casanova. Mieszka sam, niedaleko muzeum.

– Pamiętam Konradka, był moim uczniem – wtrąciła pani Henryka. – Taki milutki blondynek, wszystkie nauczycielki go lubiły. No i pobłażały mu we wszystkim. Kazałam kiedyś napisać moim uczniom o tym, co się działo u nich w ubiegłym tygodniu. Konradek napisał, że jego tata w poniedziałek złowił ryby, a potem je jedli we wtorek, środę, czwartek, piątek, sobotę i niedzielę.

Roześmialiśmy się. Kaśka podeszła do swojego żakietu przewieszzonego przez oparcie kanapy. Z kieszeni wyjęła płaską, srebrzystą papierośnicę i wróciła do stołu.

– Może zajedziemy do niego dzisiaj i porozmawiamy? – powiedziała prosząco. – Jak panie będą ze mną, na pewno nie odmówi.

Pani Janina zachichotała cicho. Pochyliła przy tym głowę, jakby nie chciała,

aby ktoś zauważył jej śmiech.

– Pani Kasiu, czy jakikolwiek mężczyzna czegoś pani odmówił? – odparła rozbawiona. – Zapewniam, że Konrad będzie w siódmym niebie, gdy dowie się, że powierzy mu pani swój ogród.

Kaśka otworzyła srebrzyste pudełeczko i wyjęła papierosa.

– Pozwolicie panie, że zapalę.

Rozejrzała się za zapalniczką. Mały czerwony przedmiot leżał na brzegu kredensu. Marcin już się podnosił, żeby go podać, ale Kaśka machnięciem ręki zatrzymała go na krześle. Uniosła się i pochyliła nad świecznikiem. Przytrzymując ręką włosy, odpaliła papierosa od płomienia. Obie panie spojrzały po sobie, nieco zaskoczone. Pani Henryka wzruszyła nawet ramionami.

– Mogę zgasić... – powiedziała niepewnie Kaśka.

– Nie, nie, proszę palić – odezwała się pani Janina. – Sama kiedyś paliłam. A mój mąż zaciągał się dymkiem przez czterdzieści lat. Ale nigdy nie odpalaliśmy od świecy, bo nie życzyliśmy śmierci marynarzom...

– Jakim...?

– To taki przesąd. Jak się odpala papierosa od świecy, sprowadza się ponoć śmierć na marynarza – pośpieszył z wyjaśnieniem Marcin.

– Tak? Nigdy o tym nie słyszałam. Skąd się biorą takie gusła?

Z ust Kaśki wydobył się dźwięczny śmiech, ale zaraz ucichł. Obie kobiety wciąż miały bardzo poważne miny.

– Pani Kasiu, dobrze radzę... Zwłaszcza tutaj, nad morzem – zaczęła Henryka.

– Gdyby ktoś stąd, ze Sztutowa, zobaczył, że pani odpala od świeczki, czeka panią ostracyzm towarzyski. Nikt pani ręki nie poda. No bo widzi pani, trochę ludzi z mierzei każdego dnia wypływa w morze, a to jest żywioł. A jeśli pani chce wiedzieć, skąd wziął się ten przesąd, chętnie wyjaśnię. Marynarzom nie wolno było odpalać papierosów od świeczek, bo od patrzenia na płomień z bliskiej odległości na moment tracili ostrość widzenia i mogli przeoczyć zagrożenie.

– Nie zrobię już tego nigdy więcej, przysięgam – solennie zapewniła Kaśka.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Mogę zabezpieczyć te róże – bąknęłam. – Tyle że nie wiem, jak to się robi.

Pani Janina odłożyła na talerzyk widelec.

– Musi pani usypać wokół krzewów ziemię na wysokość dwudziestu, trzydziestu centymetrów – poinstruowała. – Rozumie pani? Trzeba zrobić takie krecie kopczyki.

Pokiwałam głową na znak, że wiem, o co chodzi.

– Dodatkowo może pani przysłonić krzaki gałązkami iglaków albo słomą – kontynuowała. – Sądzę, że w stodole zostało jeszcze trochę słomy. A jak nie, to niech pani wykorzysta worki jutowe. Parę zostało na pewno. Wiszą na belce. – Upiła nieco kawy i ponownie zwróciła się do Kaśki: – A na wiosnę musi pani przyciąć

róże. I trzeba to zrobić słonecznego dnia.

Głos zabrała pani Henryka.

– Gdy przyjechałyśmy tutaj po raz pierwszy, żeby kupić gospodarkę, to właśnie te róże mnie urzekły najbardziej. Pani Anna Dietrich miała ich mnóstwo, daję słowo, mnóstwo. Cała południowa ściana domu tonęła w czerwieni. Ten pokój też był przybrany różami, caluški. Stały w wazonach.

Ogień w kominku przygasał, więc Marcin podłożył kilka drew. Płomienie najpierw zmalęły, a po chwili wystrzeliły z nową siłą.

– Co panie mogą nam powiedzieć o Dietrichach? Jacy oni byli? – zapytałam.

W pokoju na chwilę zapanowała cisza. Słysząc było jedynie brzęczenie much latających we wnęce okiennej i pojedyncze trzaski ognia. Przerwała ją pani Henryka.

– Pani Kasia powiedziała nam, że znaleźliście w piwnicy szkielet pierwszego męża pani Anny. To straszne. Nigdy bym się nie spodziewała, że oni byli w stanie...

Zawiesiła głos, jakby słowo „morderstwo” nie mogło jej przejść przez gardło. Oblizwała nerwowo wargi i spojrzała na siostrę, dając do zrozumienia, że teraz ona powinna podjąć temat.

– Oni byli tacy mili! – zaczęła pani Janina. – Pani Anna życzliwa, zawsze uśmiechnięta, głodnego z domu by nie wypuściła. A Karl to prawdziwy dżentelmen. W tamtych czasach na wsi taki mężczyzna to rzadkość. Pamiętam, że jak wyjmowałam papierosa, to od razu podawał mi ogień. Zauważyłam też, że był bardzo opiekuńczy w stosunku do żony. Pamiętam, jak panią Annę użądliły trzy pszczoły. Noga jej spuchła jak bania. Mimo to nie chciała jechać do szpitala. Uznała, że ocet pomoże bardziej niż lekarz. Karl nie słuchał. Odpalił motor i zawiózł ją do doktora.

Obróciła w palcach widelczyk.

– Pamiętam tamten dzień – wtrąciła jej siostra. – Pomagałam wsiąść pani Annie na motor.

Pani Janina nie przestawała bawić się widelcem.

– Trudno nam uwierzyć, że Karl był mordercą – wyszeptwała, nie patrząc na nas. – To musiał być jakiś nieszczęśliwy wypadek. Tak właśnie myślę.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że obie panie starają się być lojalne wobec dawnych właścicieli. Nie chciały oczerniać Anny i Karla, a nawet były gotowe bronić ich dobrego imienia.

– Panie są zaskoczone, że pan Majewski został zamordowany? – zapytałam.

Kobiety spojrzały po sobie, zdumione pytaniem.

– No tak, oczywiście. Jesteśmy zaskoczone, bardzo. Czy mogłoby być inaczej? – odpowiedziała pani Henryka.

– Podobno w Sztutowie krążyły plotki, jakoby Karl zabił pierwszego męża pani Ani. Mieszkały tu panie czterdzieści lat i co? Do pań te plotki nie dotarły?

– Nie. Ja nic takiego nie słyszałam – odparła pani Janina. – Może plotkowano zaraz po zniknięciu pana Majewskiego. Myśmy się tutaj sprowadziły parę lat później.

– Dobrze panie znały Karla? Jaki on był? – Nie odpuszczałam.

– Jak każdy Niemiec. Lubił porządek. – Janina się uśmiechnęła. – Tutaj każde grabie, każda brona miały swoje miejsce. Nic się nie przewalało po kątach, niczego nie trzeba było szukać. Nawet kury wiedziały, gdzie wolno im grzebać w ziemi, chociaż nie było żadnych ogrodzeń.

– Był tyranem, despotą? – zapytał Marcin.

– Nie, nie, skądże! – zaprotestowała Janina. – On był bardzo łagodny. Jak baranek. Daję słowo.

W wysokim lustrze widziałam nasze odbicia. Pięć osób siedzących wokół okrągłego stołu, na którym palą się trzy świece. Istny seans spirytystyczny!

– Kilka dni temu spotkałam starszą panią na wózku – powiedziałam. – I przypadkiem poznałam jej opinię o Karlu. Ona powiedziała, że to był diabeł.

– Wiem, o kim pani mówi – zaczęła Janina. – Ta pani na wózku to Kazimiera Góra. Ma już chyba ze sto lat. Ona każdego Niemca uważa za diabła. Ma swoje powody. Podczas wojny straciła całą rodzinę, męża i dwóch synów. Po wojnie ponownie wyszła za mąż i urodziła córkę. Podobno Kazimiera była więźniarką w Stutthofie. Kiedyś często o tym mówiła, ale przestała, kiedy ktoś zauważył, że nie ma wytatuowanego numeru na przedramieniu. Gdy myśmy się sprowadziły, już powszechnie uważano, że sobie wymyśliła ten obóz.

Zapragnęłam, aby więcej powiedziały nam o Karlu, aby tu i teraz zweryfikowały własne wspomnienia.

– Ale czy panie dobrze go poznały? Przecież on nie był waszym wieloletnim sąsiadem. Wy tylko kupiłyście od niego dom.

Nie śpieszyły się z odpowiedzią. Pani Janina rozejrzała się po pokoju.

– Chyba nie znałyśmy go dobrze... – powiedziała niepewnie. Spojrzała na siostrę, jakby oczekiwała, że ta potwierdzi jej słowa, pani Henryka jednak milczała. Janina mówiła więc dalej: – Spędziliśmy w tym domu z Dietrichami raptem trzy noce. My się już wprowadziłyśmy, a oni jeszcze nie zdążyli wyjechać. Pomagałyśmy im w pakowaniu. Przydały się nasze kartony. Owijałam w gazety talerze pani Anny i układałam je w pudle. – Na ustach kobiety pojawił się delikatny uśmiech. – Pani Anny już nigdy więcej nie spotkałyśmy. Karla widziałyśmy jeszcze dwukrotnie. Pierwszy raz przyjechał do Sztutowa, wydaje mi się, że kilka miesięcy po wyprowadzce. Załatwiał coś w gminie. Zjadł wtedy u nas obiad. Pamiętam, że namawiał nas do uprawy buraków cukrowych. Drugi raz pojawił się tutaj jakieś dziesięć lat później. Przywiózł go Staszek. Karl był już wtedy poważnie chory. Źle wyglądał, zmieniony bardzo na twarzy i zgarbiony. To była taka podróż sentymentalna. Chciał przed śmiercią zobaczyć raz jeszcze dom rodzinny. Jaki on

wtedy był wzruszony! Nawet mu łezka pociekła, jak opowiadał o swoim dzieciństwie. A jak o dworcu w Elblągu mówił, to słuchałyśmy z otwartymi ustami, dając słowo. Czy uwierzycie państwo, że przed pierwszą wojną światową na dworcu były automaty z książkami? Wrzucało się dwadzieścia fenigów i wyskakiwała książka. Tania, dlatego wszyscy podróżni czytali. Ale automat na książki to jeszcze nic. Karl najbardziej lubił mutoskop, takie urządzenie do oglądania ruchomych obrazów. Podobno ojciec nie mógł go od niego oderwać.

Słuchaliśmy z uwagą. Kaśka chyba nawet na moment zapomniała o trzymanym papierosie. Zaciągnęła się dopiero teraz.

– Jakie były relacje Karla z pasierbem? – zapytał Marcin.

Tak, to było ważne pytanie. Potencjalny morderca i syn ofiary, wiedzący o zbrodni. Co ich łączyło? Pani Janina włożyła do ust kolejny kawałek ciasta, każąc nam czekać na odpowiedź.

– Jak ojciec z synem, dając słowo, jak ojciec z synem. Ślepy by zauważył tę zażyłość. Staszek był taki troskliwy wobec Karla! Tamtego dnia, gdy przyjechali razem, pilnował, żeby Karl zażył te swoje leki. Dobrze pamiętam. To było bardzo wzruszające, jak pomagał wyjąć tabletkę z fiolki i pytał, czy Karl nie chce się na chwilę położyć. Tak właśnie było.

Nie tego się spodziewałam. Zdezorientowana spojrzałam na Marcina i Kaśkę. Też byli zaskoczeni. Kaśka głośno odstawiła filiżankę.

– Kurczę, ja w to nie wierzę – oznajmiła dobitnie. – Staś bał się ojczyma. Bał się, że Karl zabije i jego, i matkę. Wszystko jest w liście, o którym paniom mówiłam. Beata, gdzie masz ten list?

Odstawiłam filiżankę i wyszłam z pokoju. W sypialni na parapecie leżało *W pustyni i w puszczy*. Wyjęłam z książki kartkę i wróciłam z nią do gości. Podałam ją Kaśce, a ona z kolei pani Henryce. Ta wyjęła z torebki okulary w złotych cienkich oprawkach, założyła je na nos i zaczęła czytać na głos.

– Mają państwo rację – powiedziała w końcu. – Staszek bardzo bał się Karla. Bał się jako dziewięciolatek, gdy pisał ten list. Ale my obserwowałyśmy stosunki między nimi dużo później, kiedy wydawały się dobre.

– Staś musiał nienawidzić ojczyma, bo ten odebrał mu ojca. Inaczej nie mogło być – przekonywał Marcin.

– Nie zgodzę się z panem – powiedziała spokojnie pani Henryka. – Pan dobrze wie, że czas goi rany. Karl prawdopodobnie troskliwie opiekował się Stasiem, wychował go, był wsparciem dla jego matki. To nie mogło pozostać bez wpływu.

Marcin milczał.

– Wie pan, jak pierwszy raz zobaczyłam Staszka, to pomyślałam, że to życiowy optymista, zawsze uśmiechnięty jak jego mama – kontynuowała starsza pani. – To było wtedy, gdy przyjechałyśmy obejrzeć gospodarstwo. Staszek był wówczas bardzo młody, świeżo po maturze. Pamiętam, jak stał przy różach. Gdy się

do niego zbliżyłam, wyjął z kieszeni scyzoryk, uciął jedną i wręczył mi ją z wielką kurtuazją. Gdyby pan zobaczył tę jego rozpromienioną twarz. Ktoś taki nie potrafi długo nosić nienawiści w sercu.

– Nawet wobec zabójcy ojca? Trudno uwierzyć – powiedziałam.

Marcin potaknął.

– Jeżeli te dobre stosunki między Stasiem a Karlem są prawdą, to ja zaczynam wątpić w całe to morderstwo – oznajmił poważnie. – Może to jednak nie pan Majewski?

Pani Henryka chciała coś dodać, ale przerwała jej siostra.

– Ja nie rozumiem jednego – powiedziała. – Dlaczego zakopali go w piwnicy? Przecież łatwiej byłoby pochować ciało w ogrodzie albo w sadzie. Po co rozwałać podłogę?

– Prawdopodobnie Karl bał się, żeby ktoś go nie przyłapał – stwierdziłam.

– No nie wiem. Wykopanie dołu w ogrodzie nie powinno nikogo dziwić, każdy pomyślałby, że to na kompost. A ciało można przenieść i zakopać w nocy. Poza tym ten dom stał wtedy na zupełnym odludziu. Nikt wtedy nie chodził. No i dziwi mnie, że przez czterdzieści lat nic nie zauważyłam, daję słowo. Żadnego śladu ukrycia zwłok. A do piwnicy schodziłam niemal codziennie, no może dwa, trzy razy w tygodniu.

– Szkielet został zakopany pod schodami – wyjaśniłam.

– Kopacze szukali dwóch ciał – dodała Kaśka, wskazując na list Stasia. – Rozwalili mi pół piwnicy.

– Czy mogłabym tam zajrzeć? – zapytała pani Janina, wstając.

Kaśka podniosła się również.

– Jeżeli pani chce, proszę bardzo.

– Ja zostaję – oznajmiła pani Henryka.

Podążyłam za Kaśką i panią Janiną. Od czasu wizyty pracowników zakładu pogrzebowego nie zaglądałam do piwnicy. Na samą myśl o tym miejscu ogarniał mnie niepokój. W głowie wciąż tkwił obraz czaszki wyglądającej pustymi oczodołami z piwnicznego grobu. Ale teraz poczułam potrzebę natychmiastowego przekonania się, że szkieletu już nie ma.

Gdy Kaśka otworzyła drzwi, owionęło nas zimne powietrze, przesiąknięte wonią wilgotnej ziemi. Pani Janina sprawnie pokonała strome schody. Ja schodziłam powoli, wyciągając ręce na boki, co miało pomóc mi w utrzymaniu równowagi. Stałam w końcu na ceglanej posadzce. Odwróciłam się i zobaczyłam grób pana Majewskiego, szeroki i długi na dwa metry. Kopacze zostawili tutaj względny porządek, zgarnawszy do dołu wydobytą wcześniej ziemię. Pod ścianą leżały równo poukładane całe cegły, a w rogu odłamki i pokruszony cement. Oparta o ścianę stała łopata.

Pani Janina rozglądała się po piwnicy. Wskazała na stojący pod oknem stary

rower.

– Mój mąż nim jeździł – powiedziała. – Mieliliśmy dwa rowery. Ten drugi to była stara ukraińska. Gdy Staszek przyjeżdżał do nas na lato, korzystał właśnie z ukraińskiej.

– Co takiego? Staszek przyjeżdżał do pań na lato? – zdumiała się Kaśka.

Ja również byłam zaskoczona.

Pani Janina, jakby nie słysząc pytania, ciągnęła:

– Kiedyś Staszek i Edek zostawili rowery na plaży i poszli popływać, a wtedy jacyś dowcipnicy powiesili im te rowery na drzewie. Jacy oni byli źli! Edek pożyczał traktor, żeby je ściągnąć, bo inaczej się nie dało. – Zawróciła ku schodom.

– To były piękne czasy – dodała. – Byliśmy tacy młodzi...

– Pani Janko, myślałam, że Staś tylko raz był tutaj. Wtedy, z Karlem – powiedziała Kaśka.

– Nie, skądże. Staszka tutaj ciągnęło, miał wielu kolegów. Przyjeżdżał każdego lata, pomagał nam przy żniwach. Tak sobie dorabiał w czasie studiów. Gdy je skończył, przestał przyjeżdżać. Potem był jeszcze parę razy na początku lat osiemdziesiątych, po mięso i jajka. Właśnie wtedy pojawili się pewnego dnia we dwóch z Karlem, zupełnie niespodziewanie. Staszek nie uprzedził nas, że przywiezie ojczyma.

– Jak pani myśli, czy Staś mógł wtedy przymierzać się do przeniesienia szczątków ojca na cmentarz? – zapytałam.

Pani Janina zamyśliła się na chwilę.

– Nie sądzę. Wiecie panie, to był trudny czas. Stan wojenny. Lepiej było nie zwracać na siebie uwagi. A tu trzeba by było załatwiać te wszystkie zezwolenia. Jak wytłumaczyć urzędnikowi, że szanowny tatuś znalazł się pod podłogą piwnicy?

– Podczas stanu wojennego rozumiem, ale później nic nie stało na przeszkodzie... – stwierdziłam.

– Tak – przyznała mi rację pani Janina, ale za chwilę dodała: – No nie, przeszkody były. My mogliśmy być przeszkodą, ja, mój mąż i siostra. Gdyby chciał z piwnicy zabrać szczątki, musiałby wyjawić nam prawdę, a może nie miał na to ochoty? No i dopóki Karl żył, właściwie Staszek musiał milczeć, bo inaczej pograżyłyby ojczyma.

Wróciłyśmy do pokoju. Pani Henryka i Marcin nadal siedzieli przy stole. Świece wypaliły się już do połowy. Kaśka zaczęła zbierać filiżanki i talerzyki.

– Teraz napijemy się herbatki. Zrobię też parę kanapek – zaproponowała.

Pani Henryka uniosła w górę dwa palce, jak uczennica.

– Pani Kasiu, tylko herbatę, żadnych kanapek – poprosiła.

Gdy Kaśka wyszła z pokoju, zabrała głos pani Janina.

– Mam dla was jeszcze jedną ciekawostkę, może was zainteresuje. Gdy Staszek przyjechał tutaj po jajka i mięso pierwszy raz, poznał dziewczynę. To znaczy znał

ją już wcześniej, ale jako dziecko. A tu nagle zobaczył piękną i dorosłą Sabinę, no i strzała Amora przeszła go na wylot. Sabinka nadal mieszka w Sztutowie z matką, tą staruszką na wózku, Kazimierą Górą. I z córką Natalią. Natalia jest lekarzem. Śliczna jak niegdyś matka.

– Widziałam ją! Widziałam wnuczkę pani Góry. Jest piękna – odezwałam się.

– To ta, która wczoraj wpadła na nas z latarką? – zapytał Marcin.

– Ona.

– No to już wiecie, dlaczego Staszek zakochał się w jej matce na zabój.

Pani Janina spojrzała na Marcina, jakby tylko od niego oczekiwała odpowiedzi, a mój mąż mruknął coś niewyraźnie. Za to ja zapewniłam stanowczo:

– Taka kobieta może każdemu mężczyźnie zawrócić w głowie. Nie wątpię.

Kaśka weszła do pokoju z tacą. Postawiła ją na stole.

– Jaka kobieta? – zainteresowała się. – O kim mówicie?

– Właśnie pani Janka powiedziała nam, że Staś kochał się w córce Kazimierzy Góry – wyjaśniłam.

Pani Janina przysunęła sobie filiżankę.

– Sabina i dzisiaj wygląda pięknie, chociaż jest już po pięćdziesiątce – ciągnęła. – Mieszkają we trzy na Gdańskiej, w dużym domu z czerwonej cegły, zaraz przy sklepie spożywczym. Ona i Staszek byli na językach całego Sztutowa. Co to był za skandal!

Pani Henryka wstała od stołu i podeszła do okna.

– Zaczyna sypać – powiedziała.

Żadne z nas nie zareagowało. Trwaliśmy zasłuchani w opowieść.

– Sabina była mężatką i miała dziecko, ale to nie przeszkadzało jej romansować ze Staszkiem na oczach całego miasteczka. Nie ukrywali się, dają słowo. W końcu jej mąż dowiedział się, kto przyprawia mu rogi, i pogonił konkurenta. Był milicjantem, powiedział, że jak jeszcze raz zobaczy Staszka, to go zastrzeli. Poskutkowało. Chłopak przestał przyjeżdżać do Sztutowa. Ale małżeństwo Sabiny nie przetrwało. Mąż ją zostawił. Wyjechał. No i nasza piękność została sama, bez męża i bez kochanka. Tak to zwykle bywa, gdy chce się złapać dwie sroki za ogon.

Pani Henryka wróciła do stołu. Napiła się herbaty.

– Powinnyśmy już wracać – oznajmiła.

– Tak, tak, powinnyśmy – przytaknęła jej siostra.

– Dam paniom słoiczek miodu. Kupiłam od pana Józia, jak panie mi poleciły – powiedziała Kaśka, wstając z miejsca.

Wyszła, a ja zapytałam:

– Czy wiedzą panie, co teraz dzieje się ze Staszkiem?

– Nie mamy pojęcia – odparła pani Henryka. Zerkając na wysokie lustro, dodała: – Prawdopodobnie się ożenił i dzisiaj jest szczęśliwym dziadkiem.

– Znąją panie jego gdański adres? Chętnie bym z nim się spotkała.

– Pani Kasia już nas o to pytała, bo chciała go powiadomić o ekshumacji i pogrzebie, ale niestety nie możemy pomóc. Nigdy nie znałyśmy ich adresu. Pamiętam tylko, że Dietrichowie mieszkali na Przymorzu, ale nie wiem nawet, czy ze Staszkiem, czy bez. Może przeprowadził się na drugi koniec Polski?

Pani Henryka schowała okulary do torebki i dopiła herbatę.

Patrzyłam na dopalające się świece, na wosk gromadzący się na mosiężnej obwódce świecznika. Pochyliłam się i zdmuchnęłam pierwszą. Płomień najpierw się wyciągnął i ułożył poziomo, a następnie zgasł. Zdmuchnęłam dwie kolejne. Pokój wypełniła intensywna woń nadpalonych knotów. W dłoni Kaśki zadzwoniły kluczyki, siostry podniosły się z krzesel, my również. Wyszliśmy na ganek. Nieliczne płatki śniegu wirowały w powietrzu. Panie wsiadły do samochodu. Gdy mercedes Kaśki zaczynał powoli się toczyć w stronę drogi, schowaliśmy się z Marcinem w domu. Od razu pobiegłam do kominka i pochyliłam się nad paleniskiem. Gorące powietrze ogrzewało mi twarz i dłonie. Wzięłam pogrzebacz i poruszyłam dopalające się drwa, żeby wydobyć z nich większy płomień.

– Zaraz idziemy nad morze, póki widno – powiedział Marcin.

Odwróciłam się. Stał przy stole. Na wysokości piersi trzymał duży, płaski talerz i pochłaniał ostatnie kawałki ciasta. Miał policzki napęczniałe od nadmiaru przeżuwanego sernika.

– Uważaj, żebyś się nie zadławił.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby tak właśnie umrzeć. Ale, oczywiście, nie dzisiaj.

Odstawił talerz i wytarł okruszki z brody.

Spodziewałam się, że na plaży będzie jeszcze zimniej niż na podwórku, włożyłam więc na elegancką tunikę stary sweter, a na uszy naciągnęłam grubą czapkę Marcina. Schodząc po kamiennych schodkach ganku, wciągałam przez nos mroźne powietrze. Płatki śniegu wciąż leciały z nieba. Wybraliśmy drogę przez las. Z początku szliśmy w milczeniu.

– Dowiedzieliśmy się, że Karl był dżentelmenem i troskliwym mężem – powiedziałam wreszcie. – Poza tym miał łagodne usposobienie. I to ma być morderca? Myślałam, że dzisiaj dowiemy się o nim czegoś innego.

– Nie zapominaj, że jak pani Janina i pani Henryka przyjechały tutaj po raz pierwszy, były młodymi dziewczynami. Karl chciał na nich zrobić dobre wrażenie. Rzucił parę komplementów, podał ogień i to wystarczyło, żeby jeszcze po czterdziestu latach dobrze go wspominać. Tak naprawdę mógł być z niego niezły skurwysyn. Ja go widzę jako despotę, który wymaga od wszystkich bezwzględного posłuszeństwa i przestrzegania narzuconego porządku. Te grabie, które zawsze musiały stać na swoim miejscu, właśnie w tym rogu szopy, a nie w innym. Straszne! Wyobraź sobie życie z kimś takim. Prawdziwa droga przez mękę. Jeżeli chcesz

usłyszeć o Karlu coś innego, idź do tej Kazimierzy Góry. Jej na pewno nie zamydlił oczu swoimi popisami.

– Pójdę, pójdę. Myślałam o tym już wcześniej, ale nie znałam nazwiska i adresu.

Pod naszymi butami pękały drobne gałązki. Płatki śniegu osiadały na kurtkach.

– Może śmierć pana Majewskiego to jednak był wypadek? – zasugerowałam.

– Tak, przewrócił się i uderzył głową w siekierę – powątpiewał Marcin sarkastycznie. I dodał poważnie: – Dziwi mnie tylko jedno, ta dobra komitywa między dorosłym Stasiem a Karlem. Nie wybacza się tak łatwo zabójstwa ojca. No, chyba że ten ojciec był potworem, a Karl ich uwolnił od jego tyranii. Co ty na to?

– To możliwe. Ta pani Marysia z czerwonym barankiem na głowie powiedziała wprawdzie, że Majewski był mikry, nosił okulary i krowy się bał, ale to nie wyklucza znęcania się nad rodziną.

Donośne krakanie zakłóciło ciszę lasu. Wrony, przewracające do tej pory swoimi dużymi dziobami ściółkę, teraz zerwały się i krążyły nad bezlistnymi gałęziami. Wyszliśmy spośród drzew, wprost na plażę. Uderzył w nas silny podmuch wiatru.

Długo patrzyłam na spiętrzone fale pędzące w stronę brzegu.

ROZDZIAŁ VIII

Przycisnęłam dzwonek, dwa razy. Za pierwszym razem krótko, by nie posądzono mnie o natręctwo. Za drugim dłużej przytrzymałam palec. Czekałam. Mijały sekundy. Zdążyłam pomyśleć, że lepiej byłoby, gdyby nikt mi nie otworzył – miałabym wtedy czas dla siebie, mogłabym wrócić do domu, usiąść przed kominkiem i pograć się w lekturze – drzwi jednak uchyliły się i stanęła w nich młoda szatynka o bladej cerze. Miała na sobie ciemne spodnie i białą koszulę, krojem przypominającą fartuch. Patrzyła wyczekująco. Milczałam. Przyszło mi do głowy, że pomyliłam domy. Duży dom z czerwonej cegły, zaraz za sklepem spożywczym, tak powiedziała pani Janina. Zaraz za sklepem owszem, ale z której strony, nie sprecyzowała.

Dłoń kobiety, ozdobiona jedynie obrączką, zacisnęła się na klamce. Drzwi skrzypnęły.

– Czy mogłabym porozmawiać z panią Kazimierą Górą? – zapytałam szybko.

– Pani Sabina nie uprzedziła mnie, że ktoś ma dzisiaj przyjść – powiedziała szatynka.

– Nie byłam umówiona – wyjaśniłam.

– Proszę przyjść, jak będzie pani Sabina albo pani doktor. Obie powinny wrócić za godzinę.

Wyciągnęłam przed siebie rękę, powstrzymując kobietę przed zamknięciem drzwi. Na mojej dłoni leżał mały bursztynowy krzyżyk. Szare oczy kobiety powiększyły się i skupiły na złocistożółtym drobiazgu. Miałam wrażenie, że go rozpoznaje.

– Widziała go pani już kiedyś? – zapytałam.

– Nie, nie widziałam, ale starsza pani mówi o nim od kilku dni. Kazała mi go nawet szukać. Myślałam, że to starcze urojenia.

– Proszę jej go zanieść i przy okazji zapytać, czy porozmawia ze mną przez chwilę.

W głębi mieszkania zadzwonił telefon. Kobieta niepewnie zrobiła krok do tyłu. Nie wiedziała, czy ma mnie wpuścić, czy zamknąć.

– Proszę wejść – powiedziała w końcu.

Stanęłam tuż za progiem i czekałam na powrót szatynki. Słyszałam jej głos, dochodzący z pomieszczenia na drugim końcu korytarza. Ściskając w dłoni bursztynowy krzyżyk, rozglądałam się dokoła. Przede mną wisiał pociemniały drzeworyt przedstawiający sakralną budowlę. Przysunęłam twarz do ciemnych liter widniejących na ramie; napis informował, że to katedra Świętego Mikołaja w Elblągu. Pod drzeworytem znajdowała się niska szafka, na którą ktoś rzucił kilka kolorowych folderów. Obok komódki stały dwa damskie kozaki. Ich właścicielka musiała mieć bardzo małe stopy.

Usłyszałam dźwięk odkładanej słuchawki i za chwilę na końcu korytarza

pojawiła się szczupła sylwetka.

– Proszę dać mi ten krzyżyk – powiedziała kobieta.

Schowała go do obszernej kieszeni koszuli-fartucha i ruszyła schodami w ciemność piętra. W samych skarpetkach pokonywała drewniane stopnie niemal bezgłośnie. Ma małe stopy, a zatem to do niej należą kozaki, wywnioskowałam.

Myślałam, że przyjdzie mi czekać kilka minut, ale powróciła niemal natychmiast. Przystanęła w połowie schodów.

– Proszę za mną! – zawołała.

Moje buty zadudniły na drewnianych stopniach. Żeby poruszać się tak cicho jak ona, powinnam je zdjąć.

– Czy pani Kazimiera samodzielnie wchodzi po tych schodach? – zapytałam.

Dziewczyna, nie zatrzymując się, odwróciła głowę.

– Nie, skądże. Starsza pani nie chodzi już od trzech lat. Codziennie wnosimy ją i znosimy.

Weszłyśmy w wąski, ciemny korytarz. Przed sobą miałam jasny fartuch dziewczyny i smugę światła w szparze pomiędzy podłogą a drzwiami. Za moimi plecami zaskrzypiały deski, jakby ktoś za nami szedł. Odwróciłam się odruchowo, choć wiedziałam, że nikogo nie zobaczę. Dźwięk, który usłyszałam, zmroził mnie jak lodowaty podmuch wiatru. Był to odgłos przekręcanego klucza. Po co zamykać tę starą kobietę, skoro nie chodzi? Poczułam się nieswojo.

– Dwa lata temu starsza pani zwlokła się z łóżka i wyczołgała na korytarz – wyjaśniła kobieta, jakby znała moje myśli. – Znalazłyśmy ją u szczytu schodów. Jeszcze pół metra, jedna minuta, a mogłoby dojść do tragedii. Od tamtej pory zamykamy ją na klucz. Przekręcam go, nawet kiedy wychodzę na chwilę.

W ciemnościach kiwnęłam głową na znak, że rozumiem. Drzwi się otworzyły, więc przymrużyłam oczy, broniąc się przed oślepiającym światłem. Zaskoczyła mnie jego intensywność i biała, zimna barwa.

Weszłyśmy do pokoju. Pod ścianą stało wysokie białe łóżko, na którym siedziała oparta o poduszki postać. Właśnie „postać”, bo słowo to określało doskonale wychudzone i pomarszczone ciało z łysą głową. Pozbawione płci, pozbawione nawet ludzkiego wyglądu, rodem jak z horroru. Kobieta pochyliła się nad staruszką.

– Przeprowadziłam tę panią, która przyniosła krzyżyk – powiedziała.

Pani Kazimiera Góra nie zareagowała. Nie byłam pewna, czy zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Podeszłam do łóżka.

– Dzień dobry – pozdrowiłam ją gromko.

– Nie musi pani podnosić głosu. Pani Kazia całkiem dobrze słyszy jak na swoje dziewięćdziesiąt pięć lat.

Czułam kwaśną woń starości pomieszaną z zapachem kamfory czy amolu. Szatynka przysunęła mi krzesło. Usiadłam. W milczeniu patrzyłam na zasuszoną,

ziemistą twarz, na ciało mumii. Pani Kazimiera wyglądała odpychająco. W niczym nie przypominała przyjemnej staruszki, jaką wydała mi się w barze, okutanej szalem, w czapce naciągniętej na czoło.

– Zostawię panie same – powiedziała szatynka i ruszyła do drzwi. Już za progiem odwróciła się. – Jak będzie pani wychodzić, proszę przekręcić klucz.

Gdy za kobietą zamknęły się drzwi, pani Kazimiera otworzyła dłoń i pokazała mi krzyżyk.

– To moje – stwierdziła.

Te dwa słowa zabrzmiały jak przeciągły jęk.

– Tak, pani – potwierdziłam.

Kobieta poruszyła się. Ten minimalny ruch starczego ciała, poruszenie kołdry uwolniły obrzydliwą woń moczu. Przez chwilę mnie zemdliło. Odwróciłam głowę i zacisnęłam zęby.

– To Karl zabrał pani ten krzyżyk? – zapytałam, nie patrząc.

– Tak, to on. To on, diabeł! Diabeł, żeby się smażył w piekle!

– Dlaczego Karl to zrobił?

– Z szyi mi go zerwał, diabeł!

Za każdym słowem z bezzębnych ust kobiety wydobywał się świst. Mimo to nie miałam jednak problemu ze zrozumieniem słów.

– Chciałam z panią porozmawiać o Karlu – powiedziałam.

Skuliła się, chowając łysą głowę w ramiona. Zwiotczałe, opadnięte wargi zadrżały.

– On mówił, że mnie udusi... Udusi własnymi rękami!

– Proszę się nie bać, Karl pani nic nie zrobi. Myślę, że on już nie żyje – oznajmiłam stanowczo, chcąc ją uspokoić.

Pani Kazimiera wydała z siebie dźwięk, przypominający starcze rżenie. Ze zdumieniem rozpoznałam w nim śmiech.

– Zło nie umiera – wysyczała.

Ciarki przeszły mi po plecach. Spojrzałam na powykręcane palce, wyglądające jak szpony drapieżnego ptaka.

– Co aż tak złego zrobił? – zapytałam.

Usłyszałam świst, potem kolejny, jakby staruszka próbowała coś powiedzieć, ale struny głosowe odmawiały posłuszeństwa. Następny świst przyniósł ze sobą ciche słowa.

– Dużo złego, dużo, ten diabeł.

– Ale co? Czy kogoś zabił? I dlaczego chciał panią udusić?

Łysa głowa trzęsa się, z ust leciała ślina. Nie byłam w stanie dłużej patrzeć na ohydny starość, zaczęłam więc rozglądać się po pokoju. Okno bez firan, jasnożółte ściany, metalowe łóżko, obok zielona szafka, stół, krzesła, szafa w rogu i brązowe linoleum na podłodze. Żadnych dekoracji, żadnych obrazków, fotografii,

dzbanuszków, sztucznych kwiatów. Ten pokój wyglądał jak sala szpitalna. Białe, intensywne światło potęgowało jeszcze to wrażenie.

– Proszę opowiedzieć mi o Karlu – poprosiłam, patrząc w ciemny prostokąt okna.

– On się mnie bał. Bał się, że im powiem. On, najlepszy kompan lagerkommandanta Paula Wenera Hoppego, bał się mnie – głupiej, brudnej Polki. Ale ja się go bałam jeszcze bardziej. – Pani Kazimiera głośno wciągnęła powietrze w płuca i pokiwała łysą głową. – Się wystraszyłam, gdy go tutaj zobaczyłam, trzy lata po wojnie – kontynuowała. – Jechał wozem środkiem miasta. Nie poznał mnie, bo w tamtym strasznym miejscu wszystkie wyglądałyśmy tak samo: w pasiakach, bez włosów, brudne, wychudzone. Ale z czasem ludzie mu donieśli, że ja stamtąd. Na schodach kościoła zerwał mi krzyżyk i postraszył śmiercią. Złęłam się, bo dziecko miałam urodzić i męża miałam.

Staruszka zamilkła. Po jej brodzie spływała długa stróżka śliny. Kolejny świst i kolejne wypowiedane z trudem słowa:

– Złapał mnie w lesie, kopnął w brzuch, mocno, bardzo mocno, i po dziecku było. Diabeł, kopać lubił. W obozie kopał i więźniów, i psy, kopał i kopał, tymi swoimi buciorami. Jak uciekł więzień, lagerkommandant zarządził apel. Straszny apel, straszny dzień, na placu całą dobę, wszyscy, głodni, wyczerpani, zmarznięci, styczeń. A Karl między rzędami biegał i kopał więźniów, kopał. Ludzie się przewracali, to on im w głowę, paf-paf. Obok mnie też, z pistoletem. Strach, nie oddychałam. Gdyby kopnął, to po mnie, ja na ziemi, a on paf-paf w moją głowę.

– A więc Karl służył w Stutthofie... – powiedziałam cicho.

Byłam zaskoczona. Nie łączyłam go z tym miejscem, tak oczywistym. Wyobrażałam go sobie raczej jako żołnierza Wehrmachtu, walczącego na froncie wschodnim.

Stara kobieta zacisnęła kościste dłonie w pięści.

– Razem, po obozie, on i lagerkommandant Paul Werner Hoppe, w tych swoich buciorach, a za nimi dwa psy, czarne jak smoła – kontynuowała staruszka z wysiłkiem. – Z Berlina w płaszczach, jacyś ważni, to Karl z nimi po obozie też.

Ostatnie słowa zlały się z głośnym rżeniem w płucach. Nie chciałam jej dłużej męczyć. Dowiedziałam się wystarczająco dużo. Położyłam swoją dłoń obok dłoni pani Kazimiery.

– Dziękuję za rozmowę – powiedziałam. – Proszę już nic więcej nie mówić.

Nie posłuchała. Ciężko łąpała powietrze.

– Moja przyjaciółka na tyfus, a ja szczęśliwa. Ona umarła, a ja się cieszyłam, bo jej brudny, zawszony sweter był mój. I łyżka. Prawdziwa łyżka, a nie jakaś ustrugana z kawałka drewna, tylko metalowa duża łyżka, prawdziwy skarb. Wiedziałam, że z łyżką to ja przeżyję.

Na schodach rozległy się szybkie kroki. Nie, nie młodej szatynki; tamta

poruszała się bezszelestnie. Wstałam. Stara kobieta schowała rękę z krzyżykiem pod kołdrę. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła wnuczka pani Kazimierey, piękna Natalia. W smukłej dłoni trzymała popielaty szalik, drugą ręką powoli rozpinając elegancki płaszcz. Gdy zobaczyłam kremowy żakiet, tak znakomicie leżący na jej szczupłym ciele, poczułam się niezręcznie w moim rozciągniętym swetrze. Miałam ochotę go zdjąć i zaprezentować elegancką czarną tunikę, zamiast tego sięgnęłam jednak po kurtkę wiszącą na poręczy krzesła.

– Przepraszam, że ośmieliłam się niepokoić pani babcię, ale zapewniam, że zajęłam pani Kazimierze tylko kilka minut – tłumaczyłam. – Trochę porozmawialiśmy, ale już wychodzę.

Piękna blondynka uśmiechnęła się. Podeszła do łóżka i spod kołdry wyciągnęła rękę pani Kazi. Zmierzyła puls.

– Babciu, zaraz przyjdę podłączyć ci kroplówkę – powiedziała. – Teraz odprowadzę panią do drzwi.

Wyszliśmy na korytarz. Usłyszałam odgłos przekręcanej klucza. W milczeniu schodziłyśmy po schodach.

– Jeszcze raz przepraszam, że pozwoliłam sobie najść pani babcię, ale bardzo zależało mi na pewnych informacjach – powiedziałam już na dole.

– A cóż takiego może wiedzieć moja babcia? – zapytała.

Wciąż się uśmiechała, ale w jej głosie nie było słyhać uprzejmości.

– Przyszłam porozmawiać o Karlu Dietrichu – wyjaśniłam.

– O Karlu Dietrichu... Tak właśnie myślałam. Od dwóch dni starsi mieszkańcy Sztutowa mówią tylko o nim i o tym szkielecie odnalezionym w jego domu. Podobno ten ktoś został zamordowany?

– Tak. Najprawdopodobniej pierwszy mąż pani Dietrich, żony Karla. A Karl go zabił. Teraz, po rozmowie z panią Kazimierą, jestem tego niemal pewna.

– No cóż, fascynująca historia. Ofiara morderstwa, podejrzany, motyw. Też bym próbowała dotrzeć do prawdy, serio. Ale muszę panią rozczarować – nie należy wierzyć we wszystko, co mówi moja babcia. Gdyby przyszła tu pani jutro, usłyszałyby pani zupełnie inną historię o Karlu Dietrichu.

Kobieta zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez ramię. Uwagę przykuwały jej kozaki, długie, powyżej kolana, cielistego koloru. Odruchowo spojrzałam na szafkę. Miejsce po butach w małym rozmiarze było puste. A więc młoda szatynka wyszła.

– Pani Kazimiera opowiadała mi o obozie – powiedziałam.

– Tak, tak, okrutny esesman z obozu w Stutthofie. Ja jednak miałam okazję usłyszeć również opowieść o dobrym esesmanie. Podobno ten Karl, narażając własne życie, wyciągał żydowskie dzieci z krematorium. No i nieraz babcia zapewniała, że żadnego Karla Dietricha w obozie nie było.

– Pani Kazimiera była bardzo przekonująca – powątpiewałam.

Natalia odgarnęła z policzka jasne pasmo włosów.

– Wiem – powiedziała z uśmiechem. – Po raz pierwszy o Karlu babcia opowiedziała nam kilkanaście lat temu. Obie z mamą uwierzyłyśmy. Mama nawet go jeszcze trochę pamiętała z dawnych lat i tę jego żonę również. Ale potem, gdy babcia zaczęła zaprzeczać własnym słowom, przeczytałam trochę, więc wiem, że członkowie załogi Stutthofu byli po wojnie ścigani i sądzeni za zbrodnie wojenne. Gdyby Karl miał coś wspólnego z obozem, nie siedziałby tutaj i nie czekał, aż po niego przyjdą. Uciekłby, jak inni.

Mówiła sensownie, ale ja wiedziałam swoje.

– Jakoś mnie to nie dziwi, że pani Kazimiera raz mówi, że Karl był esesmanem, a potem temu zaprzecza. Jest stara, a on przez wiele lat groził jej, kazał milczeć. Bidulka, już sama nie wie, co jej wolno, a co nie. Poza tym te inne opowieści o Karlu – że był troskliwy, cudowny i w ogóle – pani wybacz, ale ja w nie nie wierzę. To wygląda tak, jakby wszystkim chciał zamydlić oczy.

– Jeśli pani chce, proszę wierzyć mojej babci. Ja wątpię w jej słowa. Kilka lat temu przyjechał do mnie kolega z Monachium, lekarz. Gdy tylko babcia go zobaczyła, od razu zarzuciła mu, że był esesmańskim lekarzem w *krankenbau* i topił chorych więźniów w wannach szpitalnej łaźni. Na nic zdało się tłumaczenie, że mój znajomy ma trzydzieści pięć lat i podczas wojny nie było go jeszcze na świecie.

Położyłam rękę na klamce. Chciałam, żeby Natalia mnie zatrzymała, zaprosiła na kawę. Porozmawiałybyśmy o Dietrichach, o morderstwie, o Staszku i Sabinie... Czy ona w ogóle wie o romansie swojej matki ze Staszkiem? Czy wie o tym pani Kazimiera? Że jej córka związała się z pasierbem Karla? Karla, tego esesmana.

Jednak piękna dziewczyna uścisnęła mi dłoń i to był koniec wizyty. Wysłałam na zaśnieżony chodnik i spojrzałam w czarne niebo. Żadnych gwiazd; nawet księżyc nie był w stanie przebić się przez chmury. Pojedyncze płatki śniegu powoli opadały na ziemię. Stałam pod latarnią i wysłałam esemesa do Marcina, żeby po mnie przyjechał. Czekałam, patrzyłam na okno od pokoju pani Kazimiery. Intuicja podpowiadała mi, że jej opowieść o Karlu jest prawdziwa. Karl Dietrich był członkiem esesmańskiej załogi Stutthofu, który wbrew jakiegokolwiek logice zamieszkał tuż obok miejsca zbrodni. I był przede wszystkim okrutnym człowiekiem, zdolnym do zabicia każdego, kto stanąłby mu na drodze. Pan Majewski zaś nieopatrznie pokrzyżował mu plany i zapłacił za to życiem.

Światło w oknie staruszki zgasło. Tupiąc w miejscu, wyglądałam Marcina. Wkrótce pojawiły się światła samochodu. Auto zwolniło, a ja podeszłam do skraju chodnika. Ale kierowca zatrzymał się kilkanaście metrów dalej. Od ciemnej ściany budynku oderwała się jakaś postać i wsiadła do samochodu, który natychmiast ruszył. Kto to? Może ta szatynka? Zapewne wyszła parę minut przede mną. Ale dlaczego do mnie nie podeszła? Musiała mnie widzieć, stałam pod latarnią. A może

dostała reprimendę za wpuszczenie obcej osoby do domu i ma do mnie żal, że się wprosiłam?

Dobiegł mnie warkot silnika i tuż przy mnie zahamował Marcin. Otworzyłam drzwiczki i wsunęłam się do ciepłego, przytulnego wnętrza. Z głośników sączył się przyjemny dźwięk trąbki Chucka Mangione. Zwiększyłam poziom głośności i z przymkniętymi oczami wsłuchiwałam się w muzykę. Napięte od kilku godzin mięśnie rozluźniały się powoli.

– No i co, warto było tam iść? Dowiedziałaś się czegoś ciekawego? – zapytał Marcin.

– Nawet czegoś bardzo ciekawego... – Zawiesiłam głos, czekając, aż wybrzmia ostatnie takty *Children of Sanchez*. – Dowiedziałam się, że Karl Dietrich był esesmanem w Stutthofie.

Marcin aż gwizdnął.

– Chyba nie był tam kucharzem – powiedział.

– Dokładnie nie wiem, jaką funkcję pełnił, ale wygląda na to, że stał wysoko. Był kompanem samego komendanta. No i okrutnikiem.

– To chyba mamy mordercę – skonstatował Marcin. – Poprosiłaś tę panią, żeby pokazała ci numer obozowy? – zapytał, wjeżdżając na podwórko.

– Nie, nie poprosiłam. Nawet o tym nie pomyślałam. To byłoby niezręczne. Zupełnie jakbym nie wierzyła, że tam była.

W mojej głowie wyświetlił się obraz łysej kobiety siedzącej na metalowym łóżku. Na jej wysuszonej skórze nie mógł zachować się żaden numer. Zapewne wyblakł jak pismo na papierze, zlał się z szarością karnacji.

– No, Beata, jak już przesłuchujesz człowieka, rób to fachowo. Przypominam ci, że ludzie jej nie wierzyli właśnie przez brak numeru. A to właściwie jedyny dowód na pobyt w takim miejscu.

– Ja jej nie przesłuchiwałam. Ja z nią rozmawiałam.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. Jeżeli jednak wyciągasz od kogoś informacje, sprawdź, czy ten ktoś mówi prawdę. Tu miałaś możliwość, ale nie skorzystałaś.

– Ta kobieta na pewno była w obozie. Gdybyś ją usłyszał, też byłbyś o tym przekonany.

Wreszcie w domu!

Przytuliłam się do pieca w sypialni; kafle były jeszcze ciepłe. Miło. Na przeciwległej ścianie pokoju wisały dwie bretońskie kobiety pędzla Gauguina, a raczej – pędzla anonimowego malarza. Obraz nie pasował tutaj w żaden sposób, ani do tego kolorowego, plecionego chodniczka, ani do prostego, drewnianego łóżka i do tych kafli z wiatrakami. Po co Kaśka go powiesiła? Czyżby to był prezent, którego nie wypadało wyrzucić na przepastny strych? A może bretońskie kobiety patrzyły na pokój już za czasów pani Janiny? Myśli przelatowały przez moją głowę, jedna prowokowała następną. A może to Karl otrzymał go od jakiegoś

zaprzyjaźnionego esesmana, który wyniósł go z Luwru bądź z innego paryskiego muzeum? Ta myśl mnie zmroziła. Czyżby to był oryginał? Podeszłam i przyjrzałam się ramie. Przejechałam palcem. Lekko zakurzona. Nie byłam w stanie ocenić jej wieku. Zdjęłam obraz i położyłam go na łóżku, tylną ścianką do góry. Szukałam napisu, daty, jakiegoś symbolu.

– Co robisz? – zapytał Marcin.

Stał w drzwiach z kabanosem w ręku.

– Sprawdzam, czy jest oryginalny.

Szczęki mojego męża znieruchomiały na moment.

– No co? Przecież hitlerowcy okradali muzea w całej Europie. Może robili sobie prezenty przy byle okazji i może Karl dostał to dzieło sztuki. Dlaczego nie?

– Gdyby był to oryginał, to zapewniam cię, że Karl by go nam nie zostawił. Zabrałby go ze sobą albo tak ukrył, że nawet święty Antoni by go nie znalazł.

Podeszłam i ułamałam sobie kawałek kabanosa.

– Masz rację, jak zwykle – powiedziałam, cmokając Marcina w czubek nosa.

Odwzajemnił się, klepiąc mnie w tyłek.

Powiesiłam obraz i rzuciłam się na łóżko. Sprężyny zajęczały pod moim ciężarem. Żując, wpatrywałam się w sufitowe belki. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że coś umknęło mojej uwadze, jakby podświadomość zarejestrowała jakiś fakt, jakiś szczegół, ale świadomość nie potrafiła go odczytać. Nie wytrzymałam, podniosłam się i podeszłam do malowidła. Ponownie przyjrzałam się ramie, ale nie znalazłam w niej niczego nadzwyczajnego. Zbliżyłam się do pieca, oparłam plecami o kafelki i spojrzałam na bretońskie kobiety z oddalenia.

Już wiedziałam! Rzecz, która zwróciła moją uwagę, nie miała nic wspólnego z reprodukcją Gauguina. W pokoju unosiła się woń papierosowego dymu. Wciągałam w nozdrza niewielkie porcje powietrza, próbując wyodrębnić ten jeden zapach. Obeszłam dokoła duże łóżko i zatrzymałam się przy zasłonach. Dym, bez wątplenia! Wyobraźnia podsunęła mi obraz Kaśki trzymającej w palcach żarzącego się papierosa.

Skierowałam się do pokoju z kominkiem. Marcin siedział przy okrągłym stole, przed świecącym się monitorem laptopa. Tutaj woń powinna być lepiej wyczuwalna, w końcu Kaśka paliła tutaj podczas wizyty obu pań. Zaczęłam dyskretne obwąchiwanie, lecz tym razem moje receptory węchu nie wyłapały charakterystycznej woni. Wyobraźnia podsunęła mi obraz przyjaciółki i mojego męża, obojga w dużym, drewnianym łóżku, pod moją nieobecność. Dlaczego prześladowuje mnie myśl, że oni mnie oszukują?

– Czy Kaśka wróciła tutaj z Malborka? – zapytałam niespodziewanie, stojąc za plecami Marcina.

– A po co miałyby wracać? – odparł swobodnie, bez teatralnego zdumienia.

Zaczęłam zdrapywać krople zastygniętej stearyny z mosiężnego świecznika.

Do Malborka i z powrotem, jeszcze wizyta u ogrodnika i szybki numer z moim mężem... Nie zdążyłaby, za mało czasu. Ale skąd w sypialni ten dym? A może Marcin wrócił do nałogu i popalał sobie po kryjomu, bo nie chce się przyznać do porażki? Jeżeli tak jest, długo nie utrzyma tego w tajemnicy.

– Masz wiadomość od Gabrysi – powiedział, wstając z krzesła.

Usiadłam i uśmiechnęłam się na widok opisu, jaki moja córka umieściła na GG: „Z prochu powstałeś, to się otrzep”. Otworzyłam wiadomość i zaczęłam czytać:

„Mamuniu, mój drogi tatuś jest w szpitalu. Pisząc «drogi», wcale nie przesadzam. Okazało się to, gdy musiałam mu kupić piżamę, kaptur, zestaw do golenia, szczoteczkę do zębów, pastę, ręcznik i mydło. Nie powiem, trochę to nadszarpnęło moją kieszeń. Przyznaję jednak, że drogi tatuś wcale nie kazał mi kupować tego wszystkiego, wysłał mnie jedynie do tej swojej, to znaczy do jej mieszkania, żebym mu przyniosła co trzeba. Tyle że ona mnie nie wpuściła. Wrzasnęła jedynie, że mój ojciec to nafciarz i zapłaci jej za to rozbite auto. No, bo tatuś jechał po dwóch piwach, no i miał wypadek, a samochód podobno nieubezpieczony. Tatuś prawie wyszedł cało z wypadku, rozcięta głowa i złamany palec. Powiedział, że jak ty go nie zabiłaś, to nic go nie zabije. No ale gdy go zobaczyłam z tą obandażowaną głową, takiego cierpiącego, to mu kupiłam te wszystkie rzeczy, które miałam przynieść, i jeszcze owoce i ciastka, markizy, bo wiem, że lubi. Jutro mają go wypisać. Mamuniu, napisz, jak się miewa wasz szkielet”.

„Kochanie moje, masz wielkie serduszko, wiem o tym od dawna”, odpisałam. „Mam nadzieję, że twój «drogi» tatuś też to zauważył. Jeszcze dzisiaj przeleję parę złotych na twoje konto, ale nie spodziewaj się fortuny. A jeżeli chodzi o nasz szkielet, to sprawa się rozwinęła na dobre. Okazało się, że to nie Karl leżał w piwnicy pod ceglana posadzką, lecz raczej pierwszy mąż pani Ani, niejaki pan Majewski. Do niego prowadzi trop, bo kilkadziesiąt lat temu zniknął bez śladu. Podobno wyjechał, ale skoro tak było, dlaczego nigdy nie odwiedził własnego syna? Plotki o tym, że pan Majewski zginął z ręki Karla, krążyły po Sztutowie już dawno temu. Od ludzi można się sporo dowiedzieć, trzeba tylko dobrze trafić. Mnie się udało, dotarłam do pewnej wiekowej mieszkanki miasteczka, byłej więźniarki Stutthofu. I zgadnij, czego się dowiedziałam? Nie zgadniesz. Otóż Karl był w tym obozie jakąś szychą. Tak, kochanie, to był esesman, cholerny esesman, taki, który strzelał ludziom w głowy. Cóż to dla niego zabić człowieka siekierą? Tyle co trzasnąć muchę gazetą. Tutaj, w Sztutowie, nikt nie znał jego przeszłości, ta kobieta też go nie wydała, ze strachu. Sądzę, że pani Ania również nie wiedziała, za kogo wyszła, ale na pewno wiedziała, że Karl zabił jej męża. Skoro Staś o tym wiedział, to ona też. Dlaczego w ogóle się z nim związała? Odpowiedź bardzo mnie intryguje. Może została jego żoną ze strachu, a może Karl zagroził, że coś złego

zrobi chłopcu? Zapewne umiał straszyć, miał przecież praktykę. A może po prostu się pokochali? Trudno w to uwierzyć, ale ludzie pamiętają ich jako szczęśliwą parę”.

Kliknęłam w przycisk „wyślij”, następnie w wyszukiwarke wpisałam hasło „muzeum Stutthof”. Patrzyłam zaskoczona na stronę, która właśnie się otworzyła. To wyglądało na makabryczny żart. Grafika w postaci szaroniebieskich linii przywodziła na myśl obozowe pasiaki. Zamknęłam witrynę, a w wyszukiwarke wpisałam dwa słowa: „Stanisław Majewski”.

– Co u Gabrysi? – zapytał Marcin.

– Wszystko w porządku. Właśnie szukam Stasia. Może będzie na Facebooku.

– No tak, należałoby go poinformować, że kości szanownego ojczulka zmieniają miejsce położenia. Tylko czy on będzie tym zainteresowany?

– Na pogrzeb nie musi przyjeżdżać. Chcę się tylko od niego dowiedzieć, co się tutaj stało pół wieku temu.

Wyskoczyło kilkadziesiąt wyników. Każdy z tych Stanisławów mógł być tym moim, choćby ten prawnik z Suwałk zapraszający do swojej kancelarii albo emerytowany nauczyciel z portalu społecznościowego. Żeby zawęzić obszar poszukiwań, w polu edycji dopisałam jeszcze „Anna Dietrich”, choć nie żywiłam wielkiej nadziei, że odnajdę oba nazwiska na jednej stronie.

Jako pierwszy pokazał się serwis fundacji Itaka. Otworzyłam.

„Przekaż informacje: gdzie, kiedy, w jakich okolicznościach widziana była osoba zaginiona”, przeczytałam pośpiesznie. „Zapewniamy anonimowość”.

Przesuwałam wzrokiem po kolejnych wersach, aż wreszcie trafiłam na ogłoszenie:

„Poszukiwany jest Stanisław Majewski, urodzony 02.03.1950 roku. Zaginął 19 stycznia 1983 roku w Gdańsku. Wyszedł z domu do pracy i już nie wrócił. Poszukuje go samotna i schorowana matka Anna Dietrich”.

Marcin stał za moimi plecami.

– Staś zaginął? – wyszeptał. – Co za porąbana rodzina! Ojciec zamordowany, ojczym morderca i esesman, a ten...

Powiększyłam zdjęcie poszukiwanego i zobaczyłam przystojną, szczupłą twarz. A więc to jest Staś. Wyobrażałam go sobie jako małego chłopca z bujną czupryną, tymczasem patrzyłam na lekko łysiejącego dorosłego mężczyznę. Zdjęcie pochodziło z 1980 roku.

– To ogłoszenie sprzed sześciu lat. Anna Dietrich jeszcze wówczas żyła – zauważył Marcin.

– Tak bym chciała się z nią spotkać! Jeśli żyje, na pewno wie więcej niż Staś. On wtedy był dzieckiem, a ona, sam wiesz... To wszystko rozegrało się na jej oczach. Nawet jeżeli w jakiś sposób przyczyniła się do śmierci męża, to dzisiaj, po tylu latach, mogłaby już się przyznać. Jak dobrze byłoby z nią pogadać!

Kliknęłam „kontakt”; infolinia w sprawach zaginięć była czynna całą dobę, ale nie wypadało na nią dzwonić bez informacji o zaginionym. Pod drugi numer, przeznaczony do pozostałych spraw, można było telefonować tylko do siedemnastej. Napisałam więc e-maila, prosząc o udostępnienie mi danych pani Anny Dietrich. Dodałam, że rzecz nie dotyczy zaginięcia, lecz innej ważnej kwestii rodzinnej.

– Wiesz, co mi się wydaje? – odezwał się Marcin.

– No co?

– Wydaje mi się, że Staś wcale nie zginął. On po prostu odwrócił się od matki, gdy dowiedział się, że brała udział w morderstwie. No powiedz sama, co on mógł wcześniej wiedzieć? Nic. Gdy pisał list, miał dziewięć lat, a pani Anna była już wtedy żoną Karla. Czyli Majewskiego musieli załatwić oboje co najmniej rok wcześniej, albo nawet dwa lata. Staś miał osiem, siedem lat, gówny wiedział. Jedynie czegoś się domyślał. Wmówili mu, że ojciec wyjechał, a tam, w piwnicy, to ktoś inny, obcy. Prawdę poznał, gdy był już dorosły. Nie wybaczył matce i zerwał z nią kontakt. I wcale mu się nie dziwię.

Tak, to mogła być prawda. Przecież nie zabijaliby Majewskiego na oczach chłopca. Myśli kotłowały mi się w głowie; próbowałam je uporządkować w jakąś logiczną całość. Ukrywali tę zbrodnię, to naturalne, ale Staś, jak to dziecko, jednym uchem usłyszał szeptane ukradkiem słowa, widział Karla rozwalającego podłogę w piwnicy, a resztę sobie dopowiedział. Stąd ten list, napisany jakiś czas po wydarzeniach, których był świadkiem i których nie pojmował. A w jaki sposób poznał prawdę? Może pani Anna, dręczona wyrzutami sumienia, wyjawiała mu wszystko?

– No co, mam rację?

Marcin najwyraźniej czekał na pochwałę za detektywistyczne zdolności.

– Tak, mój Sherlocku Holmesie. Możesz mieć rację.

– Mam rację. Staś nie wiedział, że Karl zabił mu ojca. Nic nie wiedział. Dlatego łączyły go z ojczymem tak dobre stosunki.

Na GG pojawiła się wiadomość od Gabrysi.

„Mamuniu! Pamiętasz, jak pisałam, że szczątki mają wiele tożsamości? Ta prawda potwierdziła się właśnie w przypadku waszego szkieletu. Sądzę, że to jeszcze nie finał. Za kilka dni może się okazać, że ten kościotrup to wcale nie pan Majewski, ale zupełnie ktoś inny. Już pisałam o problemach z ustaleniem tożsamości pewnej wrocławskiej mumii, teraz kolej na losy innych szczątków. Zaczęło się od tego, że jakiś polski oficer pojechał z Napoleonem do Egiptu i przywiózł stamtąd mumie ichneumona. Polacy lubią pamiątki... Zwłaszcza z Egiptu. Byłam tam, widziałam, jak masowo nabywają papiirusy, fajki wodne, arafatki, kolorowe sandałki i mnóstwo innych drobiazków. Sama uległam temu szaleństwu, o czym dobrze wiesz. No więc ten napoleoński oficer przywiózł sobie

mumię ichneumona. Zapewne zastanawiasz się, cóż to za dziwo? Już wyjaśniam. Ichneumon to egipska mangusta, czyli drapieżny ssak z gatunku kotowatych. Mumia zwierzątko stała się w rodzinie tego oficera swoistym talizmanem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Obchodzono się z nią jak ze złotym jajkiem. Gdy w domu wybuchł pożar, uratowano tylko ją! A całkiem niedawno ją prześwietlono. I wiesz, mamuniu, co się okazało? Że to nie żaden ichneumon, lecz kawałek ludzkiej nogi. Fajne, prawda? Jestem bardzo ciekawa, co wyniknie z analiz tego waszego szkieletu. Idę o zakład o mój plecak Alpinusa, który dostałam od Marcina, że tożsamość kościotrupa okaże się dla wszystkich zaskoczeniem!”

Zalogowałam się do poczty i napisałam do Kaśki. W kilku zdaniach zrelacjonowałam jej wizytę u Kazimiery Góry. Poinformowałam też o ogłoszeniu znalezionym na stronie fundacji Itaka i wkleiłam link do tej witryny. „I co ty na to?”, zakończyłam.

ROZDZIAŁ IX

Weszłam do ogrodu, gdzie wzdłuż trzech ścieżek rosło kilkadziesiąt różanych krzewów. Nie miałam pojęcia, jak się zabrać do ich zabezpieczenia. Skąd niby wziąć ziemię i torf? Czy ze sklepu ogrodniczego? Idąc alejką, przyglądałam się krzakom. Cienkie, kolczaste patyki wystające ze zmarzniętego gruntu wyglądały smutno i ponuro, ale latem musi być tu pięknie. Różnobarwny, pachnący raj, skomponowany z rozmaitych gatunków. Róże miniaturowe, wielokwiatowe, pienne, wszystkie o nazwach fantastycznych, niekiedy wyrafinowanych: Bukavu, Aphrodite, Elfrid, Mandarin i Weneda.

Postanowiłam pójść do stodoły po słomę i worki jutowe. Obeszłam dom i dotarłam do ściany szczytowej stodoły od strony ogrodu. Tkwiły w niej niskie drzwi, poczerńiałe ze starości. Szarpnęłam za pokryty rdzą uchwyt. Niestety, zamknięte od środka, na skobel albo na haczyk. Od podwórka znajdowały się jedynie wysokie na cztery metry wrota. Wiedziałam, że sama ich nie otworzę, ruszyłam więc na tyły, gdzie spodziewałam się znaleźć jakieś trzecie wejście. Udeptując resztki mokrego śniegu, szłam wzdłuż ściany, co kilka metrów natykając się na wystające z desek zardzewiałe gwoździe. Nic z tego – od strony łąki również znajdowały się wyłącznie ogromne wrota, ozdobione wielką, czarną podkową. Innych drzwi nie było. Miałam już pójść do domu i poprosić Marcina, aby pomógł mi dostać się do stodoły, ale tuż przy ścianie szczytowej zobaczyłam sporą dziurę. Brakowało tam jednej deski, druga była przekręcona na sztorc.

Przecisnęłam się przez otwór i znalazłam się w środku. Stałam i patrzyłam na długie belki, biegnące wzdłuż i w poprzek, niczym żebra i kręgosłup potężnego stwora. Przez szczeliny między deskami wlewało się światło. Stodoła wyglądała na wysprzątaną. Nigdzie ani garstki słomy, po lewej jedynie cztery blaszane beczki. Weszłam na wysoki drewniany podest, prawdopodobnie przeznaczony do składowania siana i słomy, i rozejrzałam się za workami. Zwisały z belki. Były ciężkie, wzięłam więc tylko kilka sztuk. Odszukałam drzwi, przez które usiłowałam wejść wcześniej, zdjęłam haczyk i wyszłam na zewnątrz. Szybkim krokiem zmierzałam do ogrodu. W oknie domu zobaczyłam Marcina. Zamachał do mnie. A kiedy pół godziny temu prosiłam go, aby pomógł mi zabezpieczyć róże, odparł, że kwiaty wolą kobiecą rękę, i poszedł rąbać drwa na opał!

Rzuciłam worki na ziemię, podniosłam jeden i rozpostarłam. Był duży, prawie półtora metra długości. Ułożyłam go na kilku krzakach. Cienkie łodygi ugięły się pod ciężarem.

Zaskrzypiała furтка. W moją stronę szedł młody mężczyzna. Pewnym krokiem, zupełnie jakby był właścicielem tego ogrodu.

– Nie tak, maleńka, nie tak – powiedział.

Patrzyłam zaskoczona.

– Wystarczy, żeby na worek spadło kilka centymetrów śniegu i po krzakach. –

Wskazał na przykryte róże. – Nie wytrzymają ciężaru. Rozumiemy?

Uśmiechał się szeroko, pokazując równe, białe zęby. Odruchowo podniosłam dłoń do włosów, żeby je poprawić. Na głowie miałam czapkę Marcina.

– Nigdy wcześniej nie zabezpieczałam róż... – zaczęłam się tłumaczyć.

Pochylił się i zdjął worek.

– Ej, to nietrudne – powiedział, nie przestając się uśmiechać. – Tylko najpierw trzeba zabezpieczyć łodygi, to znaczy obsypać je ziemią i torfem. Później można położyć worek. Rozumiemy?

– Tak właśnie chciałam zrobić, ale skąd mam wziąć ziemię i torf? Myślałam, żeby ukopać, ale grunt zmarznięty na kamień.

– Po co zaraz kopać? Przywiozę od siebie. Kate już ze mną rozmawiała.

– Kate? – zdziwiłam się.

– Mówię o Kasi. Kasia, co to za imię, dobre dla gosposi. Kate bardziej do niej pasuje, no nie?

Roześmiał się.

Domyśliłam się, że oto mam przed sobą Konrada, ogrodnika. Pani Janka określiła go jako miejscowego casanovę. Rzeczywiście, było w nim coś uwodzicielskiego. Zdjęłam czapkę, machnęłam głową. Włosy rozsypały się wokół mojej twarzy.

– Wrócę za pół godziny i wezmę się do roboty – oznajmił Konrad.

Poszliśmy na podwórko, gdzie wsiadł do stojącego na skraju żwirowej drogi dżipa i odjechał.

Weszłam do domu.

– Mam wolne! – zawołałam od progu.

Marcin siedział przed laptopem.

– Te worki wystarczą? – zapytał.

– Nie, nie wystarczą. Trzeba zrobić kopczyk wokół każdego krzaka, ale tym zajmie się ogrodnik. Kaśka go przysłała. Pojechał po torf i ziemię, zaraz wróci.

Mucha krążyła leniwie po pokoju, zataczając koła. Przeleciała tuż przed moją twarzą. Wzdrygnęłam się. Kiedy ona wreszcie zdechnie? Stałam przed lustrem. Moje włosy były w lekkim nieładzie, co przydawało mi młodzieńczego wglądu. Dobrze mi było w długich, wycieniowanych pasmach z przodu i nieco krótszych z tyłu. Wyszczuplały twarz. W najbliższym czasie będę musiała zafundować sobie grzywkę, żeby przykryć tę coraz wyraźniejszą zmarszczkę na czole... Mucha uderzyła w lustro, potem we mnie, więc postanowiłam z nią skończyć. Zwinęłam gazetę i przyczałam się, wodząc wzrokiem za owadem i wsłuchując się w ciche, jakże irytujące brzęczenie. Mucha przysiadła na drzwiach od szafy. Uderzyłam gazetą. Cisza. Po chwili znów bzykanie, tym razem na szybie w okiennej wnęce. Teraz na pewno się uda! Machnęłam kilka razy; mucha przeleciała tuż przed moją twarzą i znikła. Szukałam jej okiem i uchem, ale niestety – jak kamień w wodę.

Odłożyłam narzędzie zbrodni.

– I co? – zapytał Marcin.

– Gówno – odpowiedziałam słodko.

Nie pozwolił zepchnąć się z krzesła, usiadłam więc na jego kolanach i zalogowałam się do poczty. Czekałam na odpowiedź z fundacji Itaka. Chyba nie będą robić problemów i dadzą mi namiary na panią Anię? Jeżeli, oczywiście, ta jeszcze żyje.

W skrzynce znajdowały się trzy nowe wiadomości. Pierwsza okazała się spamem, druga również, jednak temat trzeciej przyprawił mnie o przyspieszone bicie serca. Patrzyłam na dwa słowa, które od kilku dni powtarzałam po wielokroć: „Karl Dietrich”.

Poczułam, jak mój sweter podjeżdża do góry. Dłonie Marcina przesunęły się w górę w stronę moich piersi.

– Ktoś odpowiedział na mój anons. Pamiętasz? Dałam ogłoszenie z prośbą o informacje o Karlu.

Marcin zamruczał i wtulił twarz między moje łopatki.

„Jeżeli chce Pani porozmawiać o Karlu Dietrichu, proszę pojawić się dzisiaj o godzinie 15.00 w barze Wieloryb w Kątach Rybackich”, przeczytałam. „Niech Pani przyjdzie sama”.

Nadawca podpisał się inicjałami: L.W.

Marcin włożył dłonie do mojego stanika.

– Czy ty w ogóle słyszałaś? – zapytałam stanowczo, opędzając się od jego rąk. Oparł brodę o moje ramię i spojrzał na monitor.

– Myślisz, że dowiemy się czegoś nowego?

– Może ten ktoś faktycznie wie coś więcej? Powinniśmy się z nim spotkać.

– Pisz, że masz przyjść sama. Dziwne. Wygląda to na list od naiwnego trzynastolatka.

– Chyba nie pozwolisz mi jechać samej? – zapytałam zalotnie, opierając się plecami o jego klatkę piersiową i przytulając policzek do jego policzka.

Dłonie Marcina znów powędrowały pod mój sweter.

– Wydaje mi się, że on wyjawi, iż Karl był esesmanem w Stutthofie, ale to już wiemy – powiedział z ustami przy moim uchu.

– A ja myślę, że to może być wiadomość od Stasia.

– To nie są jego inicjały. – Marcin popatrzył na monitor.

Przymknęłam oczy, bo palce mojego męża właśnie delikatnie zacisnęły się na moich sutkach. Nie miałam ochoty na dalszą rozmowę, uniosłam do góry ramiona. Marcin ściągnął mi sweter i stanik. Odwróciłam się w jego kierunku...

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi. Znieruchomieliśmy oboje. Dzwonek zadzwieczał ponownie. Zasłaniając swetrem piersi, podeszłam do okna. Na ganku stał Konrad. Patrzył wprost na mnie, uśmiechając się szeroko. Cofnęłam się,

zaskoczona. Skąd on wiedział, że najpierw wyjrzę przez okno? Może nas podglądał? Wciągnęłam sweter i ruszyłam w stronę korytarza.

– Kto to? – zapytał Marcin.

– Ogrodnik.

Gdy otworzyłam drzwi, Konrad postawił nogę na progu, jakby chciał zaprezentować swoje czarne buty sięgające do połowy łydki.

– Małeńka, zrób kawusię i przynieś mi ją w termosie do ogrodu – poprosił zmysłowo.

– Nie wiem, czy mamy termos – odparłam.

Jeszcze bardziej obniżył głos.

– Jak nie będzie termosu, będziesz musiała trzymać tę kawusię między cyckami, żeby nie ostygła. Gorąca jesteś, prawda?

Na widok mojej miny roześmiał się głośno.

Tego już było za wiele. Zatrzasnęłam drzwi, spychając jego nogę z progu.

Dopiero półtorej godziny później zaczęłam szukać termosu. Konrad pracował szybko i rzetelnie. Z okna widziałam jego pochyloną sylwetkę. Prostował się na krótko, tylko po to, żeby przesunąć worki z torfem i ziemią. Uznałam, że zasłużył na kawę. Niestety, termosu nie było w żadnej z kuchennych szafek. Zadzwoiłam do Kaśki.

– Gdzie trzymasz termos? – zapytałam, słysząc w słuchawce jej słodki głos.

– Planujecie piknik na plaży? Nie jest na to zbyt zimno?

Byłam pewna, że Kaśka się uśmiecha.

– Twój ogrodnik zamówił kawę na wynos – powiedziałam.

– Konrad? A więc się pojawił! Prawda, że niezłe z niego ciacho? Ugryzłoby się trochę?

– Jest przede wszystkim bezczelny – oznajmiłam.

– Nie bądź taką sztywną starą babą!

Nie lubiłam przytyków Kaśki do mojego wieku. Wciąż trzymając telefon przy uchu, weszłam do spiżarni. Tutaj, na jednej z półek, miał podobno stać termos.

– Konrad ma w Kątach kolegę, który wozi turystów swoim kutrem. Może chcielibyście popływać po Bałtyku i połowić dorsza? Porozmawiaj z Konradem, to da ci namiary. To może być superprzygoda.

Kaśka gadała, a ja przesuwałam słoiki, butelki, kartony. W końcu znalazłam.

– Przeczytałaś e-maila ode mnie? – zapytałam.

– Przeczytałam, nawet dwa razy, a potem zadzwoniłam do pani Janiny i przekazałam jej, czego dowiedziałaś się od Kazimierzy Góry. Pani Janka jest przekonana, że to rojenia starej kobiety. Ta Góra ma w Sztutowie opinię wariatki, i to chyba od dość dawna. Już dwadzieścia lat temu żaliła się pani Jance, że wciąż prześladują ją hitlerowcy.

– Ja tam wierzę pani Kazi – powiedziałam stanowczo.

– Ja trochę też. No bo przecież skoro Karl był Niemcem, co on mógł robić podczas wojny? A ten krzyż, który znalazłaś na strychu? Chyba nie dostał go za wspieranie samotnych matek?

Odkręciłam termos, przytknęłam nos i powąchałam. Wnętrze okazało się bezwonne.

– Co sądzisz o zaginięciu Stasia? – zapytałam.

– Szkoda, że zginął. Chętnie bym się z nim spotkała i pogadała o tym szkielecie w piwnicy.

– A nie wydaje ci się dziwne, że zginął?

Kaśka milczała przez chwilę.

– Nie – odparła. – Dlaczego dziwne? Takie rzeczy się zdarzają. Rocznie znika bez śladu kilka tysięcy osób.

– Dostałam dzisiaj e-maila, no wiesz, odpowiedź na to moje ogłoszenie w necie, od człowieka, który chce ze mną porozmawiać o Karlu. Ten ktoś, bardzo tajemniczy, podpisał się inicjałami L.W. Pomyślałam sobie, że to może Staś.

– No coś ty, przecież to absurd! Zginął, matka go szuka, a on się do ciebie odzywa, żeby o Karlu pogadać.

– Niekoniecznie. Podejrzewamy, że Staś wcale nie zginął, tylko po prostu zerwał kontakt z matką po odkryciu, że wraz z Karlem załatwiła jego ojca. Wcześniej, gdy był dzieciakiem, mógł nie zdawać sobie sprawy z rzeczywistego przebiegu wypadków.

– No nie wiem... Kiedy się spotykasz z tym kimś?

– Dzisiaj o piętnastej.

– Super! Wkrótce dowiemy się kto to.

Zaparzyłam kawę i wyjrzałam przez okno. Konrad pracował teraz w drugim końcu ogrodu; niebawem powinien skończyć. Skropiłam szyję wodą toaletową, włożyłam kurtkę i wyszłam z domu. Skrzypnęła furka, Konrad wyprostował się. Szłam w jego stronę nieśpiesznie, mijając krzaki róż otulone kopczykami.

– Już myślałem, że obraziłaś się na amen – powiedział.

Zdjął rękawiczki i wcisnął je do kieszeni. Wziął ode mnie termos, odkręcił.

– Zaczekaj, mam kubek. – Powstrzymałam go gestem.

Rozpięłam kurtkę, podniosłam sweter i z zagłębienia pomiędzy nagimi piersiami wyciągnęłam kubek. Konrad aż otworzył usta z wrażenia, a ja pożałowałam, że Kaśka nie może być świadkiem tej sceny. Zapewne teraz nie nazwałaby mnie starą sztywną babą! Kubek był ciepły, bo przed wyjściem z domu przelałam go wrzątkiem. Konrada to zaskoczyło.

– Jaki gorący!

– No a jak? Przecież kobiece piersi są jak termofor. Wydawało mi się, że coś o tym wiesz.

– Wiem, wiem, ale dotąd nie wiedziałem, że z wiekiem cycki zyskują. Twoje

grzeją jak piec.

Nie miałam zamiaru słuchać złośliwych uwag na temat mojego wieku. Odwróciłam się, żeby odejść.

– Maleńka, nie obrażaj się. To przecież był komplement.

– Kiedy skończysz? – zapytałam.

– Jeszcze godzinka.

– Zaraz jedziemy z mężem do Kątów. Termos i kubek zostaw na ganku.

– Dzięki za kawusie! – zawołał, gdy przechodziłam przez furtkę.

Pół godziny później siedziałam już w samochodzie i zastanawiałam się, jak trafię na tajemniczego L.W. Przy takich spotkaniach niezbędny jest znak rozpoznawczy. Powinien napisać, że będzie trzymał w lewej ręce gazetę albo czerwony kapelusz. A może obejdzie się bez identyfikacji, może on mnie zna? Poprosił, żebym przyszła sama. Kobieta samotnie siedząca przy stoliku to też jakaś wskazówka...

Bar Wieloryb znajdował się przy samej plaży. Jedyne otwarte lokale; to dlatego L.W. go wybrał! Weszliśmy do środka. Moje oko w ułamku sekundy zarejestrowało wszystkich klientów. Małżeństwo z synkiem, pochylone nad smażoną rybą, dwóch mężczyzn w średnim wieku przy piwie i troje nastolatków jedzących frytki z jednego talerza. Tajemniczego L.W. jeszcze nie było. Odruchowo spojrzałam na zegarek. Za trzy minuty trzecia. Usiedliśmy przy stoliku.

– Może coś zamówimy? – zaproponował Marcin.

Poprosiłam o grzane wino i za chwilę stanął przede mną gliniany dzbanuszek, z którego unosiła się woń goździków i cynamonu. Popijając, zerkałam na drzwi.

– Nie wiadomo, czy w ogóle przyjdzie – powiedział Marcin.

– Nie powinniśmy siedzieć razem. Usiądź gdzieś indziej!

Marcin wziął szklankę z herbatą i przesiadł się do stolika za moimi plecami. Małżeństwo posilające się smażoną rybą patrzyło na nas ze zdumieniem. Uśmiechnęłam się do nich. Mężczyzna spuścił głowę, kobieta zaczęła strofować synka. Otworzyły się drzwi. Drgnęłam. Do środka wszedł młody chłopak w czapce z daszkiem; miałam wrażenie, że kiedyś go widziałam. Zbliżył się do baru i stanął przed wywieszonym menu. Chyba nie znalazł tam nic dla siebie, bo odwrócił się i wyszedł. Dochodziło dziesięć po piętnastej i zaczynałam się niecierpliwić. Drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich około sześćdziesięcioletni mężczyzna. Wysoki, zupełnie łysy, ubrany w spodnie i kurtkę przypominającą mundur. Patrzył wprost na mnie. Próbowałam doszukać się w jego twarzy rysów Stasia ze zdjęcia umieszczonego na stronie fundacji Itaka. Nie, ten mężczyzna miał zbyt kwadratową szczękę. Podeszedł do mnie.

– Pani Beata Kuźnicka? – zapytał.

– Tak.

– Nazywam się Leopold Wilk.

Usiadł naprzeciwko.

– Przepraszam za spóźnienie. Podczas wyjazdu z Elbląga trafiłem na korek. Widzę, że raczy się pani winem. Polecam jeszcze zupę rybną. Mają tutaj znakomitą, z makaronem. No to co, zjemy?

Przystałam na propozycję. Pan Wilk wstał i sprężystym krokiem podszedł do baru. Zdecydowanym głosem złożył zamówienie. Ten człowiek prawdopodobnie nie znosił sprzeciwu. Gdyby powiedziano mu, że nie ma zupy rybnej, kazałby ją ugotować. Wrócił do stolika.

– Często przyjeżdżam na obiad do tego baru – powiedział. – A pani? Lubi pani tu jadać?

– W tym lokalu jestem po raz pierwszy – oznajmiłam.

Popatrzył zdziwiony.

– Nikt dotąd nie polecił pani Wieloryba?

– Nie jestem stąd – wyjaśniłam. – Mieszkam w Poznaniu. Zaledwie od kilku dni spędzam w Sztutowie urlop.

Wpatrywał się we mnie uważnie, jakby nie chciał przegapić bodaj drgnienia na mojej twarzy.

– Miała pani być sama – powiedział znienacka chłodno.

– Jestem sama – zapewniłam.

– Zaparkowałem samochód obok renówki z wielkopolską rejestracją. Zakładam, że to pani wóz?

Odruchowo potwierdziłam skinieniem głowy.

– A więc nie jest pani sama. Musi mieć pani kierowcę, skoro pije pani wino. Przypuszczam, że szoferem jest ten mężczyzna siedzący za panią.

– To mój mąż. Skoro już pan wie... Czy on może się do nas dosiąść?

– Nie – odparł krótko.

Patrzyłam na kwadratową szczękę i zastanawiałam się, kim jest i co ma mi do powiedzenia. Chyba miał więcej lat, niż mu dałam na początku. Zupę rybną jedliśmy w milczeniu.

– Smaczna. – Odłożyłam łyżkę.

– Cieszę się.

– Co pan wie o Karlu? – zapytałam, gdy skończył.

– Najpierw chciałbym wiedzieć, dlaczego pani się nim interesuje.

W mojej głowie odezwał się ostrzegawczy dzwonek. Coś mi mówiło, że nie powinnam informować tego człowieka o szkielecie znalezionym w piwnicy. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Moja przyjaciółka kupiła dom w Sztutowie, niegdyś należący do Karla i jego żony Anny. Na strychu znaleźliśmy kilka rodzinnych pamiątek, prawdopodobnie własność Karla. Czarny krzyż ze swastyką i takie tam. Zainteresowaliśmy się. Wie pan, zwykła ludzka ciekawość. Rozmawialiśmy trochę z mieszkańcami Sztutowa,

ale pomyślałam, że warto poszukać informacji przez Internet. Napisałam więc ogłoszenie, na które odpowiedział właśnie pan. Zatem słucham. Co ma pan do powiedzenia o Karlu Dietrichu?

– Mam uwierzyć, że interesuje się pani Karlem ze zwykłej ciekawości? Chyba coś jeszcze jest na rzeczy?

– Niby co? – zapytałam spokojnie.

– Kim pani jest? Historykiem? Kimś z IPN-u? A może pracuje pani w telewizji?

– Nic z tych rzeczy.

– To dlaczego szuka pani informacji o tym naziście?

– Już panu powiedziałam. Jeżeli to pana nie satysfakcjonuje, trudno, nie będę nalegać. Możemy zakończyć nasze spotkanie. Już i tak dowiedziałam się sporo. Ta wiedza musi mi wystarczyć. Nie sądzę, żeby powiedział mi pan wiele więcej.

– Wie pani, że Karl miał w czasie wojny ciepłą posadkę?

– Tak, wiem. W obozie w Stutthofie.

– Szacunek. Udało się pani dotrzeć do ważnej informacji, o której wie niewiele osób.

– Podzieli się pan ze mną szczegółami, których nie znam? – zapytałam z uśmiechem.

– Znam ich całkiem sporo. Gdy zacząłem zbierać informacje o przebiegu służby Karla w obozie, żyło jeszcze wielu świadków. Dotarłem do kilkudziesięciu. Poza tym miałem dostęp do resztek obozowego archiwum.

Mężczyzna odwrócił się na krześle, jakby chciał wstać i odejść. Siedział jednak, zapatrzony w duże narożne akwarium.

– Mają tutaj neony czerwone. Piękne okazy. Proszę spojrzeć, to te z czerwonym pasem.

Dla mnie z tej odległości wszystkie ryby wyglądały tak samo. Czyżbym miała gorszy wzrok? A może nie potrafiłam patrzeć?

– Ryby akwariowe to moja pasja. Hoduję je od czterdziestu lat – wyjaśnił Leopold Wilk.

Wciąż patrzył na akwarium.

– Czy uwierzy mi pani, jak powiem, że Karl Dietrich wręczał więźniom prezenty? – zapytał po dłuższej chwili.

– Prezenty? – zdziwiłam się.

– Tak, prezenty. Wybierał sobie jakiegoś więźnia i go faworyzował. Często dawał nieszczęśnika papierosami i dawał mu różne drobiazgi, zupełnie nieprzydatne w obozowej rzeczywistości. Rozmawiałem kiedyś z nauczycielem z Warszawy, który miał to wątpliwe szczęście. Otrzymał od Karla książkę i cylinder. Wyobraża sobie pani? Więzień w pasiaku i w cylindrze? Nawet współtowarzysze niedoli się z niego śmiali.

– Rozmawiałam z kobietą, więźniarką ze Stutthofu. Powiedziała mi, że Karl był okrutnikiem. Czy to prawda?

– Najprawdziwsza. Był obozowym postrachem. Własnoręcznie zabił kilkanaście osób.

– Jaką pełnił funkcję?

– Na początku zwykłego wartownika. Jednego z pięciuset; tyłu mniej więcej liczyła obsada wartownicza obozu. Ktoś inny zginąłby w takim tłumie, ale nie on. On rzucał się w oczy. Sam komendant Paul Werner Hoppe zwrócił na niego uwagę i powierzył mu nadzór nad budową swojej willi. To był dowód dużego zaufania i przyjaźni. Karl stał się ważny, wszyscy zaczęli się z nim liczyć. Umiał zjednywać sobie ludzi, był bardzo towarzyski. W kasynie gromadził wokół siebie oficerów. Dobrze grał w karty. Wiedział, z kim wypada wygrać, a z kim należy przegrać. Gdy przy stoliku siedział oficer polityczny, Karlowi zwykle karta nie szła. Oczywiście szybko awansował, otrzymał stopień podoficerski SS-Oberscharführera, odpowiednik naszego sierżanta. Załatwił sobie stanowisko kierownika magazynu depozytów, gdzie składowano rzeczy odebrane więźniom: ubrania, pieniądze i kosztowności. To właśnie stamtąd pochodziły różne drobiazgi, które wręczał aktualnym faworytom.

Byłam pod wrażeniem wiedzy tego człowieka. Dotarcie do takich rewelacji nie było łatwe i zapewne wymagało czasu.

– Dlaczego zbierał pan informacje o Karlu Dietrichu? Do czego było to panu potrzebne? – zapytałam.

– Zapewne zainteresują panią jego miłostki – ciągnął, jakby nie dosłyszał mojego pytania. – Karl miał w obozie dwie kochanki. Jedną z nich była nadzorczyńni Ewa Klaff. Nazwiska drugiej nie znam, prawdopodobnie jakaś Holenderka. Pracowała w gmachu komendantury, mieściły się tam biura obozowe.

– Dlaczego gromadził pan informacje o Karlu Dietrichu? – powtórzyłam.

Mężczyzna znów zapatrzył się w narożne akwarium.

– Był pan więźniem Stutthofu? Karl kogoś panu zabił? Chce się pan zemścić?

Mój głos stawał się coraz bardziej natarczywy.

– Stawia pani pytania jak rasowy śledczy. Jedno za drugim, bez pauzy. Żeby przesłuchiwany nie mógł złapać oddechu.

Zrobiło mi się głupio.

– Przepraszam – wyszeptałam.

– Nie musi pani przeproszać. Odpowiem. Szukałem informacji na temat Karla, bo dostałem takie polecenie.

– Polecenie służbowe? A gdzie pan pracował? – dopytywałam, trochę zaskoczona.

– Jestem emerytowanym oficerem Służby Bezpieczeństwa. Tak, droga pani, jestem esbkiem. Starym esbkiem z wielką emeryturą.

Patrzył wyczekująco. Spodziewał się chyba jakiegoś komentarza, ja jednak milczałam. Do trójki nastolatków siedzących w pobliżu kominka dołączyły dwie dziewczyny. Cała piątka nagle wybuchnęła śmiechem. Spojrzeliśmy w ich stronę.

Leopold Wilk powrócił do tematu.

– Gdy rozpocząłem pracę w gdańskim SB, byłem niewiele starszy od tych dzieciaków. To było w 1957 roku. Karl Dietrich miał już wtedy założoną teczkę, z banalnego powodu. Ktoś napisał na niego donos – Karl rzekomo miał posiadać dolary. Przełożony kazał mi uzupełnić akta. Uznałem, że najpierw powinienem sprawdzić wojenną przeszłość Dietricha, ale zupełnie nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Przełożonego wolałem nie pytać, bo wyzwałby mnie od baranów i wylał na zbity pysk. Dzisiaj już rozumiem, że to był prosty chłop – sam niewiele umiał, dlatego nie lubił, jak ktoś zwracał się do niego z pytaniami. Proszę sobie wyobrazić, że napisałem list do Głównej Komisji do spraw Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Odpowiedź dostałem po miesiącu. Z pisma dowiedziałem się, że SS-Oberscharführer Karl Dietrich należał do załogi obozu w Stutthofie i jest uznawany za zbrodniarza wojennego. Jego poszukiwania zakończono, gdy władze niemieckie poinformowały nas o jego śmierci. Cóż, tymczasem wyglądało na to, że odnalazłem zbrodniarza wojennego. Byłem w siódmym niebie. Natychmiast pobiegłem z tym pismem do szefa. Przeczytał i splunął na podłogę, wcale niezadowolony z mojego odkrycia. Kazał mi się wynosić, ale po kilku dniach wezwał do swojego gabinetu. Czekają tam na mnie dwóch oficerów z Warszawy. Pochwalili mnie za dobrą robotę i powiedzieli, że będę należał do grupy operacyjnej rozpracowującej Karla Dietricha. Zbaraniałem. Jakie rozpracowywanie? Przecież wszystko jest jasne. Karl Dietrich jest zbrodniarzem wojennym i należy oddać go pod sąd! Dopiero później zrozumiałem, że inwigilacja okazała się właściwym posunięciem.

– Spodziewam się, że Karl nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie...?

– Ma pani rację.

– Dlaczego chroniło go SB?

– Nie chroniliśmy go.

– Akurat! – powiedziałam zjadliwie.

Odwróciłam się do Marcina. Siedział nad pustą szklanką.

– Zamów mi jeszcze jednego grzańca – poprosiłam.

Wstał bez słowa i podszedł do baru.

– Sprawa Karla Dietricha była dużo bardziej złożona, niż może pani sobie to wyobrazić – powiedział Leopold Wilk.

– Złożona? A co, należał do imperialistycznego spisku, który miał obalić jedyny sprawiedliwy system komunistyczny?

– Jest pani młoda, niewiele pani wie o tamtych czasach. Dlatego wybaczam pani tę ironię.

Dyskusja z tym człowiekiem o słuszności poczynań esbecji nie miała sensu, nie podjęłam więc tematu.

– Ma pan jeszcze coś ważnego w zanadru? – zapytałam uprzejmie.

Marcin postawił przede mną gliniany dzbanuszek. Znów zapachniało goździkami i cynamonem.

– Czy pani wie, że aż dwustutysięczny tłum przyglądał się egzekucji zbrodniarzy ze Stutthofu? – zapytał Leopold Wilk. – Ludzie byli wszędzie, na drzewach, na dachach. Tego dnia pozamykano nawet zakłady, żeby każdy mógł przyjść i zobaczyć, jak ich wieszają. To było wielkie święto.

Nie wiedziałam. Mężczyzna mówił dalej:

– W Gdańsku odbyły się dwa procesy członków obozowej załogi: pierwszy w 1946 roku, drugi kilkanaście miesięcy później. Skazano siedemdziesiąt osiem osób, wydano kilkanaście wyroków śmierci. Na karę śmierci została skazana między innymi Ewa Klaff, kochanka Karla Dietricha. Wyrok wykonano publicznie w Gdańsku czwartego lipca 1946 roku. Karl musiał interesować się tym procesem. Przypuszczam, że śledził jego przebieg w prasie. Do dziś zastanawiam się, czy pojechał, by zobaczyć, jak wieszają jego kobietę i kompanów. Czy pani nie zastanawia, dlaczego Karl pozostał w Sztutowie, prawie na miejscu zbrodni? Właśnie nad tym zastanawialiśmy się w grupie operacyjnej. I nawet nie zmienił nazwiska. Jakby chciał, żebyśmy po niego przyszli. Dlaczego? Jak pani sądzi?

Zamyśliłam się nad logicznym wytłumaczeniem. W końcu zaczęłam niepewnie:

– Może dlatego, że pod latarnią jest najciemniej? Może założył, że nikt nie będzie go szukał w domu rodziców, tym bardziej że oni sami zostali wysiedleni do Niemiec.

– Droga pani, prawda jest inna. Taka mianowicie, że Karl tu pozostał, bo taki miał rozkaz. Czy słyszała kiedyś pani o Wehrwolfie?

– Owszem. To taka niemiecka partyzantka, działająca tuż po wojnie. Sugeruje pan, że Karl...?

– Karl był zbyt ważny, by zajmować się wysadzaniem torów i mostów. Jemu powierzono inne zadanie.

– Jakie? – zapytałam.

– Miał pilnować złota nazistów ukrytego na terenie Prus Wschodnich. Wielu dzisiaj uważa, że skarby nazistów to wyłącznie legenda. Ale pod koniec wojny rzeczywiście zaginęło kilkadziesiąt ton złota i wiele dzieł sztuki, o Bursztynowej Komnacie nie wspominając. To wszystko gdzieś jest i zapewne kiedyś się odnajdzie. Zabezpieczaniem skarbów zajmowało się SS, fachowo. Zadbano o wszystko. Pozostawiono nawet strażników na terenach okupowanych, którzy mieli obserwować, czy ktoś nie węszy. Jednym z nich był właśnie Karl Dietrich, spokojny, zaradny rolnik, ożeniony z Polką.

– Skąd wiedzieliście, że on był strażnikiem? – zapytałam.

Leopold Wilk uważnie przyglądał się muszelkom i okruciom bursztynu umieszczonym pod szklanym blatem stołu. Wyglądało na to, że zadałam trudne pytanie.

– Wcale nie mieliśmy pewności. Całe nasze przypuszczenie oparte było wyłącznie na jednym fakcie. W 1953 roku Urząd Bezpieczeństwa zatrzymał byłego oficera niemieckiej policji we Wrocławiu, niejakiego Herberta Klozego. Kloze przyznał się, że uczestniczył w akcji ukrywania złota ze skarbców dolnośląskich banków. Powiedział o pięćdziesięciu sześciu skrzyniach zdeponowanych w Prezydium Policji, które później wysłano w Karkonosze, ale gdzie dokładnie, podobno nie wiedział. W mieszkaniu Klozego w Wielisławce znaleziono widokówkę z życzeniami od Karla Dietricha. W ten sposób powiązaliśmy Karla z nazistowskimi skarbami. Mogliśmy go aresztować i przesłuchiwać, ale prawdopodobnie milczałby, jak Kloze. Postanowiliśmy więc poddać go inwigilacji.

Wszystkie służby, w całej Europie, miały chrapkę na złoto nazistów. Chcieliśmy być pierwsi, przed KGB, Stasi i Mossadem. Wydawało się nam, że jesteśmy o krok. To złoto przesłaniało wszystko inne, to była sprawa priorytetowa. Teraz sama pani rozumie, dlaczego nie oddaliśmy zbrodniarza wojennego pod sąd, lecz śledziliśmy każdy jego krok. Wcale nie chodziło o imperialistyczny spisek, jak pani twierdziła. Ten hitlerowiec miał nas doprowadzić do skarbu. Wysłaliśmy nawet do Sztutowa naszego człowieka, Felka Iwińskiego. Podjął pracę w szkole jako nauczyciel geografii. Miał za zadanie zaprzyjaźnić się z Karlem, zdobyć jego zaufanie. Felek to był zdolny gość, jak kogoś brał w obroty, delikwent potrafił wyśpiewać wszystko. Niech pani tylko nie myśli, że znęcał się nad przesłuchiwanymi, on zwyczajnie wiedział, jak ich podejść. Niestety z Karlem się nie udało. Pewnego dnia Felek znikł. Policja znalazła na plaży jego ubrania. Wyglądało na to, że poszedł się kąpać i utonął. Tyle że Felek nie umiał pływać; powiedziała nam o tym jego ciotka, jedyna osoba z rodziny, do której udało nam się dotrzeć. Nigdy nie znaleziono jego ciała. Do dziś zastanawiam się, co się z nim stało, ale znajduję tylko jedno wyjaśnienie. Myślę, że Felek chciał ubić własny interes na tej sprawie. Podejrzewaliśmy, wręcz byliśmy pewni, że Karl zgromadził prywatną fortunę, nadzorował przecież w końcu magazyn depozytów. Przez jego ręce przechodziły złote zegarki, pierścionki, obrączki i złote zęby. Kosztowności odebrane więźniom trzeba było wysyłać do Berlina, ale esesmani, w każdym obozie, najpierw napełniali własne kieszenie. Karl zapewne też. W ciągu czterech lat musiał zgromadzić spory majątek. Felek chciał zapewne coś z niego uszczknąć. Myślę, że po prostu poszedł do Karla i powiedział mu: „Albo podzielisz się, albo cię zadenuncjuję”. Myślę, że to prawdopodobne. Co w takiej sytuacji zrobił Karl? Zapewne zapłacił. Może Felek urządził się gdzieś na Zachodzie za żydowskie złoto?

Słuchałam uważnie, popijając wino.

– Przez dwadzieścia sześć lat mieliśmy Karla na oku, aż do dnia jego śmierci, i nic – powiedział mężczyzna po dłuższej pauzie. – Czasami myślę, że popełniliśmy błąd. Może on wcale nie był strażnikiem?

Leopold Wilk na krótką chwilę pochylił się do przodu i spuścił głowę. Można było odnieść wrażenie, że przygniata go ciężar niepowodzenia.

Teraz ja zabrałam głos:

– Podobno SB wiedziało wszystko o inwigilowanym człowieku: co jada, jak często chodzi do toalety, co mu się śni. Tym czasem Karl pod waszym nosem zabił niewinnego człowieka, a wyście tego nie zauważyli.

– O czym pani mówi?

Wzięłam dwa kolejne łyki wina. Wilk patrzył wyczekująco. Odstawiłam gliniany dzbanuszek.

– Karl zabił pana Majewskiego – oznajmiłam.

– A kto to taki?

– To pierwszy mąż pani Anny, żony Karla.

Mój rozmówca podniósł dłoń.

– Już wiem, o kogo pani chodzi. Mówi pani o profesorze Majewskim. Ale dlaczego pani twierdzi, że Karl go zabił? Przecież on wyjechał do Warszawy.

– Myli się pan, on nie wyjechał – powiedziałam stanowczo.

– Nie myślę się, droga pani. Majewski przeprowadził się do Warszawy, gdzie podjął pracę na uniwersytecie. Był naszym człowiekiem, tajnym współpracownikiem. Rozmawiałem z nim kilkakrotnie o Karlu, ale nic ciekawego nie powiedział. Nienawidził Dietricha za to, że ten uwiódł mu żonę, i gdyby mógł go pograżyć, na pewno by to zrobił. Niestety, nic na niego nie miał.

W milczeniu wpatrywałam się w gliniany dzbanuszek po winie. Zaledwie wczoraj Gabrysia zapowiedziała żartem zmianę tożsamości naszego szkieletu... Mój mózg przez kilka sekund bronił się przed słowami Leopolda Wilka, ale ich treść była zbyt czytelna, zbyt dobitna. Musiałam przyjąć do wiadomości, że w piwnicy znalazłam bezimienną kupę kości.

– Pani Beato, czy powie mi pani, o co chodziło z tym zabójstwem Majewskiego?

W barze robiło się coraz gwarniej. Docierał do mnie głos młodej dziewczyny opowiadającej o zaletach kremu z retinolem. Jakiś chłopak przypominał, że od dwóch dni obowiązuje całkowity zakaz palenia w lokalach gastronomicznych. Z głośników telewizora popłynął głos Jarosława Kreta, zapowiadający opady śniegu. Nachyliłam się nad stołem.

– W dawnym domu Karla Dietricha natknęłam się na ludzkie szczątki. Były zakopane w piwnicy. Teraz ten szkielet znajduje się w zakładzie medycyny sądowej w Gdańsku. Oficjalnej ekspertyzy jeszcze nie ma. Wiem jednak, że kości należą

do mężczyzny, około czterdziestoletniego, z dużymi brakami w uzębieniu. Ten ktoś został zabity uderzeniem w tył głowy, prawdopodobnie siekierą. Udało mi się ustalić, że pan Majewski znikł nagle ze Sztutowa i nigdy więcej nie dał znaku życia, nigdy nawet nie spotkał się z synem. Uznałam, że nie wyjechał, lecz został zamordowany przez Karla i pochowany pod schodami.

Leopold Wilk wydawał się poruszony.

– Mówi pani: czterdziestoletni? Felek miał dwadzieścia dziewięć lat...

– Myśli pan, że to on? Tam, w piwnicy?

– Nie wiem. Nie przypominam sobie, żeby był szczerbaty. Poza tym na jego ubraniu, tym znalezionym na plaży, nie znaleziono śladów krwi. No tak, tyle że wtedy krwi szukano gołym okiem, nikt nawet nie pomyślał o laboratorium, bo nie było przesłanek. Milicja sądziła, że się utopił, a my, że wyjechał z pieniędzmi Karla. Tak sobie teraz myślę, że Dietrich mógł go zabić... To pewniejsze niż płacenie. Prawdę mówiąc, wówczas braliśmy pod uwagę taką ewentualność, ale szybko ją wykluczaliśmy, bo morderstwo wiąże się z większym ryzykiem, a Karl by nie ryzykował. Miał zbyt dużo do stracenia. Wie pani może, jak długo ten szkielet leżał w piwnicy?

– Tego jeszcze nie wiadomo, ale ekspertyza powinna być lada dzień.

– Felek zaginał we wrześniu 1959 roku – oznajmił Leopold Wilk.

Ta informacja wydała mi się ważna. Przecież zaledwie kilka tygodni później, szóstego listopada 1959 roku, Staś napisał swój dramatyczny list. Czyżby pod wpływem morderstwa, którego stał się przypadkowym świadkiem?

– Badanie DNA wyjaśniłoby, czy ten szkielet należy do Felka. Potrzebny jest tylko materiał porównawczy, czyli ktoś z rodziny – powiedziałam.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Nie, na DNA to ja bym nie liczył. Felek nie miał rodziny. A ta stara samotna ciotka została pochowana kilkadziesiąt lat temu. Nawet jeśli znajdziemy jej grób, może nie udać się nam pobrać materiału genetycznego, bo czy wolno ekshumować zwłoki obcej osoby? Na jakiej podstawie? Czy wystarczyłoby podejrzenie morderstwa popełnionego pół wieku temu? Raczej nie.

Leopold Wilk na pożegnanie mocno uściskał moją dłoń.

– Gdy będzie pani wiedziała, jak długo te szczątki leżały w piwnicy, proszę dać mi znać – poprosił. – Może choć zbliżę się do rozwiązania zagadki zniknięcia Iwińskiego.

Patrzyłam, jak zdecydowanym krokiem wychodzi z lokalu. Obok mnie stanął Marcin.

– Kto to był? – zapytał.

– Gabrysia miała rację – powiedziałam, ignorując pytanie.

– Rację? Dlaczego? O co chodzi? No, powiesz w końcu, kim jest ten stary skin?

– Kochanie, nasz szkielet zmienił tożsamość. Już nie należy do pana Majewskiego, bo pan Majewski wyjechał do Warszawy i zatrudnił się na uniwersytecie. Właśnie o tym powiedział mi ten facet. Jako emerytowany esbek, dużo wie. I co ty na to, ja się pytam?

Mój mąż podrapał się po brodzie. Przez krótki moment wyglądał jak zagubiony chłopiec.

– Jeżeli nie pan Majewski, to kto?

Gdy wyszliśmy z baru, przystanęłam i wsłuchałam się w huk fal. Teraz morze szumiało głośniejsze niż przed półtorej godziny. W powietrzu zaczynały wirować płatki śniegu.

Wsiadliśmy do samochodu. Przez całą drogę do Sztutowa relacjonowałam Marcinowi to, czego dowiedziałam się od Leopolda Wilka. Zaparkowaliśmy na podwórku. Żadne z nas nie wysiadło.

Nie mogliśmy przestać rozmawiać.

ROZDZIAŁ X

Konrad siedział na ganku z wyciągniętymi przed siebie nogami. W dłoni trzymał kubek z kawą. Obok niego, na ławce, stał zielony termos.

– Maleńka, zapraszam na kawusię – powiedział na powitanie.

– Co ty tutaj robisz? – zapytałam zaskoczona.

– Przyjechałem oddać termos. Nie zostawiłem go wczoraj na ganku, bo gdyby zginął, byłbym pierwszym podejrzanym.

Z jego ust wydobywały się kłęby pary.

– Długo tu siedzisz? – zapytałam.

Uniósł lewą rękę, jakby chciał spojrzeć na zegarek, jednak tego nie zrobił.

– Gdy czekam na piękną kobietę, nie liczę czasu – oznajmił z uśmiechem swym niskim głosem.

Ten komplement przypomniał mi, że źle wyglądam. Znowu miałam na sobie czapkę Marcina, a poza tym nie byłam umalowana. Mężczyźni powinni wiedzieć, że kobiety lubią niespodziewane wizyty, ale tylko wtedy, gdy mają wystarczająco dużo czasu, aby się do nich przygotować.

Konrad wyciągnął w moją stronę kubek z kawą.

– Zaparzyłem świeżą.

Piłam i patrzyłam na podwórko pokryte cienką warstwą śniegu. Moją uwagę przykuły ślady butów pozostawione przez Konrada. Biegły od jego dżipa w stronę domu, a następnie skręcały w lewo. A zatem nie wszedł wprost na ganek. Może był w ogrodzie, by sprawdzić wczorajszą robotę? Tylko dlaczego szedł tak blisko ściany, zaraz pod oknami? Czyżby próbował nas przez nie podejrzeć? Spojrzałam na jego długie nogi i buty na grubej słoninie. Dałby radę bez problemu. Nagle zapragnęłam pójść za tymi śladami i sprawdzić, dokąd prowadzą. Może okazałoby się, że Konrad doszedł pod okna naszej sypialni i zawrócił?

– Byłem w ogrodzie – oznajmił, widząc, że przyglądam się wydeptanej ścieżce.

– Po co? – zapytałam.

– Nasypałem ziarna do karmnika. Ptaszkom też się coś należy.

Żółto-czarna czapka z czerwoną naszywką zsunęła mu się na brwi. Poprawił ją.

– Maleńka, pozwolisz się porwać nad morze?

Nakrycie głowy tkwiło teraz na jej czubku przekrzywione, nadając Konradowi wygląd zabawny i chłopięcy zarazem. Postawiłam kubek na ławce i zdecydowanym ruchem poprawiłam mu czapkę, równo naciągając ją na skronie. Nie zdążyłam cofnąć ręki. Złapał mnie za palce, delikatnie.

– To co, wyskoczmy na plażę? – zapytał ponownie. – Może być miło. Zajaramy sobie trawkę...

Było dopiero kilka minut po ósmej, Marcin jeszcze spał. Mogłam sobie pozwolić na krótki wypad.

– Zaczekaj chwilę – poprosiłam i weszłam do domu.

Rzuciłam na fotel czapkę Marcina i przed lustrem starannie owinęłam głowę i szyję kremowym szalem. Na usta położyłam odrobinę błyszczycy, wzięłam komórkę i zawróciłam na ganek. Konrad stał już przy tym swoim zielonym dziepie z mnóstwem kolorowych naklejek na bocznych szybach. Wsiadliśmy. Czapka wylądowała na tylnym siedzeniu. Jasne, lekko falujące włosy przygładził dłonią. Te niesforne kosmyki nieczęsto spotykały się z fryzjerskimi nożyczkami. I dobrze, Konradowi nie pasowałaby krótko wystrzyżona, uporządkowana fryzura. To przecież nie urzędnik, lecz ogrodnik.

Na plaży byliśmy sami. Ani jednego człowieka w zasięgu wzroku, tylko rozkrzyczane mewy. Konrad przerzucił przez ramię niewielki plecak i ruszył przed siebie. Szłam obok, zasłuchana w fale, równomiernie uderzające o brzeg.

– Na długo przyjechałaś? – zapytał.

– Za trzy dni wracamy do Poznania.

– To mamy przed sobą całe trzy dni! Szkoda, że nie skumaliśmy się wcześniej.

– Nie zapominaj, że jestem tu z mężem.

– Maleńka, ja nie jestem zazdrosny – oznajmił teatralnie. – To dobry pomysł. Ten urlop tutaj jesienią – dodał całkiem poważnie.

Zgodziłam się i zaczęłam rozmyślać o naszym pobycie w Sztutowie. Zdecydowaliśmy się spędzić urlop w domu Kaśki, bo chcieliśmy wypocząć, poleniuchować z dala od ludzi i od turystycznych pseudoatrakcji. Trochę wprawdzie zazdrościłam Kaśce ciepłego i przejrzystego morza na Dominikanie, żółwi morskich i wielkich płaszczyk, wycieczek na plantacje trzciny cukrowej i do górskich wodospadów, i wreszcie wypadów do nocnych klubów przy plaży. Dominikana była poza naszym zasięgiem, ale na Egipt czy Tunezję mogliśmy sobie pozwolić. Zwyciężyła jednak chęć spędzenia dwóch tygodni w zupełnym spokoju. Gdy pewnego dnia po powrocie z pracy napisałam szminką na lustrze w łazience: „Chcę odpocząć”, Marcin oznajmił, że jedziemy do Sztutowa. Pakowałam się z entuzjazmem, ale gdy utknęliśmy w ogromnym korku na wylotówce z Poznania, zaczęłam żałować. A potem jeszcze ta pięciogodzinna podróż w deszczu. Spokój również nie był nam dany – urlop z morderstwem w tle. Ale właściwie nie ma na co narzekać. Przecież jest ciekawie, choć trochę mrocznie. Będzie o czym opowiadać na imieninach u znajomych.

Konrad przysiadł na kawałku drzewa, zajęłam miejsce obok. Z plecaka wyjął zielony termos, kubek i coś jeszcze, zawinięte w biały pergamin. Rozwinął i zapachniało chlebem, masłem i wędliną. Tak samo jak na szkolnych korytarzach podczas przerw, gdy wszyscy wyciągali kanapki. Zaśmiałam się.

– A gdzie jest trawka, ja się pytam? – zawołałam z udawanym oburzeniem.

– Trawka będzie na wiosnę. Na razie jedz kanapkę.

– Obiecałeś, że zajaramy. Po to tu przyjechałam.

– Nieprawda. Przyjechałaś tutaj, bo między nami iskrzy, no nie?

Nie zaprzeczyłam. Jadłam, patrząc na szarobrunatne fale. Konrad podał mi kubek z kawą.

– Maleńka, wpadniemy do mnie na chatę? – zapytał. – Pokażę ci, jak mieszkam.

– Nie dzisiaj. Może jak przyjadę tutaj latem.

– Latem mnie tu nie ma. W marcu wybywam do Irlandii i wracam dopiero w październiku. I tak co roku. Przez ten czas moją chatę zajmują palanty z warszawki i bulą za to niezłą kasę, choć co prawda połowę bierze sąsiad, któremu zostawiam klucze. Należy mu się. W końcu to dzięki niemu mam tych wczasowiczów.

Ramię Konrada przesunęło się za moimi plecami. Objął mnie delikatnie. Nie zaprotestowałam.

– To co, pojedziemy? – ponowił pytanie.

W mojej kieszeni odezwała się komórka.

– Mąż mnie wzywa – odparłam, sięgając po aparat.

Spojrzałam na wyświetlacz.

„Gdzie jesteś?”

„Ogrodnik Kaśki zabrał mnie na plażę. Zaraz wracam”, odpisałam.

Dobrze było tak siedzieć blisko Konrada i pić kawę ze wspólnego kubka, jak za licealnych czasów. To dziwne, że przy mężu, młodszym zaledwie o kilka lat, czułam się staro, a przy jeszcze młodszym, obcym mężczyźnie ubyło mi ze dwadzieścia lat.

– Musimy już jechać – powiedziałam, uwalniając się z jego objęć.

– Ej, siadaj, nie śpiesz się. Wystarczy, że mój zegarek się śpieszy.

Nie usiadłam. Złapał mnie za rękaw i pociągnął w dół, trochę zbyt mocno. Straciłam równowagę, przeleciałam przez kawałek drzewa i klapnęłam tyłkiem w śnieg. Konrad pomógł mi się pozbierać. Myślałam, że może mnie przeprosi albo chociaż okaże zakłopotanie, ale nic z tego. Coś tam mamrotał pod nosem. Z ociąganiem włożył do plecaka termos i kubek. Na śniegu wciąż leżał papier po kanapkach. Podniosłam go, zgmiotłam i wcisnęłam do kieszeni. Szliśmy środkiem plaży. Konrad spróbował mnie objąć, odsunęłam się jednak.

– Podrzucisz mnie jeszcze do piekarni? – poprosiłam, gdy wsiedliśmy do dżipa.

– Okej. Kupię sobie od razu słodką bułkę, bo od ciebie to tyle słodczy dostałem co kot napłakał.

Weszliśmy do ciepłego, pachnącego wnętrza.

Przy ladzie zobaczyłam znajomą sylwetkę otyłej kobiety; miała na sobie te same kreszowe spodnie i stare adidas co parę dni temu. Konrad skinął jej głową, ja również. Szybko odwróciła się plecami i wyszła, zupełnie jakby przed nami uciekała. Nawet nie zdążyłam zauważyć, czy była zaskoczona, zobaczywszy mnie

z miejscowym casanovą. Kupiłam chleb na zakwasie i dwa rogalie z makiem, a Konrad bułkę z jagodami i pączka. Wyszliśmy.

Grubaska stała przy zielonym dżipie i wsuwała za wycieraczkę kawałek kartki. Oddaliła się pośpiesznie, nie patrząc na nas. Gdy podeszliśmy do samochodu, mój towarzysz wyjął kartkę, przeczytał ją i schował do kieszeni. Kusiło mnie, żeby zapytać o treść, ale to przecież nie moja sprawa.

Weszłam do domu, trzymając w jednym ręku termos, a w drugim kubek i woreczek z pieczywem.

– Kochanie, mam rogalie! – zawołałam.

Odpowiedziała mi cisza. Weszłam do pokoju. W kominku płonął ogień. Zdjęłam szal i przewiesiłam go przez poręcz krzesła. Ruszyłam do kuchni, gdzie spodziewałam się znaleźć Marcina. Siedział przy stole i pisał esemesa.

– Do kogo esemesujesz? – zapytałam.

– Do twojego ogrodnika. Zagroziłem mu, że go zabiję, jak jeszcze raz cię uprowadzi tak rano.

– Bardzo śmieszne – powiedziałam, całując go w policzek.

Rozkroiłam rogalie, posmarowałam je masłem i dżemem ze śliwki węgierki. Marcin zrobił kakao. Postanowiliśmy zjeść śniadanie przy kominku. Gdy usiedliśmy w fotelach, mimowolnie powróciliśmy do wczorajszej rozmowy o Leopoldzie Wilku, Karlu Dietrichu i Felku Iwińskim.

– Kaśka najlepiej zrobiłaby, gdyby pochowała te szczątki jako NN na jakimś miejskim cmentarzu – powiedział Marcin.

– Myślisz, że nie ma już żadnych szans na ustalenie tożsamości?

– Trochę powinna wyjaśnić ekspertyza. Jeżeli okaże się, że zwłoki leżały w ziemi pięćdziesiąt lat, to wskazywałoby na tego Felka. No ale pewności mieć nie można.

– Ja jeszcze liczę na panią Anię Dietrich. Mam nadzieję, że ona żyje i że Itaka nas z nią skontaktuje.

Ogień w kominku trząsał głośno. Lubiłam ten dźwięk. Przymknęłam oczy i słuchałam. Marcin zaczął zbierać naczynia.

– Co dzisiaj robimy? – zapytał.

– Leniuchujemy – odpowiedziałam, przeciągając się.

Miałam wrażenie, że ktoś odciął mnie od akumulatora. Nic mi się nie chciało. Przez ostatnie dwa tygodnie napędzało mnie nasze śledztwo. Mój umysł był zajęty wynajdywaniem coraz to nowych śladów, analizowaniem zebranych dowodów, poszukiwaniem świadków. Ale teraz, po rozmowie z Leopoldem Wilkiem, dochodzenie utknęło w martwym punkcie. A właściwie w punkcie wyjścia. Nadal nie wiedziałam, kto został zabity i kto tak naprawdę jest mordercą. A co najgorsze, nie znajdowałam kolejnego punktu zaczepienia, jakiegokolwiek nowej wskazówki, nowego tropu. Jak dobrze byłoby porozmawiać z panią Anną Dietrich! Rozmowa

mogłaby wiele wyjaśnić.

– Może długi spacer po plaży? – zaproponował Marcin.

Milczałam, zapatrzona w ogień.

– No tak, zapomniałem, że już byłaś. To pójdę sam.

Wychodził już z pokoju, gdy zapytałam:

– Kolega tego ogrodnika organizuje dla turystów wypadki kutrem na morze.

Chciałbyś popłynąć?

Talerzyki zadzwięczały mu w dłoni.

– Jasne, super. To świetny pomysł. Tylko kiedy? Przecież za trzy dni wyjeżdżamy.

– Zadzwoń do niego i zapytam – powiedziałam.

Tymczasem włączyłam laptopa i czekałam, aż rozbłyśnie monitor. Na GG miałam nową wiadomość od Gabrysi. Kliknęłam w kopertę i zaczęłam czytać:

„Mamuniu kochana, tata wyszedł wczoraj ze szpitala. Zadzwoił do mnie i zaprosił na pizzę. Ucieszyłam się. Pomyślałam, że chce mi podziękować za te wszystkie rzeczy. On zamówił dużą z kurczakiem, ja małą z owocami. Zapytał, jak mi idzie na studiach, a potem zaczął mówić o sobie. Gadał i gadał, jaki on biedny, jak go wszyscy wykorzystują. Nie omieszkał przypomnieć, że zamierzałaś go zabić, że rzuciłaś się na niego z nożem. Chciał już rozpinać koszulę i pokazywać bliznę, ale go powstrzymałam. Gdy przyszło do płacenia, okazało się, że nie wziął portfela. Uregulowałam rachunek ze stoickim spokojem. Gdy wyszliśmy z pizzerii, skarżył się dalej – ta jego kobieta wyrzuciła go z mieszkania, na szczęście kumpel go przygarnął na jakiś czas, no i w końcu poprosił, żebym mu pożyczyła pięć dych. Obiecywał, że za trzy dni odda. Dałam mu dwadzieścia złotych. Kasę wziął, ale nie był zadowolony. Najwyraźniej liczył na więcej. Mamuniu kochana, dlaczego ty rzuciłaś się wtedy na niego z nożem, a nie z siekierą? Wiem dlaczego – po prostu nie miałaś jej pod ręką! Szkoda”.

Najechałam kursorem na pole edycji.

„Kochanie moje, nie przejmuj się swoim tatą”, napisałam. „Lepiej mieć takiego niż żadnego. Dobrze więc, że wtedy nie udało mi się go zabić, choć naprawdę niewiele brakowało. Ojca masz do niczego, ale na szczęście matka ci się udała. Przyznasz? A w kwestii szkieletu – całkiem trafnie przewidziałaś, że nieboszczyk okaże się zupełnie kimś innym. Wyobraź sobie, że to nie pan Majewski! Okazało się, że on faktycznie wyjechał do Warszawy. Zapewne zastanawiasz się, kto w takim razie leżał w piwnicy. My także zadajemy sobie to pytanie. Być może Karl zabił pewnego esbeka, który miał go inwigilować, ale to tylko przypuszczenie. Jeżeli zaś chodzi o Karla, dowiedziałam się o nim ciekawych rzeczy...”.

Streściłam Gabrysi moją wczorajszą rozmowę z Leopoldem Wilkiem. Kopię streszczenia wysłałam Kaśce, prosząc ją jednocześnie o numer telefonu

do Konrada. Następnie zalogowałam się do poczty. Odpowiedzi z Itaki nie było, zadzwoniłam więc pod numer ze strony fundacji. Kiedy w słuchawce usłyszałam miły kobiecy głos, wyjaśniłam, w jakiej sprawie dzwonię. Miła pani odmówiła podania kontaktu, uprzejmie oznajmiając, że nie jest upoważniona do udostępniania numerów telefonów rodzin osób zaginionych. Bez przekonania bąknęłam, że mam ważną sprawę, a pracownica fundacji westchnęła zrezygnowana. Już myślałam, że dostanę ten numer, kiedy powiedziała, że bez zgody pani Dietrich nie może mi go podać. Miałam już podziękować i się rozłączyć, ale miła pani zaofiarowała się, że zaraz zadzwoni do Anny Dietrich i zapyta ją o pozwolenie.

Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Chodziłam więc po pokoju, przystając jedynie na parę sekund przed kominkiem. Czy pani Anna zgodzi się, abym do niej zadzwoniła? Raczej tak, przecież każdy telefon to szansa na odnalezienie syna. Ogień w palenisku dogasał, ale gdy Marcin dorzucił kilka szczap, płomień ponownie wystrzelił w górę. Sygnał mojej komórki zatrzymał mnie w miejscu.

– Podaję numer do Anny Dietrich – zakomunikowała pracownica Itaki bez wstępów.

Zapisałam szybko na gazecie dziewięć cyfr. Adrenalina, szybsze bicie serca, krew pulsująca w skroniach. Jeżeli matka Stasia podniesie słuchawkę, co mam jej powiedzieć? Jak przekonać ją do rozmowy o wydarzeniach sprzed pięćdziesięciu lat?

Wystukałam numer na klawiaturze komórki i czekałam na połączenie. Nastąpiło już po drugim sygnale i usłyszałam kobiecy głos, zbyt młody, żeby mógł należeć do pani Anny.

– Czy mogę z panią Dietrich? – zapytałam.

– Zaraz poproszę – odparła kobieta.

Za chwilę w słuchawce zabrzmiał inny głos, mocny i czysty, ale już bez młodzieńczej dźwięczności.

Przedstawiłam się, odchrząknęłam nerwowo i zaczęłam mówić:

– Właśnie spędzam urlop w pani starym domu w Sztutowie. Szperałam trochę na strychu i przy okazji znalazłam list pani syna.

– List Staszka? – zapytała.

– Tak, jego. Napisany pół wieku temu.

Anna Dietrich milczała. Chciałam kontynuować, ale nie zdążyłam. Kobieta głośno wciągnęła powietrze.

– Pani wie, gdzie on jest?

W jej głosie było tyle dramatyzmu i nadziei!

– Niestety, nie mam pojęcia – odparłam cicho. Odchrząknęłam i powtórzyłam głośniejszym głosem: – Nie wiem. Niestety.

– To po co pani dzwoni? – zapytała nieco rozdrażniona.

Rozmowa potoczyła się w innym kierunku, niżbym sobie tego życzyła. Byłam

niemal pewna, że Anna Dietrich zdążyła się już do mnie uprzedzić. Zaczęłam od nowa.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale uznałam, że powinniśmy porozmawiać. Znalazłam list Stasia na strychu, bardzo poruszający. Chciałabym go pani pokazać. Ten list może panią zainteresować. Pani syn pisał o pani i o swoim ojczymie.

Zastanawiałam się, co jeszcze powiedzieć, żeby przekonać tę kobietę do spotkania. Czy powinnam wspomnieć o szkielecie w piwnicy? A może dobrym pomysłem byłoby zasugerowanie, że znam esesmańską przeszłość Karla Dietricha?

W słuchawce usłyszałam cichy szept:

– Mój Staszek zaginął.

– Wiem. Mam nadzieję, że się odnajdzie. Wierzę głęboko, że któregoś dnia wróci. – Mówiłam szczerze, choć jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że moje słowa brzmią jak grzecznościowa formułka. – Bardzo bym chciała się z panią zobaczyć i o nim porozmawiać – ciągnęłam. – Może razem dojdziemy, dlaczego zaginął i gdzie teraz może przebywać. Ludzie przecież nie znikają bez powodu. No i nie rozpływają się w powietrzu.

Marcin pogroził mi palcem, choć i bez tego dobrze wiedziałam, że robię źle. Dawałam tej starej kobiecie nadzieję, sugerując, że mogę pomóc w odnalezieniu jej syna, gdy tymczasem chodziło mi głównie o ustalenie kilku faktów sprzed pięćdziesięciu lat.

– Kiedy pani może przyjechać? – zapytała Anna Dietrich.

– Mogę dzisiaj.

– Ale pani nie jest jakąś oszustką? No bo wie pani, byli u mnie już tacy, co obiecywali pomoc, ale najpierw miałam im zapłacić. Ja nie taka głupia.

– Zapewniam panią, że nie jestem oszustką. Chciałabym przyjechać z mężem.

– Jeszcze przez dwie godziny będzie u mnie panienka z opieki społecznej. Przy niej was wpuszczę. Rozumie pani?

Powiedziałam, że rozumiem, i poprosiłam o adres. Dziesięć minut później siedzieliśmy w samochodzie.

Anna Dietrich mieszkała w obskurnym falowcu na Przymorzu. Z przerażeniem patrzyłam na wyrwany domofon, wiszący na kilku kablach, oraz na czarne graffiti ozdabiające ściany klatki schodowej. Jadąc na dziewiąte piętro, zatykałam nos, bo windzie śmierdziało moczem.

Drzwi otworzyła nam młoda dziewczyna ubrana w zielony golf i dzinsy; domyśliłam się, że to pracownica MOPS-u. Pani Anna na nasz widok wstała z fotela. Wyglądała schludnie, w skromnej granatowej sukience i z upiętymi w kok siwymi włosami. Miała lekko podmalowane oczy i usta. Nikt by jej nie dał osiemdziesiątki.

– Cieszę się, że państwo przyjechali. Naprawdę się cieszę, bo mnie nikt nie

odwiedza. Zupełnie nikt, poza tą panienką i jedną sąsiadką, a ja tak lubię towarzystwo. Bardzo lubię ludzi. Napijemy się kawki i porozmawiamy sobie. O, tak.

Usiadłam w fotelu, a raczej się w niego zapadłam. To był stary fotel, z popękany obiciem i wystającą gąbką. Wszystkie meble w tym pokoju były stare, ale gustownie dobrane. Okrągły stół, wsparty na jednej nodze, przypominał ten w domu Kaśki, w Sztutowie.

– Jaki list mojego syna pani znalazła? – odezwała się gospodyni, gdy już wszyscy zajęliśmy miejsca.

Otworzyłam torebkę i zaczęłam szukać. Ręce mi drżały, byłam przejęta sytuacją. Siedziałam oto naprzeciwko pani Anny, a zaledwie parę dni temu sądziłam, że to właśnie jej szkielet znalazłam w piwnicy. W moich myślach funkcjonowała ona jako postać z przeszłości, przede wszystkim mama małego Stasia i młoda żona Karla. Była nierzeczywista, nieosiągalna. To niewiarygodne, że do niej dotarłam.

Podalam jej list. Kobieta założyła okulary i zaczęła czytać półgłosem. Uważnie obserwowałam jej twarz. Żadnego drgnienia, żadnego gwałtownego skurczu mięśni, tylko delikatny uśmiech. Odłożyła kartkę na stół.

– Jezusieńku, ten mój Staszek to miał pomysły! O, tak. W Ameryce chyba zrobiłby na nich majątek. Mój kochany synek zawsze miał fantazję.

Zdjęła okulary i położyła obok listu. Patrzyłam na jej duże brązowe oczy i drobne dłonie, spoczywające na kolanach. Ta pełna wdzięku kobieta była żoną mordercy i zbrodniarza wojennego. Czy o tym wiedziała? Na razie nie dawała po sobie poznać, że cokolwiek wie o zwłokach pochowanych w piwnicy swojego domu.

– Dlaczego Staś napisał, że Karl panią zabił? – zapytałam. – Wcale nie wydaje mi się to zabawne. To raczej makabryczne.

– Moja droga, nazywasz mojego syna Stasiem... Ja też kiedyś tak na niego wołałam, jak był mały, ale on tego nie lubił. Nie lubił być Stasiem, wołał być Staszkiem. O, tak.

Do pokoju weszła dziewczyna z MOPS-u i postawiła na stole kawę i delicje. Uśmiechnęłam się na widok czerwonych plastikowych koszyczków do szklanek. Moja mama używała kiedyś identycznych. Tak ze trzydzieści lat temu. Meblościankę też miała ozdobioną jak ta tutaj – kryształami i robionymi na szydełku serwetkami. Czas w tym mieszkaniu zatrzymał się trzy dekady temu.

– Widzisz, moja droga, Staszek nie cierpiał mojego drugiego męża, bardzo go nie cierpiał – kontynuowała Anna Dietrich. – Staralam się to zmienić, naprawdę się starałam, ale niestety. Karl, mój drugi mąż, był Niemcem i dlatego Staszek go nie lubił. To wszystko przez dzieciaki w szkole, a jakże, przez dzieciaki. Jezuśku, jakie dzieciaki potrafią być złośliwe! Rysowały mu swastyki na zeszytach. Swastyki, naprawdę. Staszek je zamalowywał, a pani stawiała mu dwóje za niszczenie

zeszytów. No to on je przepisywał, nocami siedział i przepisywał, żeby dostać dobrą ocenę, ale te paskudne dzieciaki znów rysowały mu swastyki, i tak w kółko. Ile ja się nakupowałam tych zeszytów! Mój synek miał ładne pismo, o tak. Proszę tylko zobaczyć.

Anna Dietrich podała list Marcinowi, a on pokiwał głową na znak, że w zupełności się z nią zgadza.

– Niech państwo sobie wyobrażą, że raz te łobuzy związały mojemu Staszekowi rękę, a potem narysowały mu pod nosem hitlerowski wąsik, zczesaly grzywkę na bok i kazały tak iść do domu. Biegł prędko, żeby nikt go nie zobaczył, ale koledzy biegli za nim i wrzeszczeli: „Adolf, Adolf”. Taka byłam na nich zła! Gdybym któregoś z nich złapała, to urwałabym mu głowę. A Staszek za te wszystkie złośliwości odgrywał się na Karlu. Raz wyjął z szafy garnitur męża i w ten garnitur ubrał stracha na wróble. Jezusieńku, co się wtedy u nas działo! W tamtych czasach garnitur z dobrego materiału to był majątek, o tak, majątek. Karl się wściekł i uderzył Staszka lejcami. Ja też byłam zła i za karę nie pozwoliłam mu jechać na wycieczkę szkolną do zoo. – Anna Dietrich ponownie wzięła do ręki list syna. – Ten list to też taka złośliwość wobec Karla... Ale niech państwo nie myślą, że u nas tak było zawsze. Z czasem Staszek polubił mojego męża, bo on był dobrym ojcem, o tak. Oni się naprawdę kochali. Gdy Staszek zaginął, mój mąż bardzo to przeżył. Bardzo cierpiał. Tak cierpiał, że aż umarł, cztery miesiące po zaginięciu Staszka. No i zostałam sama. Samiuteńka jak palec.

Odstawiłam szklankę na stół.

– Uwierzyliśmy... A właściwie ja uwierzyłam, że treść listu jest prawdziwa...

Kobieta założyła okulary i ponownie zaczęła czytać. Gdy skończyła, z jej ust wydobył się cichy szept:

– Jezusieńku, ale ten mój Staszek zrobił wam diabelski żart!

– ...więc w tej sytuacji zrobiliśmy rzecz, którą zrobić należało. Rozwaliliśmy posadzkę w piwnicy.

Patrzyłam uważnie na twarz pani Anny. Kobieta słuchała w skupieniu, z lekko rozchylonymi ustami. Nie widać było po niej niepokoju. Nabierałam przekonania, że nie ma pojęcia o zwłokach pochowanych w jej domu.

– Rozwaliliśmy podłogę w piwnicy, pod schodami, i znaleźliśmy szkielet. Ale tylko jeden, choć spodziewaliśmy się dwóch, bo przecież Staś, przepraszam, Staszek napisał, że Karl zabił panią i zaraz zabije jego. Przekazaliśmy szczątki do zakładu medycyny sądowej i wtedy okazało się, że kości należą do mężczyzny.

Anna Dietrich, pijąc kawę małymi łyčzkami, kiwała potakująco głową. Zadziwił mnie jej spokój. Taka nowina powinna ją zaskoczyć, a nawet lekko zaniepokoić.

– Ten mężczyzna został zamordowany – ciągnęłam. – W jego czaszce jest ślad po uderzeniu. Czy pani coś o tym wie?

– Owszem. Karl wyjawiał mi wszystko – odpowiedziała spokojnie.

Patrzyłam w duże brązowe oczy z coraz większym zdumieniem. Jak to możliwe, że do tego stopnia akceptowała poczynania męża? Ja też kochałam swego, ale gdyby Marcin kogoś zabił, nawet w samoobronie... Na pewno by to mną wstrząsnęło i pozostawiło bolesny ślad już do końca życia.

– Karl wszystko pani wyjawiał? Przyznał się? Naprawdę? – zapytał Marcin. Jego również zadziwił spokój gospodyni.

Kobieta skinęła twierdząco głową.

– Pani wie, kto został zamordowany? – zapytałam.

– O tak, wiem – odparła.

Moje podeksycytowanie osiągnęło punkt kulminacyjny. Pochyliłam się do przodu w oczekiwaniu na kolejne słowa, lecz w tej samej chwili do pokoju weszła pracownica MOPS-u. Miała na sobie płaszcz, w rękę trzymała torebkę.

– Pani Aniu, czy ja mogę już iść? – zapytała niepewnie.

– Tak, kochaniutka. Biegnij do domu.

Dziewczyna spojrzała na mnie i Marcina.

– Ci państwo jeszcze zostaną, ale nie martw się. To dobrzy ludzie, krzywdy mi nie zrobią – uspokoiła ją staruszka, a po wyjściu dziewczyny dodała: – Prosiłam ją, żeby była tutaj podczas waszej wizyty. Chyba mnie rozumiecie, teraz nie wiadomo, kto uczciwy, a kto nie. Tyle zła na świecie, o tak. Kiedyś nie zamykało się drzwi na klucz i nic nigdy nie zginęło, a dzisiaj zawsze zamykam, a i tak wszystko mi zginie. Taka filiżanka z żółtymi kwiatkami... Co ja się jej naszukałam! No i pierścionek po matce, jakieś pięć lat temu przepadł. A trzymałam go w puszcze po kawie.

Nowy wątek nie był nam potrzebny, więc gdy kobieta umilkła, powróciłam do tematu.

– Pani Anno, proszę nam powiedzieć, do kogo należą te szczątki.

Gospodyni wzięła delicyję i zaczęła powoli jeść ciasteczko. A ja bałam się, że zrezygnuje. W końcu nie wyjawia się ot tak sobie obcym ludziom mrocznych rodzinnych tajemnic.

– Pytasz, moja droga, do kogo należą te szczątki... – powiedziała, przełykając ostatni kawałek. – Nazwiska nie powiem, bo nie znam, ale wiem, kim był.

Splotła dłonie na kolanach i przymknęła oczy. Jakby próbowała sobie wszystko przypomnieć.

– Proszę mówić, słuchamy – ponaglił Marcin.

Anna Dietrich spojrzała na niego, potem na mnie.

– To Żyd, uciekinier ze Stutthofu. Nieszczęśnik.

Nie tego się spodziewaliśmy. Na moment aż uniosłam się w fotelu.

– To niemożliwe... – wyrwało mi się.

– To prawda – zapewniła. A widząc, że oboje kręcimy z niedowierzaniem

głowami, przekonywała: – Mój mąż był wartownikiem w obozie i pomógł mu w ucieczce. Bardzo się przy tym narażał. Jezusieńku, jak sobie pomyślę, co by z nim zrobiono, gdyby wyszło na jaw, że pomógł! Powiesiliby go jak nic. Ten uciekinier miał małe szanse przeżycia poza obozem. Zima, a on w pasiaku, niedożywiony. Karl czuł się za niego odpowiedzialny, zabrał go więc do domu rodziców. We wszystko wtajemniczył matkę i razem postanowili, że odkarmią tego nieszczęśnika, dadzą mu ubranie, a potem jakoś zorganizują mu dalszą ucieczkę. Mój Karl miał bardzo dobre serce, a w tak strasznym miejscu przyszło mu pełnić służbę! O, tak. Biedak, musiał codziennie patrzeć na te okropności...

A zatem Anna Dietrich wiedziała, że jej mąż służył w Stutthofie, ale nie zdawała sobie sprawy, że był oprawcą. Wręcz przeciwnie, zdawała się przekonana, że pomagał więźniom. Miałam ochotę uświadomić jej wszystko. Chciałam zdemaskować Karla, wyciągnąć na światło dzienne jego esesmańską przeszłość. Na usta cisnęły mi się ostre słowa, ale nie zdążyłam ich wyartykułować. Uprowadził mnie Marcin. Ze zjadliwością, której nigdy u niego nie słyszałam, powiedział:

– Pani mąż zabił tego Żyda siekierą? Mało mu było śmierci w obozie?

Anna Dietrich wyglądała na oszołomioną. Odchyliła się do tyłu, zasłaniając twarz dłońmi. Gdy opuściła ręce, zobaczyliśmy wykrzywione usta, jakby zaraz miała się rozpłakać. Nie, ujawnienie prawdy w niczym nam nie pomoże. Dla kobiety będzie dodatkową udręką, a to już zakrawa na okrucieństwo. Wystarczy, że cierpi z powodu zaginięcia syna. Nachyliłam się do Marcina i dotknęłam jego ramienia. Zrozumiał, że zareagował zbyt impulsywnie.

– Przepraszam panią – powiedział cicho.

– Jezusieńku, jak taka rzecz mogła panu przyjść do głowy? – wyszeptała pani Anna, przyciskając dłonie do serca. Wzięła głęboki oddech. – To nie mój mąż zabił tego nieszczęśnika. Zrobił to jego dziadek. Karl i jego matka ukrywali uciekiniera przed starym, który nienawidził Żydów jak psów i wierzył w Hitlera jak w Boga. Trochę na strychu, trochę w stodole pod sianem, ale dziadek i tak go znalazł. Karla wtedy nie było, mieszkał w koszarach i tylko na przepustkę przychodził do domu. Jak wszystko wyszło na jaw, dziadek Karla najpierw chciał dać znać do obozu, ale zrozumiał, jak bardzo może zaszkodzić wnukowi, i zdecydował się na rzecz straszną. Poszedł z siekierą na strych i zabił tego biednego człowieka. Potem matka Karla pomogła mu ukryć zwłoki w piwnicy. Zdecydowali się na piwnicę, żeby nikt ich nie nakrył na pochówku. Do sadu czy do ogrodu nawet w nocy mógł zajrzeć któryś z sąsiadów. Gdy mój Karl się o tym dowiedział, prawie padł trupem, o tak. Do końca życia zbrodni dziadkowi nie wybaczył, podobno już nigdy się do niego nie odezwał. Tak właśnie było.

Anna Dietrich umilkła.

– Staszek oczywiście znał tę historię? – zapytałam.

– Owszem, znał.

– Przypuszczam, że to ona zainspirowała go do napisania tego makabrycznego listu...

Pani Anna znów założyła okulary i podniosła kartkę. Odchrząknęła i zaczęła czytać, powoli, niemal sylabizując. Tak, jak to robią małe dzieci.

W końcu opuściła dłoń na kolana.

– Moja matka za każdym razem, gdy u nas była, mówiła, że musimy tego nieszczęśnika przenieść na cmentarz – powiedziała, patrząc na mnie. – Bo po śmierci każdemu człowiekowi należy się miejsce w poświęconej ziemi. Nawet Żydowi.

– Wasi sąsiedzi nie wiedzieli, że Karl pełnił służbę w Stutthofie? – wtrącił Marcin.

– Mąż poprosił mnie, żebym nikomu nic nie mówiła. Ludzie by nie zrozumieli. Posądzaliby go o różne straszne rzeczy, jak pan. – Wyciągnęła oskarżycielsko palec. – Karl był bardzo dobry. Pomagał więźniom, jak mógł. Dzielił się z nimi jedzeniem, o tak. Może mi nie uwierzycie, ale wartownicy w obozie pod koniec wojny też cierpieli głód, naprawdę. Karl miał trochę lepiej niż inni, bo o dwa kroki miał matkę na gospodarstwie, więc i jajka, i kurę było skąd wziąć. Ale jak coś dostał z domu, rozdawał innym. Uratował wielu więźniów od głodowej śmierci.

Widziałam, jak mój mąż kręci się w fotelu. Słowa Anny Dietrich działały na niego jak płachta na byka; na mnie zresztą również.

– A Staszek wiedział, że Karl był obozowym wartownikiem? – przerwałam ten hymn pochwalny na cześć zbrodniarza.

– Wiedział. Przypadkowo usłyszał, jak o tym rozmawiamy, smarkacz. No, wiecie państwo, jak to jest. Wydaje się, że dzieciaki niczego nie słyszą, a one mają ucho większe od słonia. Na szczęście rozumiał, że nie powinien nikomu o tym rozpowiadać.

– Jak to się stało, że pani syn zaginął? – zapytał Marcin.

Anna Dietrich uśmiechnęła się i niemal w tej samej chwili zadrżała jej broda. Nerwowym ruchem wygładziła nieistniejącą fałdę na sukience.

– Pewnego dnia nie wrócił z pracy. To było dziewiętnastego stycznia 1983 roku. Jezusieńku, jaka wtedy była zima, śniegu po kolana! Dobrze pamiętam, bo tamtego dnia Karl uparł się, żeby pójść do znajomego pograć w szachy. Ja mu mówiłam: „Gdzie będziesz lazył w taką pogodę? Nie dasz rady, ledwo co nogami powłóczysz”, ale on poszedł. Zostałam sama i wtedy po raz pierwszy poczułam niepokój. Serce mi załomotało i cała oblałam się potem, ale wzięłam tabletkę pod język i trochę mi się polepszyło. Koło osiemnastej zaczęłam obierać ziemniaki. Staszek o dziewiętnastej zamykał swój kiosk. Bo on pracował w „Ruchu”, ale tylko chwilowo. Tak w ogóle był dyrektorem drukarni, ale po wprowadzeniu stanu wojennego został wyrzucony. Podobno w tej drukarni drukowano ulotki dla opozycji, ale gdyby tak było, toby Staszka zaaresztowano i miałyby proces. A on

został tylko zwolniony.

A więc zamykał kiosk o siódmej i kilkanaście minut później był już w domu. Ale tamtego dnia patrzyłam na zegar, minuty mijały, a on się nie pojawiał. Na początku martwiłam się, że obiad mu ostygnie, potem zaczęłam się bać o jego życie. Miałam przeczucie, że coś mu się stało. O Jezusieńku, jaka ja byłam wtedy roztrzęsiona! Złapałam za słuchawkę i chciałam dzwonić, ale nie wiedziałam do kogo. Do Karła nie mogłam, bo ten znajomy od szachów nie miał telefonu. W końcu ubrałam się i wyszłam. Kiosk stał naprzeciwko przystanku tramwajowego. Już z daleka widziałam, że jest zamknięty. Dobiegłam, złapałam za kraty i próbowałam zajrzeć do środka. Akurat przechodził jakiś mężczyzna z psem, zatrzymał się i powiedział, że zamknięte od rana. Zamarłam. Potem pobiegłam do domu. Wydawało mi się, że czeka tam na mnie Staszek. Pędziłam jak szalona, mało ducha nie wyzionęłam. Zwolniłam przed falowcem i spojrzałam w okna. Były ciemne. Nogi mi podcięło i padłam w śnieg, o tak. Podniosła mnie sąsiadka i zaprowadziła do mieszkania. Byłam pewna, że Staszekowi się coś stało. Serce matki mi to mówiło. Siedziałam skulona przy telefonie i czekałam. Karl wrócił parę minut przed godziną milicyjną. Bardzo zmęczony, ledwie trzymał się na nogach. Zdjęłam mu płaszcz i buty. Gdy usiadł przy kuchennym stole, powiedziałam, że Staszek nie wrócił, że w ogóle nie otworzył dzisiaj kiosku. Mąż bardzo się zdenerwował, aż duszności go złapały. Oboje nie spaliśmy całą noc.

O szóstej rano poszliśmy na milicję. Miałam nadzieję, że tam znajdziemy Staszka, że zatrzymano go za te jajka, co je nielegalnie sprzedawał w kiosku. Ale milicjanci się wyparli i powiedzieli, że u nich go nie ma. Taki młody to nawet bił się w piersi i zapewniał, że nie mają nic wspólnego z jego zniknięciem. Jacy myśmy byli skołowani! Zaczęły się poszukiwania, nasze prywatne. Od znajomych Staszka zaczęliśmy. Potem chodziłam z jego zdjęciem po sklepach i melinach. U jasnowidza i wróżki też byłam, a jakże, ale nikt nie potrafił mi pomóc. Ani ogłoszenia w gazetach, ani obietnica nagrody za informacje. Parę telefonów, ale nic konkretnego. Staszek przepadł jak kamień w wodę.

Pani Anna rozłożyła dłonie dla podkreślenia znaczenia ostatnich słów.

– A milicja? Nie szukano go? – odezwałam się.

Zrezygnowana kobieta tylko machnęła ręką.

– Na ich pomoc nie liczyłam – dodała cicho. – Przyjęli zgłoszenie i tyle.

Drgnęliśmy wszyscy, gdy rozległ się sygnał mojej komórki. Spojrzałam na wyświetlacz, Kaśka. Nie odebrałam.

Pani Dietrich zaczęła niepewnie:

– Jeden z milicjantów powiedział, że mam siedzieć w domu i czekać na syna, bo on na pewno wróci. Pomyśleliśmy sobie wtedy z Karlem, że przetrzymują go w jakimś ośrodku, co to wtedy tylu ludzi w tych ośrodkach pozamykali. Ale gdy stan wojenny się skończył, a Staszek nie wrócił, to odnalazłam tego milicjanta

i zapytałam, kiedy zwolnią mojego syna. Tylko oczy na mnie wybałuszył. Nie rozumiał, o co pytam. Jezusieńku, tyle osób dawało mi nadzieję! Taki znajomy Staszka mówił o ucieczce do Szwecji, podobno planowanej. Ktoś mu obiecał miejsce na promie. Bujda! Bo co, matce by nie powiedział, że na emigrację idzie? Ale gdy pojawiła się możliwość poszukiwań w Szwecji, skorzystałam. Jezusieńku, gdzie ja nie szukałam! Wszędzie. Kiedy zmieniły się u nas czasy i już wszystko wolno było, myślałam, że zaraz wróci, przyjedzie z tej Szwecji czy Ameryki, ale do dziś go nie ma. O i tak.

Kobieta ponownie rozłożyła ręce.

– Czy próbowała pani szukać informacji o Staszku w IPN-ie? – zapytał Marcin.

– A jakże. Taka miła pani w okularach szukała jego teczki, chciała mi pomóc, bardzo, ale nie znalazła. Wierzę, że mój syn wróci, czekam na to każdego dnia. Modłę się i czekam.

W oczach Anny Dietrich pojawiły się łzy. Spojrzałam w pustą szklankę. Zapanowało krępujące milczenie. Wiedziałam, że powinnam podtrzymać starszą panią na duchu, ale nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. W końcu wyjęłam z torebki wizytówkę i położyłam ją na stole.

– Jeśli Staszek wróci, w co nie wątpię, proszę do mnie zadzwonić. Przyjadę i zabiorę was do waszego starego domu w Sztutowie. Spędzimy tam kilka miłych dni.

Pani Dietrich była wzruszona. Broda jej drżała, łzy spływały po policzkach.

– Po wyprowadzce ze Sztutowa już nigdy tam nie wracałam – powiedziała. –

To niby nie jest daleko, ale jakoś nie było czasu. Karl chorował przez wiele lat, musiałam się nim zajmować, no i w domu mnóstwo roboty. Jak to w domu. Ale Staszek tam bywał. Chyba polubił Sztutowo dopiero wtedy, jak się stamtąd wyprowadziliśmy. Przed swoim zniknięciem też był kilka razy, po mięso, po jajka. Puste półki w sklepach, a u mnie pełna lodówka była. Kochany chłopak, o tak. Sztukę mięsa czy tuzin jaj potrafił sprzedać w kiosku zaufanym klientom.

Już w przedpokoju ucałowałam panią Annę w mokre policzki. Marcin ucisnął jej drobną dłoń. Wyszliśmy na korytarz.

– No to rozwiązaliśmy zagadkę szkieletu – powiedział mój mąż, gdy wsiedliśmy do samochodu.

– Aha – potwierdziłam.

Dlaczego zatem nie czułam satysfakcji? Zakończone sukcesem śledztwo powinno napełnić mnie poczuciem dobrze wykonanego obowiązku. Tyle włożonego wysiłku, dochodzenie doprowadzone do końca, a teraz jedynie dyskomfort. Jakby coś mnie uwierało w mojej własnej głowie.

Usłyszałam sygnał esemesa, wyjęłam z torebki komórkę i na głos odczytałam wiadomość.

– „Mam ekspertyzę. Jadę do was”.

– Napisz jej, że już wiemy, kto został zamordowany i kto jest mordercą, ale nie podawaj szczegółów. Prawdę powiemy jej osobiście. Mam ochotę zobaczyć jej minę – powiedział Marcin.

W jego głosie pobrzmiwał radosny ton. Mój mąż był najwyraźniej uradowany, ale chyba nie rozwiązaniem zagadki szkieletu. Raczej rychłym przyjazdem mojej przyjaciółki, a swojej byłej dziewczyny.

Zaczęłam pisać, gdy nagle w mojej głowie pojawiła się myśl, nieoczekiwana i wstrząsająca. Zamarłam.

– Coś się stało? – zapytał Marcin.

Miałam dziwne wrażenie, że niespodziewany impuls umknie mi równie szybko, jak się pojawił. Bałam się, że już nigdy nie przypomnę sobie, co to było, i pozostanę w poczuciu, że oto przeoczyłam coś ważnego.

– Staszek, Sztutowo, jajka, mięso, morderstwo – mamrotałam pod nosem skojarzenia.

– Co tam szepczesz? – zapytał Marcin.

Myśl pozostała w mojej głowie, objawiając się teraz jako logiczna całość. Starannie dobierałam słowa.

– To Staszek został zamordowany i zakopany w piwnicy, a nie żaden uciekinier z obozu...

Udało mi się zaskoczyć Marcina.

– Cooo?

– To Staszek został zamordowany i zakopany w piwnicy, a nie jakiś Żyd – powtórzyłam.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Pamiętasz, co mówiła pani Janka? – zapytałam. Marcin zmarszczył brwi, ale ja nie czekałam. – Powiedziała, że Staszek miał romans z Sabina. Pamiętasz? Z Sabina, córką pani Kazimierzy Góry, matką tej pięknej blondynki.

Mój mąż skinął głową na znak, że pamięta.

– Pani Janka powiedziała również, że mąż Sabiny był milicjantem i groził Staszekowi śmiercią, jeżeli ten nie odzepi się od jego żony. I co ty na to, ja się pytam? Bo ja myślę, że zazdrosny i upokorzony mąż jest zdolny do takiej zbrodni. Dlaczego nie?

Zawiesiłam głos w oczekiwaniu na reakcję męża, ale nie nastąpiła.

– Staszek przyjechał do Sztutowa niespodziewanie – kontynuowałam. – Gdyby zaplanował ten wyjazd, uprzedziłby matkę, ale on zwyczajnie wyszedł do pracy. Kiosku jednak nie otworzył. Ktoś musiał mu w tym przeszkodzić, a kto, jeśli nie Sabina, kochanka? Myślę, że tego ranka dostał od niej jakąś rozpaczliwą wiadomość, prośbę. No i wsiadł w autobus i pojechał. Prawdopodobnie się spotkali. Staszek przed powrotem do Gdańska odwiedził jeszcze panią Jankę, wziął jajka i mięso. Tam dorwał go mąż Sabiny, zabił i zakopał w piwnicy.

– I zrobił to na oczach pani Janki i jej męża – zakończył sarkastycznie Marcin.

– Nie, oczywiście, że nie. Dom zapewne był pusty. Pani Janka i jej mąż musieli akurat gdzieś wyjść, a gdy wrócili, nie zastali Staszka. Pomyśleli, że wyjechał. Trzeba będzie dopytać obie panie o tę ostatnią wizytę.

Czułam, że moja teoria trzeszczy w szwach, ale intuicja podpowiadała mi, że coś w niej jest.

– Beata, to nie jest takie proste ukryć zwłoki, i to w dodatku w piwnicy cudzego domu. Nawet milicjant miałby z tym problem. Poza tym twoja wersja wydarzeń stoi w sprzeczności z opowieścią Anny Dietrich. Co z tym zamordowanym Żydem? Sądzisz, że nigdy nie istniał? Myślisz, że pani Anna nas oszukała, a ją z kolei oszukał Karl? Tylko po co pół wieku temu opowiadał żonie zmyśloną historyjkę o tym, że jego dziadek zabił uciekiniera ze Stutthofu? Rozumiem jeszcze te bajki o pomaganiu więźniom, o ich karmieniu i takie tam, ale dziadek mordujący Żyda? Bez sensu. A te duże ubytki w uzębieniu? To bardziej pasuje do więźnia niż do byłego dyrektora drukarni.

Marcin mówił do rzeczy; nawet nie próbowałam z nim polemizować. Nie dysponowałam kontrargumentami. Żeby choć jeden dowód na poparcie mojej tezy... Szkoda, że nie zapytałam pani Anny, czy jej syn nie miał problemów z zębami. A może zadzwonić? Spojrzałam na komórkę. W kontaktach odnalazłam numer. Tylko jak jej wytłumaczyć zainteresowanie uzębieniem Staszka? Ona nie jest głupia, domyśli się, że może chodzić o ewentualną identyfikację. Nie powinnam jej niepokoić.

Zapatrzyłam się na rozświetloną rafinerię. Niezwykły widok, kosmiczny. Iluminacja przywodząca na myśl konstrukcje ze świata science fiction, gigantyczny plac zabaw dla wielkich robotów. Marcin również zagapił się i zwolnił.

– Zadzwoni do Kaśki i zapytaj, co ekspertyza mówi o czasie pogrzebienia zwłok – powiedział zniechęcony.

Miał rację. Opinia lekarza sądowego mogła potwierdzić lub wykluczyć moją tezę. Wybrałam numer, ale bez efektu. Kaśka oddzwoniła po kwadransie.

– Jak długo te zwłoki leżały w piwnicy? – zapytałam bez wstępów.

– Powiedz mi lepiej, kto według ciebie został zamordowany – usłyszałam zamiast odpowiedzi. – Napisałaś, że już wiecie. Ja też muszę to wiedzieć już teraz. Chcę wiedzieć.

– Zaraz ci powiem, ale najpierw...

– To jest mój dom i mój szkielet! – przerwała mi z pretensją w głosie. – Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

Rozumiałam tę niecierpliwość. Sama przed godziną nie mogłam się doczekać, aż pani Dietrich wyjawi tożsamość nieboszczyka.

– Okej, już mówię. Wyobraź sobie, że wracamy teraz z Gdańska, od mamy Stasia. Dostaliśmy namiary na nią z fundacji Itaka. W ogóle nie była zaskoczona

znaleziskiem. Wiedziała. Ten szkielet przeleżał pod schodami prawie siedemdziesiąt lat. To podobno więzień ze Stutthofu, uciekinier. Ponoć zabity przez dziadka Karła.

– Przecież to bzdura! Jedna wielka bzdura! Ta stara was oszukała!

Usłyszałam głośny, przeciągły śmiech. Kaśka wie, co mówi, zna przecież ekspertyzę!

– Powiedz mi zatem, jak długo... – poprosiłam.

– Żadne siedemdziesiąt lat – powiedziała dobitnie.

– A ile?

– Prawie o połowę krócej. Czterdzieści.

– Czterdzieści? – powtórzyłam zaskoczona.

Przecież Staszek zaginął dwadzieścia siedem, a Felek Iwiński pięćdziesiąt jeden lat temu! Miałam wrażenie, że mam przed sobą równanie matematyczne ze zbyt wielką liczbą niewiadomych.

– Co jeszcze jest w tej ekspertyzie? – zapytałam.

– Ten facet miał około trzydziestki pięć, może czterdziestki. Zginął od uderzenia ciężkim narzędziem w tył głowy. I miał tylko sześć zębów.

W jadącym przed nami samochodzie zamigotał kierunkowskaz. Marcin przyhamował.

– Nie rozumiem, dlaczego pani Anna opowiedziała nam tę bajeczkę o uciekinierze z obozu – powiedział, gdy się rozłączyłam. – Tutaj coś nie gra.

Wrzuciłam komórkę do torebki. Dzisiaj nie miałam już siły się zastanawiać.

ROZDZIAŁ XI

Kaśka powoli przesuwiała dłonią w czarnej rękawiczce po ramieniu Konrada. Jej rude włosy, targane wiatrem, co chwila uderzały go w twarz. Chyba mu nie przeszkadzały, bo nie odsunął się nawet o krok. Stali naprzeciwko, niemal pierś w pierś. On coś do niej mówił; domyśliłam się, że prawi jej komplementy. Kaśka ujęła go pod ramię i ruszyli w stronę zwirowej drogi. Miałam ochotę pójść z nimi, ale nie kwapili się z propozycją. Przed kilkunastoma minutami moja przyjaciółka zgasła papierosa i oznajmiła, że chętnie by się przeszła. Spojrzała przy tym znacząco na Konrada. Miałam już powiedzieć, że to dobry pomysł i że z przyjemnością się przyłączę, nie zdążyłam jednak otworzyć ust. Kaśka wyszła z pokoju, on za nią.

– Na razie – powiedział w drzwiach.

Widziałam teraz przez okno, jak się oddalają, idąc bardzo blisko siebie. Zazdrościłam im tej bliskości. Marcin przystanął za mną i objął mnie w pasie.

– Pojedziesz ze mną do Stegny? – zapytał.

– Do Stegny? Po co?

– Będę fotografował polichromię. Ten księżulek pozwolił mi użyć lampy.

Wzdrygnęłam się na myśl, że miałabym spędzić godzinę w zimnym kościele na niewygodnej ławce. Tylko bym przemarzła i się wynudziła. Pokręciłam przecząco głową.

– Wiesz, że w tym kościółku modlił się Jan Długosz? – zapytał Marcin, próbując mnie zachęcić.

– Długosz? Niemożliwe. Kościół wybudowano w siedemnastym wieku, a on żył jakieś dwieście lat wcześniej.

– Aleś ty drobiazgowa! Dwieście lat w tę czy w tamtą... Co za różnica?

Pocałował mnie w ucho i odsunął się.

Właśnie. Dwieście lat, co to za różnica? Dlaczego tak bardzo ufamy datom i wierzymy w precyzję obliczeń? Przecież nie ma nic bardziej zwodniczego niż liczby. Czy więc powinnam ślepo ufać tym podanym w ekspertyzie?

Marcin wyszedł z domu, a ja wzięłam się do robienia obiadu. Spory kawałek schabu natarłam pieprzem i solą, mocno skropiłam sokiem z ananasa i odstawiłam na godzinę do lodówki. Miałam czas, żeby napisać do córki. Włączyłam laptopa. Gabrysia była dostępna na GG. Ze zdumieniem przeczytałam umieszczony przez nią opis:

„Oko za oko, ząb za ząb. Tylko czemu dupa za pieniądze?”.

„Kochanie moje, co ma oznaczać ten opis?”, zapytałam. „Czy to efekt jakiegoś przykrego doświadczenia? Mam wrażenie, że w twoim życiu dzieje się coś niedobrego. Proszę, napisz mi wszystko, nie oszczędzaj starej matki. Zapewne interesuje cię, co z naszym szkieletem. Czy uwierzysz, że widziałam się z mamą Stasia? Tak, kochanie, z Anną Dietrich. To urocza osoba i niestety bardzo samotna.

Powiedziała nam coś ciekawego: że w piwnicy został pochowany uciekinier ze Stutthofu. Już widzę twoją zdziwioną minę! Sama byłam zaskoczona. Rzekomo Karl miał pomóc jakiemuś Żydowi w ucieczce i dać mu schronienie w domu swoich rodziców. Potem jednak w sprawę włączył się dziadek Karla, który Żyda zabił, a zwłoki zakopał w piwnicy. Jakoś trudno mi uwierzyć w bezinteresowność Karla. Może miał on jakiś interes w tym, aby wydostać obcego człowieka z obozu? Może ten Żyd był przed wojną bankierem, kolekcjonerem dzieł sztuki albo kimś takim? Jeżeli w ten sposób spojrzymy na całą sprawę, historia wydaje się nieco bardziej prawdopodobna, choć wciąż mam wątpliwości. Zwłaszcza że ekspertyza lekarza sądowego stwierdza, iż zwłoki leżały w ziemi zaledwie czterdzieści lat. Więc nie jest to uciekinier z obozu, zatem kto?

Moja aktualna wersja tożsamości szkieletu, choć również pozostająca w sprzeczności z opinią patologa: kości należą do Stasia. Tak, tak, kochanie. Pisałam ci, że on zaginął, ale nie wspominałam, że bywał w Sztutowie u kochanki. Mąż tej kobiety podobno mu groził śmiercią. No ale sprawa zaginięcia jest stosunkowo świeża, nie minęło od niej jeszcze trzydzieści lat. Wszystko to jakieś pogmatwane. Napisz, co o tym sądzisz. Buziaczki”.

Wysłałam wiadomość i przez kilka minut siedziałam nieruchomo, czekając na odpowiedź. Bez skutku. Zaczęłam krążyć po pokoju, od kominka do okna, od okna do lustra. Deski skrzypiały pod stopami. Dwie muchy latały po pokoju, brzęcząc głośniejsze niż dotychczas. Nie potrafiłam sprecyzować, co jest źródłem mojego niepokoju: czy wciąż nierozwiązana zagadka szkieletu, czy może milczenie Gabrysi?

Wyjęłam schab z lodówki, zawinęłam go w folię aluminiową i wstawiłam do piekarnika. Przystąpiłam do robienia surówki. Starłam na tarce seler i marchewkę, dodałam jogurt i rodzynki. Po chwili namysłu wkroiłam jeszcze dwa plastry ananasa w kawałkach. Chyba Konradowi będzie smakowało?, pomyślałam. Kaśka zapewne zaprosi go na obiad. Przyjechała tylko ze względu na niego, a dostarczenie ekspertyzy było jedynie pretekstem. Mogła przecież przysłać zeskanowany dokument pocztą elektroniczną.

Spojrzałam na monitor. Gabrysia nie odpowiedziała. Usłyszałam bicie zegara i odruchowo policzyłam uderzenia. Piętnasta. Kaśka i Konrad spacerują już ponad półtorej godziny! Długo. Przyłożyłam czoło do zimnej szyby i wyteżyłam wzrok. Nie było ich widać. Czyżby zaprosił ją do siebie i teraz spędzają czas na pieszcotach? Bardzo możliwe. Wyobraźnia podsunęła mi obraz Konrada wtulonego w piersi mojej przyjaciółki. Tak, byłam zazdrosna! O każde spojrzenie, każdy gest.

Komunikator piśnięciem poinformował mnie o nadejściu wiadomości. Od Gabrysi!

„Mamuniu, tym nowym opisem to się nie przejmuj, bo to konsekwencja mała

ważnego zdarzenia. Nie warto wspominać, ale jak cię znam, chciałabyś wiedzieć, więc napiszę. W ostatnią sobotę w klubie studenckim pewien dupek zaproponował, że jak mu «dam», to on mi zapłaci sto euro. Posłałam go na drzewo banany prostować. Co o tym myślisz? Było nie było setka przeszła mi koło nosa... A skoro już wypłynął temat kasy, mam prośbę. Czy mogłabyś dzisiaj przelać na mój rachunek ze cztery stówki? Rano sprawdziłam stan konta i nieco się przeraziłam. Myślałam, że ktoś mnie okradł, ale zaraz przypomniałam sobie, że dwa tygodnie temu zapłaciłam kartą za śliczne kozaczki, ciemnofioletowe, przepiękne! Też będą ci się podobać.

A wracając do szkieletu: zadzwoniłam do koleżanki, która jest na trzecim roku medycyny, i zapytałam, jak to jest z rozkładem zwłok. Dała mi numer telefonu do pewnej młodej pani patolog. No i właśnie przed chwilą skończyłam z nią rozmawiać. Dowiedziałam się, że ustalenie czasu zejścia jest bardzo trudne, bo czas rozkładu ludzkiego ciała zależy od wielu czynników: od rodzaju gleby, poziomu wilgotności, temperatury, nawet od tego, w co zwłoki były ubrane. Mamuniu, pamiętasz, jak rok temu we Wszystkich Świętych byłam w Krakowie? Udało nam się wtedy zwiedzić podziemia klasztoru Ojców Reformatorów. Widziałam tam ciała w prawie nienaruszonym stanie, dwustu- i trzystoletnie. Niesamowite. A wydawałoby się, że powinny z nich pozostać jedynie gołe czaszki i kilka piszczeli. Cóż, specyficzny mikroklimat i mumia gotowa... Dotąd myślałam, że proces gnilny, prowadzący do zeszkielewania, oraz mumifikacja są jedynymi zachodzącymi w zwłokach. Myliłam się. Pani patolog uświadomiła mi, że nieboszczyk przeobraża się wskutek reakcji tłuszczowo-woskowych, a także torfowych. Na szczęście darowała sobie szczegóły. Opowiedziała mi za to o trupiej farmie. Tak, tak, mamuniu. Założył ją w USA w 1971 roku pewien profesor antropologii. Obecnie znajduje się tam sto pięćdziesiąt zwłok w różnym stanie rozkładu. Jedne są zakopane, inne leżą na powierzchni ziemi bądź w wodzie, jeszcze inne zamknięto w samochodach albo umieszczono w szklarni. Ciała ubrane i nagie, i poprzykrywane różnymi materiałami, jak choćby folią. Wszystko po to, aby zaobserwować procesy rozkładu w zależności od czynników zewnętrznych. Prawda, że to niesamowite przedsięwzięcie? Pani patolog powiedziała, że ta farma to krok milowy dla medycyny sądowej. Mogą tam wchodzić wyłącznie naukowcy i studenci; zwykłym śmiertelnikom przeszkadza płot i drut kolczasty. Sądzę, że gdyby sprzedawano bilety wstępu do tego makabrycznego miejsca, nie zabrakłoby chętnych... Podobno kiedyś włamało się tam kilku wędkarzy, których skusiły larwy żerujące na ciałach. Obrzydliwość!

Jeśli chodzi o wasze znalezisko: pani Kasia, zlecając ekspertyzę, na pewno musiała wypełnić stosowny formularz. I prawdopodobnie tam podała, że szczątki znaleziono w piwnicy. To była główna przesłanka dla patologa, który ustalał czas przebywania zwłok pod ziemią. W ekspertyzie podał przypuszczalny czas, co nie

wyklucza możliwości, że nieboszczyka zagrzebano równie dobrze trzydzieści lat wcześniej, jak dekadę później. Reasumując: mamuniu, właścicielem kości mógł być zarówno żydowski uciekinier, jak i Staś. Informacja najistotniejsza: szkielet musiał leżeć pod schodami przynajmniej piętnaście lat, bo tyle musi upłynąć czasu, żeby w piwnicznych warunkach z ciała pozostały nagie gnaty. Przykro mi, że tymi informacjami niczego nie doprecyzowałam, choć taki miałam zamiar. Szkoda, że ten kościotrup nie miał medalika z wygrawerowaną datą, imieniem i nazwiskiem, co znacznie ułatwiłoby identyfikację... Cóż, morderca zwykle pilnuje, aby taki dowód nie zachował się przy corpus delicti. Mamuniu, już nie mogę się doczekać, kiedy wrócisz. Pozdrawiam. Buziaczki dla ciebie i Marcina”.

Usłyszałam otwieranie drzwi i podniosłam się z krzesła. Kaśka i Konrad powrócili ze spaceru. Roześmiani, rozpromienieni. Patrzyłam na przyjaciółkę, zastanawiając się, co się zmieniło w jej twarzy, i po chwili dotarło do mnie, że na jej ustach nie ma ani grama pomadki. Bez słowa odwróciłam się i ruszyłam w stronę kuchni, słysząc za plecami kroki obojga.

Cięzka, apetyczna woń pieczonego mięsa wypełniała całe pomieszczenie. Otworzyłam piekarnik i rozejrzałam się za rękawicą. Leżała na krawędzi zlewu. Nie zdążyłam sięgnąć, Kaśka była pierwsza. Wsunęła w nią smukłą dłoń i wyjęła schab. Powinnam być jej wdzięczna, jednak poczułam irytację na widok zgrabnych pośladków, wypiętych w stronę Konrada. Pokroiłam mięso, nie docinając go do końca, w nacięcia włożyłam kawałki ananasa, posypałam wiórkami z masła, okryłam folią i ponownie wstawiłam do piekarnika. Nie wypięłam przy tym pupy. Przykucnęłam.

– Będzie gotowy za dwadzieścia minut – powiedziałam.

Konrad opierał się o kredens. W jasnozielonej koszuli i dżinsach wyglądał bardzo młodo. Ile on może mieć lat?, zastanowiłam się. Dwadzieścia pięć? Równie dobrze o dziesięć więcej. Ciekawe, czy Kaśka mu powiedziała, że ja za kilkanaście miesięcy będę świętować czterdziestkę? I że mam dorosłą córkę.

Do kuchni wszedł Marcin, ze statywem i aparatem fotograficznym.

– Jak tu pachnie, jak smakowicie! – powiedział od progu. – Co to? Jakaś pieczeń? Jaki ja jestem głodny! Zjadłbym konia z kopytami.

– Musi ci wystarczyć wieprzowina – odparłam.

Gapiałam się na własnego męża, nie mogąc uwierzyć, że wcale nie jest tak przystojny, jak sądziłam do tej pory. Moje oko jakby się wyostrzyło i zaczęło rejestrować niewidoczne dotąd szczegóły. Mocno przerzedzone włosy nad czołem; jeszcze rok, dwa, a będzie łyсы. Podwójny podbródek. Skąd on się wziął? Przecież Marcin jest szczupły. Przesunęłam wzrokiem po jego sylwetce. Już nie była szczupła. Brzuch wylewał się ze spodni...

Podzieliłam schab na cztery równe części i nałożyłam na talerze. Sałatkę z selera podałam w małych miseczkach. Gdy usiedliśmy do stołu, Kaśka zwróciła

się do Konrada:

– Jest może w Sztutowie jakaś solidna ekipa remontowa? Szukam kogoś, kto naprawi posadzkę w mojej piwnicy.

– Możesz przestać. Ja się tym zajmę. Nie takie rzeczy robiło się w Irlandii.

– Kurczę, mógłbyś, naprawdę? – zawołała entuzjastycznie. Jak nastolatka. Marcin chyba wyczuł zagrożenie.

– Mogłaś powiedzieć wcześniej – powiedział z wyrzutem. – Już dawno bym się tym zajął.

– Ty jesteś tutaj na urlopie. Nie chciałam zawracać ci głowy – wyjaśniła.

– No wiesz, w końcu to moja wina. Powinienem teraz naprawić albo przynajmniej zapłacić...

Głośny śmiech Kaśki, dźwięk odkładanych na talerz sztuców, Marcin, niosący kolejny kawałek mięsa do ust, i wpatrzony we mnie Konrad. Siedzi naprzeciwko, więc nic dziwnego. Rozpięte mankiety przy koszuli i jeszcze dwa guziki pod szyją. Pasuje mu ten swobodny styl, zielony kolor również. I jeszcze te rozwichrzone włosy! Nie przejmuję się tym, żeby po zdjęciu czapki przyglądać fryzurę... I dobrze.

Przeniosłam wzrok na Kaśkę. Wodziła palcem wzdłuż głębokiego dekoltu kremowego sweterka. Znów uwodziła, chyba nieświadomie. Ona po prostu ma to we krwi.

– Opowiedziałam w pracy o tym kościotrupie. I wiecie, co na to moja sekretarka? Ta kretynka stwierdziła, że po czymś takim sprzedałaby dom. W ogóle wszyscy mi bardzo współczują, jakby nie wiadomo co się stało. Sztywniacy i tyle. Ja im mówię, że to dom z historią, z przeszłością, a oni na mnie patrzą, jakbym psychiczna była. To ja jeszcze specjalnie, żeby im oczy na wierzch wyszły, mówię, że czaszkę i dwa piszczele z tego kościotrupa przybiję do drzwi wejściowych. Sekretarka uwierzyła. Kurczę, że też muszę z nią pracować! No ale właśnie chodzi o to, że muszę. Wcisnął mi ją kierownik od controllingu.

– Controlling? A co to takiego? Jakaś kontrola? – zainteresował się Konrad.

– Kontrola? Trochę tak, bo w końcu nadzoruje plany finansowe. Ale również je tworzy.

– To dlaczego nie jest kierownikiem od planów finansowych, tylko od tego, hm, controllingu?

– Nieważne, jak się nazywa, ważne, jak pracuje. Jeśli chcesz, możesz zostać głównodowodzącym do spraw róż i innych krzewów.

Pod stołem Konrad skrzyżował stopy za moją łydką, tak że nie byłam w stanie uwolnić nogi. Poczułam, że się czerwienię, więc wbiłam wzrok w leżący na talerzu kawałek schabu. Byłam zła na siebie, że zachowuję się jak podszczyrywana przez rówieśnika trzynastolatka.

– A ty, Beata? Jesteś fryzjerką czy może specjalistką do spraw kontroli

włosów? – zapytał i ścisnął mocniej moją łydkę.

Podniosłam oczy znad talerza i zobaczyłam szeroki uśmiech. Dobrze się bawił, drań, w przeciwieństwie do mnie! Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Mnie tam wszystko jedno – mruknęłam pod nosem.

Próbowałam jeść i słuchałam, jak Konrad i Marcin umawiają się na wspólną robotę w piwnicy.

– Trzeba będzie dokupić cegieł – powiedział mój mąż.

– Nie trzeba. Przywożę od siebie, mam trochę zbędnych.

– Zaczynamy jutro, zaraz po powrocie z wycieczki kutrem.

Poruszyłam nogą, próbując wydostać ją spomiędzy łydek Konrada. Ścisnął mocniej. Położyłam sztucę na talerzu i wyprostowałam plecy.

– Teraz kawa – zaproponowałam, odsuwając krzesło.

Puścił. Zebrałam talerze i podeszłam do zlewu.

– Ej, kawusia! Robisz wyjątkową. Miałem przyjemność próbować. Gorąca. I kubek też – powiedział Konrad niskim, zmysłowym głosem.

Zaczerwieniłam się aż po korzonki włosów. Dobrze, że stałam tyłem. Żeby tylko temu wariatowi nie przyszło do głowy wyjawić, gdzie trzymałam kubek!

Usłyszałam szuranie krzesła.

– To ja wybywam. Kawusię wypiję innym razem – oznajmił Konrad.

– Nie uciekaj, zostań! – zawołała Kaśka.

– Nie mogę. Muszę nakarmić Osła, to znaczy mojego psa. Uparty zwierzak, jak osioł.

Wyszli oboje, Kaśka i Konrad. Z korytarza dobiegły mnie rozbawione głosy.

– Co ona w nim widzi? – zdziwił się Marcin.

– Jest przystojny – powiedziałam.

– Taki sobie. Niedokładnie ogolony, zauważyłaś? I ma przydługie włosy. To zauważyłaś na pewno.

Mój mąż dostrzegał zainteresowanie byłej dziewczyny innym mężczyzną, ale zainteresowania własnej żony już nie! A może wolał to przemilczeć?

Kaśka wróciła do kuchni już bez szerokiego uśmiechu, bez kusząco wypiętego biustu.

– Kurczę, chyba zatrudnię Konrada na lato... – powiedziała, gdy Marcin zostawił nas same.

– On latem wyjeżdża do pracy na Wyspy – oznajmiłam.

Otwierałam szafkę za szafką w poszukiwaniu czekoladowych pierników. Nie pamiętałam, gdzie je wrzuciłam. W końcu znalazłam ciastka w szufladzie, obok młotka.

– Nie wyjedzie, bo u mnie zarobi więcej. Ta inwestycja powinna mi się opłacić. Jak myślisz? – zapytała i kontynuowała z uśmiechem: – Kurczę, on jest taki inny, nie uważasz? Nieokrzesany, pełen spontan. Uroczy, naprawdę. Mam już dosyć tych

sztyniaków w garniturach, z IQ pod sufitem, tych menedżerów i wszelkiej maści specjalistów. Beata, żebyś ty wiedziała, jacy oni wszyscy są nijacy i nudni! Koszmar! Tylko o pieniądzach, walutach i transakcjach. U nas nie ma mężczyzn, u nas są finansiści. Smutne. Umieram z nudów na tych wszystkich naradach. Szkoda, kurczę, że nie mogę wziąć kilku miesięcy urlopu. Zjechałabym tutaj i pobyła z Konradem.

Ustawiłam kawę i ciastka na tacy.

– Idziemy – zakomenderowałam stanowczo.

Marcin siedział przed laptopem. Na monitorze zobaczyłam wnętrze kościoła. Postawiłam tacę na stole.

– I co, zdjęcia wyszły? – zainteresowałam się.

– Sama zobacz – powiedział, pokazując kolejne fotki.

Patrzyłam na barokowe wnętrza, ale myślałam o liście Gabrysi na GG. Moje nikłe przeczucie i nieufność w kwestii ścisłości ekspertyzy okazały się słuszne. Opinia na temat czasu popełnienia morderstwa nie była miarodajna. Ofiarą mógł być każdy: uciekinier z obozu, Felek Iwiński i Staś. Teraz należało zrobić tylko jedno – wyeliminować z tego grona Stasia albo potwierdzić, że to on. Identyfikacja genetyczna jest możliwa, ale niestety wymaga czasu, a ja chciałam wiedzieć natychmiast. W tej chwili tylko pani Anna Dietrich mogła nieco rozwiać moje wątpliwości.

Z komórką w ręku weszłam do sypialni. Usiadłam pod piecem i wybrałam numer. Gdy po drugiej stronie podniesiono słuchawkę, przedstawiłam się.

– Pani Anno, dzwonię, żeby raz jeszcze podziękować za spotkanie – powiedziałam.

– Jezusieńku, to pani! Cieszę się, że panią słyszę, bo do mnie już nikt nie dzwoni, od dawna. Zupełnie nikt.

Jej odpowiedź na przygotowane w mojej głowie pytanie mogła wiele wyjaśnić, ale czułam, że to jeszcze nie jest odpowiednia chwila, żeby je zadać. Najpierw powinienam skierować rozmowę na odpowiedni temat.

– Pani Anno, cieszę się, że panią poznałam – mówiłam. – Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będziemy miały okazję pogawędzić sobie przy kawie, najlepiej tutaj, w Sztutowie. Ten dom jest piękny, taki stary, drewniany. Znakomicie się w nim czujemy z mężem...

– Tylko mój Staszek zepsuł wam trochę urlop tym listem... No i jeszcze te szczytki. Spokoju to nie mieliście.

– Pani Anno, ja bym nie powiedziała, że zepsuł nam urlop. Raczej sprawił, że pobyt tutaj będziemy długo pamiętać. Ale niemiłe jest coś innego...

– Pogoda?

– Nie, nie pogoda. Bolący ząb. Dokucza mojemu mężowi od paru dni. Wysłałam go do dentysty, gdzieś tutaj, ale on nie chce. Jęczy, kwęka, marudzi.

Zwyczajnie się boi, jak to facet. Myślę, że pani coś wie o tych męskich lękach przed wiertłem i przed strzykawką.

– O, tak! Staszek okropnie bał się igły.

Rozmowa toczyła się po mojej myśli. Nie sądziłam, że pójdzie tak gładko. Mogłam zadać pytanie, nie wzbudzając podejrzeń.

– A dentysty też się bał?

– Jak był dzieckiem, to tak, ale potem to się chyba przyzwyczyił. Oj, ten mój Staszek! Ile on się koniaków i wódek nawoził do stomatologa! Kupował te alkohole w Peweksie, czekolady też. Żeby to choć coś dało, ale gdzie tam! Ten konował wyrwał mu prawie wszystkie zęby.

Cel został osiągnięty, mogłam zakończyć rozmowę. Mimo to mówiłam, opowiadając staruszce, jak teraz wygląda jej dawny dom. Sensownie i starannie dobierałam słowa, nie opuszczało mnie jednak wrażenie, że ta część dialogu toczy się bez udziału mojej świadomości. Mój umysł był skoncentrowany zupełnie na czym innym, a mianowicie na dużych ubytkach w uzębieniu Stasia.

Gdy wróciłam do pokoju, w kominku trzaskał ogień. Z głośników małego radia płynęły dźwięki saksofonu. Kaśka napełniała trzy kieliszki bursztynowym płynem.

– To koniak – powiedziała, podsuwając mi pod oczy smukłą butelkę.

– Muszę wam coś powiedzieć – oznajmiłam poważnie.

Marcin odwrócił się od laptopa, Kaśka znieruchomiała z butelką w wyciągniętej ręce. Patrzyli wyczekująco.

– Przed chwilą rozmawiałam z Anną Dietrich. Powiedziała, że jej syn prawie wcale nie miał zębów. I co wy na to, ja się pytam?

Marcin oparł brodę na dłoni, Kaśka odstawiła butelkę na kredens. Oboje milczeli.

– To znaczy, że ten szkielet może należeć do Stasia – powiedziałam powoli i dobitnie.

– Ale przecież ekspertyza...

– W ekspertyzie podany jest czas przypuszczalny – przerwałam Marcinowi. –

Dokładne ustalenie, jak długo zwłoki przebywały w ziemi, jest niemożliwe. Słyszycie? Nie-moż-li-we. Pewne jest tylko to, że one leżały tam przynajmniej piętnaście lat, bo tyle czasu potrzeba, aby pozostał sam szkielet. Wiem to od Gabrysi, a ona z kolei od zaprzyjaźnionej lekarki.

– A co z opowieścią pani Anny o uciekinierze z obozu? Uznajemy, że to bajka? – zapytał Marcin.

– Nie, nie bajka. To znaczy... Myślę, że pani Dietrich po prostu uwierzyła w usłyszaną od męża historię, choć ta nie musiała być prawdziwa. Karl mógł ją wymyślić...

– ...żeby miała go za przyzwoitego Niemca – dokończyła Kaśka.

– Dlaczego nie wymyślił czegoś innego, prostszego? – Marcin miał wątpliwości.

– Nie wiem, ale to teraz nieważne – odparłam. – Ważne, że Staszek zniknął pewnego dnia, a wcześniej mąż Sabiny groził, że go zabije. No i te zęby. Ubytki, o których mówi ekspertyza.

Płomienie w kominku trzaskały coraz głośniej. Kaśka, z kieliszkiem w ręce, usiadła w fotelu. Przerzuciła nogę przez poręcz.

– Tak, DNA... Tylko DNA da nam odpowiedź. Zlecę kolejną ekspertyzę. Materiał porównawczy na szczęście będzie, bo chyba pani Anna się zgodzi? Jak sądzicie? A gdyby się nie zgodziła, to jest jeszcze identyfikacja stomatologiczna. Chociaż trochę lat minęło...

W głosie mojej przyjaciółki pojawił się dobrze mi znany ton, wskazujący, że Kaśka jest poruszona, wręcz zaintrygowana. Sprawa szkieletu wciągała ją na nowo, chyba nawet z większą siłą. Marcin, przeciwnie, miał już dosyć.

– Dajmy już temu spokój – powiedział, nie patrząc na nas.

– Kiedy następuje przedawnienie morderstwa? – zapytałam, ignorując go.

– Po dwudziestu pięciu latach – odparła Kaśka, ale zaraz dodała: – Mogę się mylić.

– Sprawdź to w necie – poprosiłam męża.

Odstawiłam pełny kieliszek na brzeg stołu i zaczęłam krążyć po pokoju. Zatrzymałam się dopiero, gdy Marcin zaczął czytać w sieci paragrafy:

– „Art. 101.1. Karalność przestępstwa ustaje, jeżeli od czasu jego popełnienia upłynęło lat: 1) 30 – gdy czyn stanowi zbrodnię zabójstwa, 2) 20 – gdy czyn stanowi inną zbrodnię”.

Kaśka podniosła się z fotela i dołała sobie koniaku.

– Kurczę! To znaczy, że jeżeli to Staś został zamordowany, morderstwo jeszcze się nie przedawniło – powiedziała, po czym uniosła kieliszek w toaście: – Za posłanie mordercy do pierdła, kimkolwiek jest!

W mojej głowie trwała gonitwa myśli. List Stasia sprzed pięćdziesięciu lat, prośba o pochówek w poświęconej ziemi. Czym był? Żartem? Przeczuciem? Jak to możliwe, że chłopiec przewidział miejsce swego wiecznego spoczynku w piwnicy? Stop! Zapędzam się. Najpierw identyfikacja genetyczna szczątków. Przecież to wcale nie musi być on.

– Trzeba powiedzieć pani Annie o naszych podejrzeniach. Tego się nie da uniknąć – oznajmiłam.

Marcin wstał od laptopa. Jak ja dobrze znałam to pochylenie ramion, te ściągnięte brwi i przymrużone oczy! Chciał, żebym odpuściła dalsze śledztwo. Stał przy oknie, plecami do nas.

– Ta kobieta żyje nadzieją, że jej syn wróci – powiedział cicho. – No i co, zamierzacie jej ją odebrać?

– Martin, przestań – zareagowała Kaśka. – Przecież Stasiowi należy się normalny pochówek. Kurczę, taka w końcu była jego ostatnia wola. No, może nie ostatnia. Tak czy inaczej, chciał tego. I co, mamy mieć jego list w dupie i pochować go jako NN?

Rozejrzałam się za kluczykami od auta. Na kredensie, gdzie zwykle leżały, ich nie było.

– Gdzie są kluczyki? – zapytałam.

– W mojej kurtce – odparł Marcin.

Wzięłam torebkę i skierowałam się do drzwi.

– Dokąd jedziesz? – zapytała Kaśka.

– Do Sabiny, porozmawiać. Może i ona coś powie? Może się z czymś zdradzi?

– Beata, daj spokój! Gdzie będziesz łązić po obcych ludziach!

Ostry głos mojego męża zatrzymał mnie w miejscu. Popatrzyłam z wyrzutem. Dobrze wiedział, że nie lubię takiego tonu. Wiedział też, że ojciec Gabrysi omal nie przypłacił życiem codziennych wrzasków wprost do mojego ucha. Marcin zreflektował się szybko.

– Nawet jeżeli to mąż Sabiny zabił Staszka, nawet jeżeli ona coś na ten temat wie... – ciągnął spokojniej. – Czy naprawdę myślisz, że wszystko wyjawি zupełnie obcej osobie? Jak zamierzasz ją przekonać, żeby w ogóle z tobą porozmawiała, żeby wpuściła cię do domu? Bądź rozsądna!

Racja. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przyzna się do morderstwa ani nie wyda najbliższych członków rodziny, nawet byłego męża. Ale być może upływ czasu sprawił, że Sabina nabrała dystansu do sprawy. Niewykluczone, że zaskoczona pytaniami zacznie mówić, zwyczajnie się usprawiedliwiać.

– Słuchajcie, tak czy inaczej pojedę do tej kobiety. Jeżeli niczego się nie dowiem, to trudno, pozostanie nam jeszcze badanie DNA. Zresztą i tak trzeba będzie je zrobić, niezależnie od tego, czego się dowiem.

Wyszłam z pokoju. Kaśka wybiegła za mną.

– Ja też jadę! – zawołała.

– Ty zostań z Marcinem. W cztery oczy Sabina powie mi więcej – oznajmiłam i wyszłam na ganek.

Niesione wiatrem ostre płatki mokrego śniegu uderzyły mnie w twarz. Postawiłam kołnierz i kuląc się, ruszyłam do samochodu. Zegarek na desce rozdzielczej wskazywał czternaście minut po osiemnastej; miałam nadzieję, że jeszcze nie za późno na wizytę. Jechałam powoli, próbując przypomnieć sobie, co właściwie wiem o Sabinie. Byłam w stanie określić jej relacje z innymi: była córką Kazimierzy Góry, matką pięknej Natalii, była żoną milicjanta, kochanką Staszka. Ponadto atrakcyjną kobietą, przynajmniej kiedyś. Czy coś jeszcze? Chyba tylko to, że szła za głosem serca i nie bała się ludzkich języków, skoro nie próbowała ukryć swojego romansu przed całym światem.

Zaparkowałam przed domem trzech kobiet, tuż obok szarego seata. Światło w oknach wskazywało na obecność domowników. Drzwi otworzyła znana mi już młoda szatynka o bladej cerze. Poznała mnie.

– Przyszła pani do pani Kazi? – zapytała z uśmiechem.

– Tym razem do pani Sabiny – oznajmiłam.

Szatynka wskazała mi pokój na końcu korytarza. Niepewnie przekroczyłam próg. Pani Sabina siedziała na kanapie, tyłem do włączonego i wyciszonego telewizora. Trzymała w dłoniach rozłożoną gazetę, która zasłaniała jej twarz. Znad płachty papieru wystawało wyłącznie wysokie czoło i starannie upięty jasny kok. Chciałam się przywitać, ale struny głosowe na chwilę odmówiły mi posłuszeństwa. Odchrząknęłam. Pani Sabina opuściła gazetę i popatrzyła na mnie zaskoczona. Odchrząknęłam ponownie.

– Nazywam się Beata Kuźnicka – powiedziałam. – Przepraszam, że zakłócam pani spokój, ale przychodzę w ważnej sprawie.

– W jakiej sprawie? A w ogóle kim pani jest? – zapytała lekko zachrypniętym głosem.

– Chciałam porozmawiać o Stanisławie Majewskim...

Między brwiami pani Sabiny pojawiła się pionowa zmarszczka. Duże błękitne oczy wydawały się nieruchome, bez wyrazu.

– Kim pani jest? – powtórzyła pytanie.

– Spędzam w Sztutowie urlop. W domu, w którym niedawno odkopano szkielet w piwnicy. Może pani słyszała?

– Owszem, słyszałam.

Nie poprosiła, żebym usiadła. Czuałam się niezręcznie, stojąc tak niemal na baczność, jak gimnazjalistka na dywaniku u dyrektora. Chcąc dodać sobie animuszu, usiadłam na krześle i założyłam nogę na nogę.

– Wiem, że kiedyś przyjaźniła się pani ze Stanisławem Majewskim. Zapewne wie pani, że zaginął przed blisko trzydziestoma laty. Poszukuję go na prośbę jego matki Anny. Pani Dietrich może pani nie pamiętać, bo ona wyjechała ze Sztutowa, gdy pani była jeszcze dzieckiem. Czy może mi pani powiedzieć, kiedy po raz ostatni widziała się pani ze Stanisławem Majewskim i jakie były okoliczności tego spotkania?

Próbowałam wciągnąć kobietę w rozmowę. Chciałam, żeby na początek powiedziała cokolwiek. Dlatego mówiłam dość oficjalnie, jak ankieterka, której trzeba odpowiedzieć, bo inaczej się nie odczepi.

Pani Sabina powoli złożyła gazetę i odłożyła ją na niski stolik.

– Niestety, nie mogę pani pomóc – odparła uprzejmie. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam Stanisława Majewskiego.

Kolejne pytanie, także utrzymane w oficjalnym tonie, jakbym odczytywała je z kartki.

– Stanisław Majewski przyjeżdżał do Sztutowa po produkty spożywcze w stanie wojennym. Czy wówczas pani się z nim widywała?

– Nie przypominam sobie.

Między jej głosem a rękami zapanował wyraźny dysonans. Głos wciąż pozostawał opanowany, z kolei dłonie były niespokojne, ruchliwe. Lewa szarpała za frędzle poduszki, prawa zaś ścisnęła nerwowo poręcz kanapy.

– Świadkowie mówią, że widzieli panią wówczas w jego towarzystwie – zaatakowałam ponownie.

– Jacy świadkowie? I czego pani od nas chce? Ode mnie, od mojej matki i córki? Nachodzi nas pani i zadaje te dziwne pytania. Moją starą matkę wypytuje pani o lata wojny, o obóz, o Karla Dietricha. Przekupiła ją pani jakimś bursztynowym krzyżykiem. Po co pani to robi?

Otwartą dłoń uderzyła w poręcz kanapy. Już nie była spokojna. Przestraszyłam się, że zaraz mnie wyprosi. Porzuciłam oficjalny ton.

– Pani Sabino, ja tylko próbuję pomóc matce, która od wielu lat poszukuje syna – zaczęłam łagodnie. – Sama mam córkę i jestem w stanie wyobrazić sobie, co oznacza nie wiedzieć, gdzie się podziewa dziecko przez tyle lat. To straszne. Pani Anna jest już w podeszłym wieku. Chciałaby przed śmiercią poznać prawdę, nawet najstraszniejszą.

Na szyję gospodyni wypełzły czerwone plamy. Chyba zdawała sobie sprawę z ich obecności, bo położyła dłoń powyżej obojczyków.

– Przykro mi, ale nie mogę pomóc. Nie wiem, gdzie jest Stanisław.

– Ale wtedy, na początku lat osiemdziesiątych, widywała go pani?

Skinęła twierdząco głową.

– Czy pan Majewski wspomniał może, że planuje wyjazd z Polski?

Milczała. Siedziała nieruchomo, jak manekin. Wreszcie jej usta drgnęły.

– Mieliśmy razem wyjechać do Szwecji – wyszeptła. – Ale powiedziałam, że bez Natalki nigdzie nie jadę. Ona miała wtedy trzy latka.

Nie zadałam kolejnego pytania, czekałam. Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi i rozległy się kroki. Oby tylko nikt nam nie przeszkodził!, westchnęłam w duchu.

– Stanisław zgodził się, żebyśmy pojechali we trójkę – ciągnęła pani Sabina, gdy kroki ucichły. – Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, powiedział mi, że miejsce na promie dla Natalki będzie najdroższe, bo podobno z przewożeniem dzieci wiąże się większe ryzyko. A on miał uzbierane czterysta dolarów, za mało. Chciał pożyczyć pieniądze od ojczyma. Tak, od Karla Dietricha – kontynuowała z uśmiechem. – Kto by pomyślał, że esesman, który prześladował podczas wojny i długo po niej moją matkę, będzie pomagał mi i mojej córce w ułożeniu życia na nowo! Byłam przygotowana do wyjazdu, trzymałam w szafie spakowaną torbę, tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Matce miałam powiedzieć tuż przed opuszczeniem

domu. Czekałam na Stanisława każdego dnia, ale on nie przyjeżdżał. Chyba po dwóch miesiącach pojechałam do Gdańska. Poszłam do kiosku, gdzie pracował, ale tam siedziała jakaś kobieta. Nie umiała mi nic powiedzieć o Stanisławie. Udałam się na pocztę i stamtąd zadzwoniłam do niego do domu. Odebrał starszy mężczyzna, prawdopodobnie jego ojczym. Źle go słyszałam, on mnie też. Krzyczałam do słuchawki. Karl coś mówił, powtarzał w kółko te same słowa, ale nie mogłam go zrozumieć. Miałam już odłożyć słuchawkę, gdy usłyszałam, że Stanisława nie ma. Zapytałam, gdzie jest, a Karl odpowiedział, że nie wie. Wracałam do domu autobusem. Pamiętam, że przez całą drogę płakałam. Było dla mnie oczywiste, że wyjechał beze mnie i bez Natalki.

– I tak od razu uwierzyła pani w ten scenariusz? – zapytałam.

– Uwierzyłam. Uznałam, że wystraszył się odpowiedzialności. Pomyślałam też, że nie udało mu się zebrać pieniędzy, więc wyjechał sam. Przez wiele lat myślałam, że mieszka gdzieś w Szwecji. Nie zamierzałam go szukać, ale gdy córka założyła mi konto na Naszej Klasie i zaczęli się odzywać dawni znajomi, pomyślałam, że spróbuję odnaleźć Stanisława. Na portalu go nie było, ale znalazłam informację w googlach. Okazało się, że zaginął. Szukała go jego matka. To mnie zastanowiło. Dlaczego nie powiedział matce, że wyjeżdża? Może nie chciał jej denerwować, a może bał się, że mu nie pozwoli opuścić kraju? A potem dotarło do mnie, że on naprawdę zaginął.

Spojrzałam na ekran telewizora. Właśnie zaczynały się „Fakty”.

– Jak pani myśli, co się z nim stało? – zapytałam.

– Myślę, że trafił na oszustów. Jakiś człowiek miał mu załatwić miejsce na promie „Silesia”. Kim był ten pośrednik? Jak Stanisław do niego dotarł? Nie wiem. Myślę, że to oszust, zainteresowany wyłącznie wyłudzeniem pieniędzy. Może Stanisław zorientował się, że chce go oszukać? Chciał się wycofać, ale mu nie pozwolono? Myślę, że ukradziono mu te dolary i być może zabito. Może w bójce, może przypadkiem? Mogło też być inaczej, mógł zginąć na promie, takie rzeczy też podobno się zdarzały. Kiedyś oglądałam w telewizji reportaż o ludziach uciekających na Zachód na promach właśnie; podczas remontu jakiegoś promu znaleziono dwa ciała, jedno zaspawane w jakiejś rurze. Zaślepił ją marynarze, nie wiedząc, że ukrył się w niej człowiek... Zapewne krzyczał, żeby go wypuszczono, ale przy pracujących maszynach nikt go nie słyszał. To mógł być nawet Stanisław, bo ciała nigdy nie zidentyfikowano.

Rozejrzałam się po pokoju. Mój wzrok zatrzymał się na brązowej torebce, leżącej na szafce. Pasek, splątany z kolorową apaszką, zwisał aż do ziemi. Oświetlał to wszystko mlecznym światłem ozdobny kinkiet z trzema lampkami. Obok kinkietu na ścianie wisiała też duża czarno-biała fotografia w ramce, przedstawiająca panią Sabinę u boku wąsatego mężczyzny. Biała sukienka, garnitur i kwiaty dowodziły, że to ślubny portret. Na chwilę powróciłam myślami do wydarzeń sprzed ośmiu lat,

kiedy po sprawie rozwodowej zgarnęłam z nocnego stolika zdjęcia z byłym mężem i wrzuciłam je do kartonu pod łóżkiem. Na drugi dzień moja dwunastoletnia córka z powrotem poustawiała je na miejscu...

Spojrzałam na panią Sabinę. Miała okrąglejszą twarz i pełniejsze ramiona niż przed laty. I wciąż była piękna, choć nie urodą młodej dziewczyny, lecz dojrzałej kobiety.

– Ten szkielet, który znaleźliśmy w dawnym domu Dietrichów... Myślimy, że to Stanisław – oznajmiłam.

Spodziewałam się okrzyku zdumienia czy przerażenia, tymczasem pani Sabina siedziała nieruchomo i patrzyła wyczekująco. Uśmiechnęła się nawet, jakby chciała zachęcić mnie do dalszej rozmowy. Zwyczajnie nie pojęła sensu moich słów.

– Uważamy, że ten szkielet, który znaleźliśmy w piwnicy, należy do Stanisława Majewskiego – powtórzyłam z naciskiem. – Oględziny wykazały, że ofiarę zabito uderzeniem w tył głowy, jakimś ciężkim, kanciastym narzędziem. Prawdopodobnie siekierą.

– Co pani mówi? Boże, to niemożliwe! – wyszeptała pani Sabina z dłońmi przy ustach.

– Nie mamy wprawdzie pewności, ale ekspertyza szczątków wykazała duże ubytki w uzębieniu. Anna Dietrich potwierdziła ten fakt.

– Ja też mogę to potwierdzić. Staszek przymierzał się do protezy. Jak on się wstydził braku tych zębów! Gdy widzieliśmy się ostatni raz, nawet mnie nie pocałował... Boże, ale jak to możliwe, że został zamordowany? I to tutaj, w Sztutowie? Kto mógł go zabić, i to jeszcze u Janki i Alojzego? No bo chyba nie oni? Ja ich znam, za nich ręczę. Nie, to niemożliwe, że to jego szkielet! Po prostu niemożliwe!

– Była jedna osoba, która mogłaby to zrobić... – powiedziałam ostrożnie.

– Kto taki? – zapytała.

Spojrzałam na ślubny portret.

– Kto? Proszę mi powiedzieć! – ponagliła.

– Pani mąż – oznajmiłam stanowczo.

– Roman? To jakiś żart? – zaśmiała się nerwowo.

– Pani mąż wiedział, że spotyka się pani ze Staszkiem, i być może domyślił się, że planujecie ucieczkę z Natalką. Człowiek jest zdolny do wielu rzeczy, byle tylko zatrzymać przy sobie rodzinę. A gdy dodatkowo kieruje nim zazdrość...

Pani Sabina przycisnęła do skroni palce i przymknęła oczy. Z jej ust wydobywało się tylko jedno, powtarzane regularnie słowo.

– Nie, nie, nie.

Ponownie zerknęłam na ślubny portret. Mężczyzna z wąsami wyglądał na pocziwca.

– Dlaczego rozeszła się pani z mężem? I gdzie on teraz jest?

Pani Sabina machnęła ręką, dając mi do zrozumienia, że to nieważne.

– Daleka jestem od tego, aby bronić mojego byłego męża – zaczęła. – Proszę mi wierzyć. Dzisiaj jest dla mnie zupełnie obcym człowiekiem. Gdybym miała choć cień podejrzenia, że to on zabił Stanisława, poszłabym od razu na policję, ale ja wiem, że to nie on. Owszem, bywał porywczy, za młodych lat nie raz pobił się na zabawach, ale gdzie mu do morderstwa! To nie ten typ. Zapewniam panią.

Jej głos brzmiał mocno i pewnie. Oczy i gesty potwierdzały słowa. Pani Sabina była bardzo przekonująca.

– Nie mam żadnych powodów, żeby go bronić – ciągnęła. – Pierwsze pieniądze przysłał mi z Austrii, jak Natałka skończyła dziesięć lat, a wyjechał przecież, gdy miała trzy latka. Alimenty miałam przyznane sądownie, ale co z tego? Znikł zaraz po rozwodzie i nie zostawił mi nawet złotówki. Pierwszą widokówkę przysłał córce na piętnaste urodziny, a zaprosił ją do siebie, gdy już studiowała, bo fajnie kolegom pokazać, jakie ma się piękne dziecko. Drań i tyle. Ale wiem, że Stanisława nie zabił. – Zamyśliła się i przymknęła oczy. – Tylko kto to mógł zrobić? Kto byłby do tego zdolny? Na litość boską, przecież nie Janka i jej mąż! Trzeba by zapytać Jankę, kto wtedy u nich bywał. Czy pani już z nią rozmawiała?

– Najpierw musimy zrobić badanie DNA. – Wyjęłam z torebki kluczyki. – Bez tego ani rusz. A jak się okaże, że to Staszek, pani Anna Dietrich zadecyduje, co dalej. Ja kończę śledztwo, bo i tak nie ustalę niczego więcej.

Podniosłam się, pani Sabina również. Podeszła do leżącej na szafce torebki. Wyjęła z niej wizytówkę i podała mi ją.

– Jak będą wyniki DNA, proszę zadzwonić. Chciałabym mieć pewność. Obiecałam, że się odezwę, i wyszłam.

ROZDZIAŁ XII

Dom pogrzyżył się w ciszy, jakby przeczuwał, że niebawem zostanie opuszczony. Ustało skrzypienie desek. Wiatr już nie hulał w kominie i nie wciskał się z gwizdem przez nieszczelne futryny. Nieznośnie brzęczące muchy pochowały się między belkami i kontynuowały zimowy sen. Nawet zegar w sypialni przestał tykać. Odpowiadała mi ta cisza. Wsłuchiwałam się w nią, siedząc przy stole kuchennym i pijąc kakao. Byłam sama.

Marcin wyszedł około piątej. Przebudziłam się na dźwięk budzika w jego komórce.

– Śpij, jeszcze bardzo wcześnie – wyszeptał.

Przekręciłam się na bok i podciągnęłam kolana pod brodę, przybierając ulubioną poranną pozycję. Było mi ciepło i wygodnie, i za nic nie dałabym się wyciągnąć na kuter, na rozszalałe morze. Dreszcze przeszły mi po plecach na myśl o falach zalewających łódź.

Uniosłam głowę i nasłuchiwałam przez chwilę, a potem wstałam i uchyliłam okno. Było bezwietrznie, zupełnie cicho. A zatem morze jest spokojne, kuter nie zatonie, Marcin może płynąć. Uspokojona wsunęłam się z powrotem pod kołdrę. W korytarzu rozległy się kroki, lekkie i szybkie. To Kaśka. Też wstała, ale dlaczego tak wcześnie? No tak, wspominała coś wczoraj o spotkaniu biznesowym z Norwegami, do którego chce się przygotować. Wypiję z nią kawę, a potem się jeszcze położę na trochę. Wsłuchiwałam się w szum prysznic, czekając, aż moja przyjaciółka zakończy poranne ablucje, usnęłam jednak, zanim wyszła z łazienki.

Obudziłam się po ósmej, wyspana i wypoczęta. Przeciągałam się przez kilka minut, odwlekając moment wyjścia spod kołdry. Jeszcze trochę tego błogiego stanu, jeszcze jedno ziewnięcie i rozciągnięcie ramion... A potem do roboty, do szorowania, polerowania, zmywania, odkurzania. Chciałam zostawić dom w takim stanie, w jakim go zastaliśmy. Gdyby nie to, że Marcina czekało dzisiaj naprawianie podłogi i patroszenie ryb, o ile coś złapie, zapewne pomógłby mi sprzątać. Zawsze mogłam na niego liczyć przy porządkach. Nieraz w moim salonie fryzjerskim łapał za mopa i mył podłogę. Pod tym względem, i nie tylko, był przeciwieństwem mojego pierwszego męża. Ojciec Gabrysi nigdy nie umył po sobie nawet szklanki, a co dopiero mówić o posprzątaniu mieszkania czy praniu. Gdy kilka tygodni po ślubie, z brzuchem pod nosem, wycierałam kurze, bo miało wpaść do nas kilka osób, stwierdził, że sprząkanie przed imprezą jest jak podcieranie się przed sranie. Spojrzałam na niego oburzona i już miałam powiedzieć coś mądrego o czystości i brudzie, ale on wyjął mi ścierkę z ręki, złapał za moje pośladki i przyciągnął do siebie. Przy pierwszym pocałunku w szyję uznałam, że ma rację. Po co sprzątać dwa razy? Szkoda energii. Posprzątam tylko raz, po imprezie. W kwestii porządków Gabrysia była nieodrodną córką swojego ojca, na szczęście więcej podobieństw nie wykazywała. Na moje prośby, aby wpadła

do zakładu i pomogła mi doprowadzić go do czystości, mówiła, że porządek można robić tylko u siebie, a u kogoś co najwyżej bałagan. Ta mądrość doskonale sprawdzała się w jej przypadku. Gdy jedyny raz zrobiła porządki w moim salonie – nie byłam wtedy w stanie ruszyć się z powodu korzonków – nie mogłam później nic znaleźć. Do przybornika na narzędzia moje dziecko wrzuciło papiloty, czepki i rękawiczki. Nożyczki i szczotki wcisnęło do szuflady z ręcznikami, a wypełniacze do koków po prostu wyrzuciło, bo myślało, że to śmieci. Od tamtej pory już nigdy nie prosiłam jej o pomoc. Nawet robienie porządków u siebie przychodziło mojej córce z trudem. Kazałam jej kiedyś ogarnąć własny pokój, bo wstyd, bo co jej i moi znajomi powiedzą, więc ociągając się, przesuwała rzeczy z kąta w kąt. Mamrotała przy tym, że bałagan to jej wróg numer jeden – ona go zwalcza, a on uporczywie powraca.

Podwinęłam rękawy do łokci, spięłam włosy grzebieniem i rozejrzałam się po kuchni. Od czego by tu zacząć? Kafelki w pobliżu kuchenki straciły połysk, a więc one pójdą na pierwszy ogień. Trzymając spryskiwacz do szyb w jednej dłoni, a ściereczkę z mikrofibry w drugiej, zaczęłam szorowanie. Zadowolona, patrzyłam, jak za każdym pociągnięciem znika warstwa kurzu i tłuszczu. Stróżki potu spływały mi spod pach, zdjęłam więc bluzkę i tarłam zawzięcie. Gdy kafelki były już czyste, wzięłam się za szybki w kredensie, a potem za kuchenkę. Podczas całego pobytu piekarnik czyściłam po każdym pieczeniu, a więc teraz nie miałam z nim wiele roboty. Przetarłam jedynie ścianki i szybę w drzwiczkach. Od szorowania na moment oderwał mnie sygnał esemesa. Nie odkładając ścierki, przeczytałam wiadomość od Marcina.

„Mam już dwanaście dorszy”.

„Będziesz je sam patroszył”, odpisałam.

W lustrzanych drzwiczkach kredensu zobaczyłam swoją zaczerwienioną i spoconą twarz, z włosami przyklejonymi do czoła i policzków. Zgarnęłam je i ponownie spięłam grzebieniem. Zerknęłam w lustro; teraz wyglądałam lepiej. Wróciłam do sprzątanego. Pracowałam jak nakrecona, bez chwili wytchnienia. Powstrzymał mnie dopiero dzwonek do drzwi. Stałam przed otwartą szafką i czekałam. Gdy dzwonek odezwał się po raz drugi, naciągnęłam bluzkę i wyszłam na korytarz.

Na ganku zobaczyłam Konrada. Z kieszeni kurtki wystawała mu żółto-czarna czapka. Uśmiechał się, odsłaniając białe zęby. Chyba właśnie tak wygląda zniewalający uśmiech...

– Maleńka, przywiozłem cegły – zakomunikował.

Nie spodziewałam się go tak wcześnie.

– Ale Marcin jeszcze nie wrócił... – powiedziałam zaskoczona.

– Jak wróci, to wszystko już będzie uszykowane, tylko brać się do roboty. No co? Mogę je wrzucić?

– Jasne, że możesz – odparłam i zawróciłam do kuchni, zostawiając go samego na ganku.

Wzięłam ścierkę i zaczęłam wycierać półki, jednak teraz moje ruchy były powolne. Straciłam cały zapach. Mimowolnie koncentrowałam uwagę na krokach dobiegających z korytarza – Konrad już po raz drugi schodził do piwnicy. Może powinnam zaproponować mu coś gorącego? A może niech od razu bierze się do roboty? Bluzka przykleiła mi się do pleców. Miałam ochotę ją zdjąć i włożyć coś suchego, czystego. Wrzuciłam ścierkę do zlewu i wyszłam z kuchni. W korytarzu natknęłam się na wioskowego casanovę, który właśnie wychodził z piwnicy. W ręku trzymał worek.

– Napijesz się kawy? – zapytałam.

– Za kawusie dzięki. Wolę browarek – odparł.

– Dobra, dostaniesz piwo. Mam jedno w lodówce.

– Jedno? Tylko jedno? Chyba sobie żartujesz? Chcesz, żebym na sucho pracował, bez paliwa? Przecież to może mi zaszkodzić! Ja jestem Polak i katolik, bez piwa nie będę tyrał.

Uśmiechnęłam się, on również. Żartował sobie, ale w tych jego żartach było trochę racji. Przecież podczas pracy będą musieli coś pić. A potem powinni coś zjeść. A ja mam pustą lodówkę.

– I co z tym browarem? – zapytał.

– Jak Marcin wróci, wezmę kankę i pojedę po piwo z kija. I jeszcze wam usmażę dorsza. Będzie jak w pięciogwiazdkowym lokalu, zobaczysz.

Przysunął twarz do mojej twarzy.

– Maleńka, ale z ciebie fajna laska! – powiedział tym swoim zmysłowym głosem. – Właśnie taką chciałbym mieć w domu. Taką, co to polecą po browar, zrobi obiad, da dupy. I w ogóle będzie na każde skinienie.

Cofnęłam się o krok, zakłopotana, dotknięta. Te słowa nie wyszły z jego ust przypadkiem. Obraził mnie rozmyślnie. Cholerny gówniarz!

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Po browar nie musisz na razie lecieć, przywiozłem sobie dwie butelki – powiedział jeszcze, zanim wyszedł na ganek.

Patrzyłam na mokre ślady po jego butach. Małe grudki brudnego śniegu topiły się na deskach podłogi. Zajrzałam do piwnicy. Przy schodach leżała sterta cegieł. Poirytowana zawróciłam do kuchni. Szkoda, że nie zdobyłam się na jakąś ostrą ripostę. Niech sobie nie myśli, że pozwolę się obrażać!

Wypłukałam ścierkę pod bieżącą wodą i wzięłam się za ostatnią szafkę. Na korytarzu ponownie rozległy się kroki, wolne i ciężkie. Znów niesie cegły. Nie za dużo?

Okrężnymi ruchami dotarłam do półki. Kuchnia była prawie gotowa. Jeszcze tylko umyć podłogę, ale to już jutro, przed samym wyjazdem.

Wszedł Konrad. Postawił na stole dwa piwa.

– Maleńka, daj no otwieracz – powiedział.

Nawet na niego nie spojrzałam. Pieprzniczka i solniczka na środkową półkę, ozdobne słoiczki z różnymi przyprawami również, niżej kawa, herbata i cukiernica. Nie śpiesząc się, wstawiałam rzeczy do szafki.

– Ej, robisz porządki? Chce ci się? Maleńka, rzuć to, z brudu jeszcze nikt nie umarł, a z pragnienia i owszem. Napijemy się piwka, poprzytulamy trochę, póki męża nie ma.

Wysunęłam szufladę w kredensie i zaczęłam szukać otwieracza. Moje palce szybko przesuwały się po zawartości szuflady. Zapalniczka, plastikowe sztuce, mnóstwo długopisów z logo korporacji Kaśki, gumowe rękawiczki, młotek, plastikowe zakrętki, kasztany, pineski, mała lornetka... W końcu trafiłam. Podałam Konradowi.

– Piwo możesz wypić na ganku – powiedziałam. – Ale lepiej jedź do siebie i wróć za dwie godziny. Jak będzie Marcin.

Kąciki jego ust teatralnie skierowały się ku dołowi.

– Jaka ty jesteś niedobra! – oznajmił. – A ja już byłem gotów podzielić się z tobą browarem...

W tym błaznowaniu był mimo wszystko jakiś chłopięcy urok. Co za typ – najpierw mnie obraża, a potem przymila się i pajacuje. Jeśli pozwolę mu zostać, na pewno znów usłyszę coś mało przyjemnego.

Otworzył piwo. Kapsel z brzękiem spadł na podłogę i potoczył się pod stół. Konrad podał mi butelkę. Nie wzięłam.

– Podnieś kapsel – powiedziałam chłodno.

Schylił się natychmiast. Odwróciłam się do niego plecami. Wyjęłam z szafki słoiczek z kawą. Odkręciłam go i powąchałam. Aromat wciąż był intensywny, choć minęły dwa dni od zmielenia. Kiedyś jedna z moich młodych klientek zapytała, czy wiem, gdzie można kupić elektryczny zapach kawy. Zajęta wyciąganiem włosów przez dziurki czepka, machinalnie odpowiedziałam, że nie mam pojęcia. „Elektryczny zapach kawy”; właściwie co to takiego? Dziewczyna chętnie wyjaśniła, że to urządzenie, które podłączone do prądu wytwarza stosowną woń, powszechnie stosowane w kawiarniach Sztokholmu, i że jej narzeczony otworzył właśnie małą kafejkę na Starym Mieście i szuka, ale Polska to straszne zadupie i nic nowoczesnego nie da się tutaj kupić, nawet na Allegro. Chyba będą musieli sprowadzić ten zapach z Niemiec, choć tam kosztuje czterysta euro. Nakładając farbę na kolejne pasemko, zapytałam, czy nie wystarczy po prostu aromat świeżo zmielonej kawy. Byłoby taniej, elektryczny młynek można kupić za kilkadziesiąt złotych. Dwa tygodnie później klientka wpadła do salonu z małą paczuszką kawy irlandzkiej i podziękowaniami za genialny pomysł. Nie sądziła, że zmielone ziarna kawy mogą tak mocno pachnieć. Gdy za dziewczyną zamknęły się drzwi,

pokiwałam głową z politowaniem. Ach, to młode pokolenie, zna wyłącznie elektryczne substytuty!

Wsypałam dwie płaskie łyżeczki do filiżanki i zapaliłam gaz pod czajnikiem. Myślałam, że Konrad zaraz wyjdzie, ale on wciąż był na miejscu. Pił piwo, stojąc na lekko rozstawionych nogach. Wyglądał jak żywa reklama browaru.

– Nie ma to jak zimne piwko! Studzi zapał do pracy, co nie?

Zaśmiał się i puścił do mnie oko. Milczałam, stukając łyżeczką w filiżankę.

– Ej, maleńka, co tak się dąsas? Gniewasz się na mnie? No, co jest? Co to za foch?

Nie przestawałam stukać. Irytował mnie ten ton, zupełnie jakby Konrad zwracał się do jakiejś głupiej małolaty. Chyba zorientował się, że w taki sposób mnie sobie nie zjedna, bo gdy się odezwał, w jego głosie nie było już słyhać tej pobłażliwej, sarkastycznej nuty.

– Tam, na korytarzu, byłem szczerzy jak ksiądz. Co ja za głupoty pieprzę? Jaki ksiądz? Chciałem powiedzieć, że byłem szczerzy jak na spowiedzi. Mnie po prostu pasi taka kobieta, co by koło mnie chodziła i zawsze się ze mną zgadzała. Większość facetów chce mieć takie kobiety, tylko głośno o tym nie gada. To znaczy gada, ale tylko między sobą. Najlepsza żona to taka, która przynosi kapcie w zębach, gdy mąż pijany wraca na chatę.

Znów przechylił butelkę, zagulgotało przełykane piwo. Konrad miał na sobie popielaty sweter, nieco zmechacony i sprany, ale czysty. Odpowiedni do pracy fizycznej, która go dzisiaj czeka. Teraz jednak, gdy tak stał z uniesioną do góry ręką, zobaczyłam sporą dziurę pod pachą. Dziura w ubraniu, niby nic takiego, a potrafi znieścaczyć. Mogłam mu wybaczyć arogancję, ale nie porwany sweter. Patrzyłam teraz na Konrada przez pryzmat tej jednej dziury i dostrzegałam, a raczej domyślałam się innych dowodów niechlujstwa. Nie zdjął butów, bo na pewno ma dziurawe skarpetki.

– Kate chce, żebym w przyszłym roku zajął się jej ogrodem i sadem. Daje niezłą kasę. W Irlandii wyciągnąłbym niewiele więcej.

Patrzył wyczekująco.

– To chyba dobrze, że będziesz miał robotę na miejscu – odezwałam się.

Ucieszył się, że zaczęłam z nim rozmawiać.

– Na razie się waham – mówił uśmiechnięty. – Niech Kate trochę poczeka, niech się pomartwi. Zależy jej, na pewno jej zależy. Może nawet się szarpnie i zapłaci mi więcej?

Zalałam wrzątkiem kawę. Znowu stałam odwrócona do Konrada plecami. Zaczął krążyć po kuchni, niespokojnie, szybko. Gdyby jakiś przedmiot znalazł się teraz na jego drodze, zapewne by go kopnął. Zatrzymał się gwałtownie.

– Skąd ona ma tyle kasy? – zapytał. – Obrobiła bank czy co?

– Kaśka pracuje w dużej korporacji. Doradztwo finansowe i takie tam –

odparłam.

– Chyba musi codziennie robić szefowi laskę, skoro on daje jej tyle zarobić?

W jego głosie pojawiło się coś nieprzyjemnego, jakiś zaczepny ton.

– To ona jest tam szefem – wyjaśniłam spokojnie. – No prawie szefem, jedną z trzech najważniejszych osób. Zaczynała jako zwykły analityk finansowy, ale teraz... Wszystko zawdzięcza własnej pracy. Po prostu jest w tym dobra.

– Jest w tym dobra, ale się uśmieiałem! Takie bajki to nie dla mnie. Za dużo wiem, napatrzyłem się w Irlandii. Jedna taka nawijała chłopakowi przez telefon, że ciężko na zmywaku, że tyra po kilkanaście godzin, a tak naprawdę tylko leżała na plecach. A kasiora sama do niej płynęła.

Odstawił pustą butelkę na stół i otworzył kolejną. Kapsel znów spadł na podłogę. Konrad go nie podniósł.

– Coś mi się wydaje, że jesteś szowinista. Obrzydliwy szowinista.

W mgnieniu oka znalazł się tuż przy mnie; aż się wystraszyłam. Objął mnie w pasie.

– Jestem obrzydliwy? – wyszeptał. – No, powtórz to!

Gorący oddech, przesiąknięty zapachem piwa, zalał mi twarz. Odepchnęłam go, ale mnie nie puścił. Duża męska dłoń rozpoczęła wędrówkę po moich spoconych plecach, od bioder aż po kark. Nie, pieszczoty to nie jest dobry pomysł! Nie w tej chwili. Ja jestem mokra od potu, a on był dzisiaj nieprzyjemny. W bardziej komfortowej sytuacji może bym się trochę poprzytulała, bo przecież przytulanie się do obcego mężczyzny to nie zdrada, tylko flirt. Ale teraz nie miałam ochoty.

– Puszczaj! – rozkazałam.

Cofnął się o krok. Wzięłam filiżankę i usiadłam przy stole.

– Marcin napisał, że złowił już dwanaście dorszy. Sporo, prawda?

Konrad roześmiał się głośno, szyderczo.

– Ej, kiepsciutko. Ja kiedyś złowiłem ponad siedemdziesiąt. Takie sztuki po trzy kilo.

Przemierzał kuchnię dużymi krokami, popijając piwo. Poruszał się coraz pewniej, swobodniej. Jakby to on był tutaj gospodarzem, a ja zaledwie przypadkowym gościem. Przystanął po drugiej stronie stołu.

– Wpadniesz do Sztutowa latem?

– Na któryś z weekendów na pewno tak. Na dłużej? Nie wiem.

– Ej, przyjedź, ze mną nie będziesz się nudzić. Obiecuję.

Obszedł stół i przystanął za moim krzesłem. Poczułam, że jego dłoń wsuwa się pod moją bluzkę. Nie chciałam, żeby mnie dotykał.

– Przestań. – Wstałam.

– Mamuśka, co jest? Wyluzuj!

Słowo „mamuśka”, wypowiedziane dobitnie i zgryźliwie, uderzyło we mnie niczym ostra amunicja. Na moment zabrakło mi tchu. Jeszcze przed kilkunastu

minutami mówił do mnie „maleńka”, a teraz jestem mamuszką? Trzema dużymi łykami dopiłam kawę.

– Ej, mamuska, przecież mnie lubisz – wymamrotał wprost do mego ucha.

– Nie jestem żadną mamuszką – powiedziałam stanowczo.

Wstawiłam filiżankę do zlewu i odkręciłam kran. Cienka stróżka wody powoli wypełniała porcelanowe naczynie.

– Jesteś mamuszką, jesteś. Bo masz córkę. Wiem od Kate.

Zakręciłam kran. W tej samej chwili Konrad klepnął mnie w tyłek tak mocno, że poleciałam do przodu, uderzając głową o szafkę nad zlewem. Miałam dosyć. Wściekła, odwróciłam się w jego stronę i przez zaciśnięte zęby wysyczałam:

– Trzymaj łapy przy sobie!

– Co jest, kurwa? – warknął.

Patrzyłam z niedowierzaniem i ze strachem na jego zmienioną twarz, na wyostrzone rysy, odsłonięte ostre zęby. Wyglądał jak drapieżne zwierzę, gotowe do ataku.

– Kręcisz przede mną dupskiem, pokazujesz cycki, a teraz mam trzymać łapy przy sobie? Chyba jesteś jebnięta.

Zapragnęłam, by już sobie poszedł, żeby zostawił mnie w spokoju.

– Może weźmiesz się wreszcie za podłogę w piwnicy? – powiedziałam.

– Wziąć to ja się, kurwa, mogę za ciebie.

Mój wzrok wyostrzył się, jakby ktoś założył mi okulary. Mogłam teraz policzyć wszystkie plamki w tęczęwkach Konrada. Rzęsy również. Ten wyrazisty obraz sprawiał mi ból. Chciałam odwrócić głowę, zamknąć oczy, żeby tylko nie patrzeć. Nie mogłam.

Konrad się odsunął. Już myślałam, że sobie pójdzie, ale on jedynie zbliżył się do lodówki i wyjął z niej piwo. Wziął ze stołu otwieracz i niezdarnie otworzył butelkę. Kapsel odskoczył z cichym traskiem i potoczył się wprost pod moje nogi. Odruchowo pochyliłam się, żeby go podnieść, i w tej samej chwili poczułam na karku dłoń. Krzyknęłam. Konrad przyciągnął mnie gwałtownie – kolanami uderzyłam w podłogę, a głową w jego udo. Ogarnął mnie paniczny strach. Dusiałam się. Otwartymi ustami łapałam powietrze, które nie chciało wpłynąć do płuc. Ratując się przed uciskiem, szarpnęłam całym ciałem w dół. Rozpłaszczylam się na podłodze. Poderwałam się szybko. Nogi mi się trzęsły, ręce też. Oddychałam ciężko.

– Wynoś się! – wrzasnęłam. – Wypierdalaj!

Głośny, szyderczy śmiech uderzył w moje uszy, niemal paralizując układ nerwowy. Stałam jak zahipnotyzowana. Pchnął mnie. Bezwładnie poleciałam do tyłu, wpadając na kredens. Muszę się bronić, muszę uciekać, do sypialni, tam się zamknę, zabarykaduję, tam będę bezpieczna!, myślałam gorączkowo, ale nie mogłam oderwać stóp od podłogi. Moje ciało mnie zdradziło. Mózg wysyłał

rozkazy do mięśni i ścięgien, lecz te nie reagowały. Znowu coś dziwnego działo się z moim wzrokiem, jakbym patrzyła na film puszczony w zwolnionym tempie. Konrad powoli podniósł butelkę do ust. Pił. Potem odstawił na stół. Teraz obraz znieruchomiał. Czas przystanął.

Rzucił się na mnie z nienacką. Zacisnął ręce na mojej szyi, odchylając mnie do tyłu. Ostry ból przeszył kręgosłup między łopatkami. Nic nie widziałam. Rękami rozpaczliwie rozgarniałam powietrze. On mnie zaraz udusi!, przeraziłam się. Ręka uderzyła w krawędź nieodmkniętej szuflady, odruchowo wsuwając się do jej wnętrza i zaciskając na trzonku młotka. Uścisk na mojej szyi zelżał. Do płuc wpłynęło powietrze.

– Ty stara kurwo! – usłyszałam.

Nie myślałam, nie analizowałam sytuacji, nie zastanawiałam się nad ratunkiem. Nie byłam w stanie. W tej chwili mój mózg był nieczynny, jakby ktoś odłączył wtyczkę. Ręka z młotkiem powędrowała w górę, wykonała zamach i uderzyła. Mocno. Rozległ się huk, a potem jakby krótkie westchnienie. Moje palce natychmiast rozchyliły się, wypuszczając narzędzie, a ja w tej samej chwili odbiłam się od kredensu. Coś podcięło mi nogi. Upadłam, uderzając głową o podłogę.

Nie wiem, jak długo leżałam.

Gdy usiadłam, szumiało mi w uszach, bolała mnie szyja. Lekko obróciłam głowę w prawo i syknęłam z bólu. W zasięgu wzroku miałam nogi Konrada; patrzyłam na nie przez chwilę. A potem spojrzałam w jego twarz i ogarnęło mnie przerażenie. Boże! Co ja zrobiłam? Zabiłam go, zabiłam! Serce waliło jak oszalałe. Jednak po chwili pojawiło się niedowierzanie. Przecież nie mogłam go zabić, nie jestem do tego zdolna! Nie można kogoś pozbawić życia jednym uderzeniem!

Na czworakach przesunęłam się w stronę Konrada. Złapałam go za rękę i przyciągnęłam do siebie. Była ciężka, niemożliwie. Chciałam sprawdzić puls, ale palce miałam sztywne, bez czucia. Ponownie spojrzałam mu w twarz: przymknięte oczy i rozchylone usta. Konrad był martwy. Trup, nieboszczyk. Naprawdę go zabiłam. Zabiłam człowieka. Co za koszmar! Co teraz? Boże, błagam, niech on ożyje, niech wstanie!

Chciałam się podnieść, ale nie miałam sił, zaczęłam więc powoli przesuwać się po podłodze. Do tyłu, byle dalej od zwłok! Moja ręka natrafiła na jakiś przedmiot. Młotek! Krzyknęłam. Krzyk przeszedł w skowyt, a potem w szloch. Siedziałam na podłodze oparta o kredens i płakałam, głośno zawodząc. Nawet nie próbowałam się opanować, wyciszyć. Potem wpadłam w stan odrętwienia, z którego wyrwało mnie brzęczenie muchy. Mucha? A jednak nie wszystkie poszły spać... Krążyła przed moją twarzą. Odgoniłam ją machnięciem ręki. Owad zatoczył w powietrzu duży łuk i wylądował na czole Konrada. Przesuwał się wzdłuż linii włosów. Nie mogłam na to patrzeć.

Przymknęłam oczy i znów pogrążyłam się w letargu.

Komórka oznajmiła, że nadszedł esemes, a ja miałam wrażenie, że ktoś przesłał go wprost do mojej głowy. Zaczęłam szukać wiadomości w zakamarkach umysłu, ale nic z tego. Ktoś ją usunął, ale kto? Znów sygnał. Nowa wiadomość krążyła po mojej głowie, a ja goniłam ją i próbowałam odczytać. Była szybsza od moich myśli, chowała się coraz głębiej. Wiedziałam, że zaraz przepadnie. O Boże!

Podniosłam głowę i otworzyłam szeroko oczy. Moja komórka. Dzwoni. Nie miałam dość sił, żeby się podnieść. Wpatrywałam się w podłogę. Kapsel i dwie nitki, czarna i zielona. Im dłużej patrzyłam, tym więcej dostrzegałam szczegółów. Zobaczyłam kilkucentymetrową jasną rysę, która przecinała na pół ciemną, matową smugę. I jeszcze jedna rysa, krótsza i cieńsza. Między dwiema podłogowymi deskami tkwiło trochę paprochów. W zarysowaniach i paprochach zaczęłam dostrzegać znajome znaki. Wydało mi się, że próbują mi przekazać coś ważnego... Wpatrywałam się w podłogę i starałam się ją rozszyfrować. Od tego wgapienia się bolały mnie oczy.

Gdy ponownie uniosłam głowę, zobaczyłam twarz Marcina. Pochylał się nade mną.

– Beata, co tu się, do cholery, stało? – zapytał.

Jego głos działał na mnie kojąco, mimo dźwięczącego w nim niepokoju. Chciałam, żeby nie ustawał, żeby wypełnił mnie ciepłymi słowami.

Marcin zbliżył swoją twarz do mojej.

– Kochanie, błagam, powiedz mi, co tu się stało! – poprosił.

Jak dobrze było go słyszeć! Co za ulga, że już jest. Że wrócił.

Złapał mnie za ramiona i podniósł; zakręciło mi się w głowie. Podprowadził mnie do krzesła. Usiadłam. Marcin pochylił się nad Konradem, dotknął jego szyi, klatki piersiowej. Nagle wyprostował się i cofnął o krok.

– Kurwa, on nie żyje... – wyszeptał.

Czułam jego strach. Nie chciałam, żeby się bał, wystarczy, że ja byłam przerażona. Uniosłam obie ręce ku szyi, pokazując gestem, że Konrad chciał mnie udusić. Marcin patrzył nic nierozumiejącym wzrokiem. Niepewnie zbliżył się do ciała, ukląkł i zaczął robić masaż serca, uderzając co jakiś czas pięścią w klatkę piersiową. Wiedziałam, że to nie ma sensu, ale milczałam.

Mój mąż poddał się po kilku minutach.

– Musimy zadzwonić na policję – powiedział.

– Nie!

Krzyk wyrwał się z mojego gardła bez udziału woli.

– Musimy – powtórzył z naciskiem.

– Nie! Nie! Błagam, nie! – mówiłam, kiwając się w przód i w tył.

Marcin podszedł do mnie.

– Powiedz, jak to się stało – poprosił.

– Rzucił się na mnie! Dusił mnie! Chciał mnie zgwałcić!

Moje słowa zginęły w szlochu i jękach. Pragnęłam, żeby Marcin mnie uspokoił, przytulił, ale on stał nieruchomo. Przyglądał mi się uważnie, jakby podejrzewał, że nie mówię prawdy.

– Zadzwoń po policję – powiedział cicho.

Złapałam go za rękę.

– Nie rób tego! – błagałam z płaczem.

– Beata, bądź rozsądna...

Nie pozwoliłam mu skończyć. Zsunęłam się z krzesła. Klęcząc, obejmowałam Marcina ramionami w pasie.

– Zamkną mnie, zamkną! – wyrzucałam z siebie przerywane łkaniem słowa. – Ja nie chcę! Nie chcę iść do więzienia! Zamkną mnie! Ja nie mogę, ja mam córkę! Nie mogę siedzieć!

Złapał mnie za ramiona, podniósł i posadził na krześle.

– Nie pójdziesz siedzieć – powiedział stanowczo, z twarzą przy mojej twarzy. – Słyszysz? Broniłaś się. Nie mogą cię za to zamknąć.

Dotarło do mnie, że on nic nie rozumie. Nie pojął, w jakiej sytuacji się znalazłam. Muszę się uspokoić i wszystko mu wyjaśnić. Przestałam płakać.

– Przecież ja mam wyrok w zawiasach za usiłowanie zabójstwa – powiedziałam, westchnąwszy głęboko. – Już raz sędzia uznał, że jestem winna. A chyba wiesz, co to znaczy? Pchnęłam Grzegorza nożem w brzuch. Rozumiesz? A Konrada uderzyłam młotkiem.

Spojrzałam na zwłoki na podłodze. Ten widok był bardziej realny niż tamten sprzed ośmiu laty, kiedy Grzegorz przyciskał dłonie do brzucha, a przez jego palce lała się krew. Wtedy wszystko było takie nierzeczywiste! Nawet nie próbowałam wówczas ratować mojego męża, nie wzywałam pomocy. Patrzyłam na broczącego krwią mężczyznę, nie zdając sobie sprawy, że jest o krok od śmierci. Był jakby w innym wymiarze, a to, co się z nim działo, nie dotyczyło mojej osoby...

– Tamtego wyroku ci nie odwieszają, już przecież minęło pięć lat. Nie masz czego się bać – powiedział Marcin.

– Dlaczego ty nic nie rozumiesz? Przecież tu wcale nie chodzi o odwieszenie wyroku! Już raz przecież usiłowałam zabić człowieka. A jeżeli raz, to dlaczego nie drugi? Kto mi uwierzy, że się broniłam? Nikt! Słyszysz? Nikt mi nie uwierzy! Żaden sędzia! Co ja mu powiem? Że Konrad chciał mnie zgwałcić? Mnie, taką starą babę? On, taki młody chłopak?

Miałam dreszcze. Objęłam się ramionami.

– Wynajmiemy najlepszego adwokata. – Marcin nie dawał się przekonać. – Kaśka kogoś znajdzie. Ona zna wszystkich ważnych ludzi w Poznaniu. Ja będę przy tobie. Nie bój się.

– Boże! A co z Gabrysią? Ona się załamie. Jak mnie zamkną, zostanie sama,

zupełnie.

– Nie zamkną cię – powtórzył Marcin cicho. Bez przekonania.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami i czułam kolejną falę dławiącego strachu. Dygotałam na całym ciele. Marcin położył dłoń na mojej głowie.

– Wszystko będzie dobrze – szeptał, głaszcząc delikatnie. – Zobaczysz. Nie bój się.

– Nie pójdę do więzienia! – powiedziałam stanowczo.

– Nie, nie pójdziesz – potwierdził. I dodał po chwili: – Powinniśmy już zadzwonić po policję. Nie można dłużej czekać.

Zerwałam się z krzesła, podbiegłam do ściany i zaczęłam walić w nią pięściami. Wrzeszczałam. Miałam wrażenie, że ten krzyk rozrywa mi struny głosowe.

Jakaś siła odciągnęła mnie do tyłu. Nadal wymachiwałam rękami, ale moje ciosy trafiały w próżnię. Zamilkłam. To Marcin przycisnął dłoń do moich ust.

– Proszę, uspokój się – powiedział.

Obejmował mnie w pasie.

Nagle poczułam ogromną słabość. Siły opuszczały moje ciało jak powietrze przedziurawiony balon. W końcu zawisłam na ramieniu Marcina, a on wziął mnie na ręce. Kuchnia zawirowała mi przed oczami i przez chwilę miałam wrażenie, że podłoga znalazła się nad moją głową.

Marcin zaniósł mnie do sypialni i ułożył na łóżku. Usiadł obok.

– Dobrze, nie zadzwonimy na policję – powiedział. – Ale w takim razie co zrobimy?

Milczałam, gapiąc się w sufit.

– Co proponujesz? – zapytał ponownie.

Mówił zimnym głosem, z pretensją. Najwyraźniej oczekiwał, że postąpię zgodnie z kodeksem moralnym, który w takiej sytuacji nakazywał przyznać się do nieumyślnego zabójstwa. A ja chciałam, żeby mój mąż mnie zrozumiał, żeby przyznał mi rację. Uniosłam się na łokciu.

– Nie poradzę sobie z kolejnym procesem – powiedziałam. – Słyszysz? Nie poradzę sobie. Ty nie wiesz, jak to wygląda, ale ja tak. To przesłuchiwanie, w kółko te same pytania... Traktują cię jak mordercę. Żadnego szacunku, tylko wrogość i pogarda. „Oskarżony” oznacza „winny”, przekonałam się o tym na własnej skórze. Wszyscy mieli mnie za morderczynię: sąsiedzi, znajomi, rodzina. Nawet Gabryś na początku uważała, że chciałam zabić jej ojca. Teraz będzie tak samo. Ja sobie z tym nie poradzę. Pomyślałeś, jak zareagują twoi rodzice? Synowa zabójczyni. Przecież twoja matka zejdzie na serce! Ledwie zdążyła się pogodzić z faktem, że jestem stara i rozwiedziona. Aż strach pomyśleć, gdy się dowie, że zabiłam człowieka! Boże, nie da ci żyć... Znowu będzie codziennie dzwonić

i straszyć, że umiera. Zamęczy cię. A co powiedzą twoi znajomi? Jak im to wytłumaczysz? Czy naprawdę wierzysz, że będą wyrozumiali? A Gabrysia? – Głos mi się załamał. Opadłam na poduszkę. – O nią boję się najbardziej – ciągnęłam. – Wiem, że będzie przy mnie, będzie mnie wspierać, ale przeżyje to ciężko. Jest taka wrażliwa! A co, jeżeli i ona sobie z tym wszystkim nie poradzi i wpadnie w depresję? Powinnam ją chronić, powinnam zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa...

Marcin wpatrywał się w piec, ja w sufit. Milczeliśmy. Wiedziałam, że myślimy o tym samym, ale żadne z nas nie ma odwagi powiedzieć tego na głos. Chciałam, żeby to on zaczął, a wtedy bym przytaknęła. Czekałam.

– Masz jakiś plan? – odezwał się w końcu.

– Taki sam jak ty – wyszeptałam.

Znowu milczenie, mój wzrok utkwiony w sufit, jego w piec. Ile już czasu minęło od zabójstwa? Dwie, trzy godziny? Nie można dłużej tkwić w bezruchu, trzeba działać. Usiadłam na łóżku.

– Co robimy? – powiedziałam w kierunku pleców Marcina.

Od kilkunastu minut unikałam tego pytania, a teraz postawiłam je sama, z nadzieją, że to mój mąż wypowie słowa, których nie byłam w stanie zwerbalizować. Wiązały się z odpowiedzialnością za czyn straszny, obrzydliwy. Wystarczy, że zabiłam człowieka, niech ktoś inny podejmie decyzję o pozbyciu się jego zwłok.

– Konrad przywiózł cegły? – zapytał, nie odwracając się.

– Tak, zaniósł je do piwnicy.

– A więc po części sam przygotował sobie grób...

Wszystko było jasne. Marcin wstał.

– Sam się tym zajmę. Nie wychodź z sypialni – powiedział i ruszył do drzwi.

Zawołałam go, zanim zdążył przekroczyć próg. Odwrócił się. Był blady. Chciałam pocieszyć go, że nikt się o tym nie dowie, że jeżeli ktoś w ogóle odnajdzie zwłoki, to dopiero za pięćdziesiąt lat, kiedy nas już nie będzie, ale nie wypowiedziałam ani jednego słowa. Gestem nakazałam, żeby już poszedł. Skuliłam się, obejmując ramionami kolana. Miałam napięte wszystkie mięśnie, od zaciskania bolały mnie szczęki.

Marcin ponownie pojawił się w drzwiach. Dlaczego się wrócił? Czyżby się rozmyślił?

– Kurwa, jaki on ciężki! – oznajmił. – Musisz mi pomóc.

Nie zareagowałam. Gapiłam się nieruchomo na kraciasty koc zwisający z poręczy krzesła. Mój mąż podszedł i położył mi dłonie na ramionach.

– Musisz mi pomóc zanieść go do piwnicy – powtórzył.

Wstałam posłusznie. Gdy weszłam do kuchni, mój wzrok przyciągnęły trzy stojące na stole butelki. W jednej zostało jeszcze sporo piwa. Kto wie, może gdyby

Konrad zdecydował się na te kilka łyków więcej, ocaliłby życie? Spojrzałam na ciało; rozciągnięte na podłodze wydawało się ogromne. Marcin pochylił się nad nim i zaczął przeszukiwać kieszenie trupa. Boże, dlaczego on to robi? To obrzydliwe!

– Będziesz okradał zwłoki? Jak hiena cmentarna?

– Beata, puknij się w łeb! Chcesz go zakopać z komórką?

W dłoni trzymał kluczyki od dzipa. Zamachał nimi przed moimi oczami i rzucił je na stół. Następnie wziął Konrada pod pachy i uniósł nieco.

– Weź go za nogi! – rozkazał.

Złapałam za dzinsy i szarpnęłam. Materiał wysunął mi się z dłoni.

– Nie za nogawki, za nogi – pouczył Marcin.

Pochyliłam się ponownie i tym razem złapałam powyżej kostek.

– Teraz! – zakomenderował.

Dźwignęłam. Podnieśliśmy go! Był ciężki. Na korytarzu nie wytrzymałam, wypuściłam nogi z uchwytu. Buty huknęły o drewnianą podłogę.

– Przepraszam – powiedziałam.

Marcin podciągnął zwłoki ku otwartym drzwiom do piwnicy, a do mnie dopiero teraz dotarło, że musimy je znieść po stromych stopniach. Nie ma mowy, błędnik mi na to nie pozwoli! Otworzyłam usta, żeby o tym powiedzieć Marcinowi, ale z mojego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Nie zdążyłam się odezwać, bo w tej samej chwili usłyszeliśmy dzwonek do drzwi wejściowych.

To policja!, przemknęło mi przez głowę. Policja, na pewno! Zobaczyłam, jak oczy mojego męża powiększają się z przerażenia, a jego policzki zaczynają drgać. Ten widok mnie otrzeźwił. To nie może być policja, przecież nikt nie wie, że zabiłam Konrada! To ktoś przypadkowy, może sąsiad albo listonosz. Ten ktoś na pewno zaraz sobie pójdzie.

Ponowny dźwięk dzwonka, teraz bardziej natarczywy. Dwoje ludzi próbujących ukryć trupa i niespodziewany gość; scena jak z niskobudżetowego filmu. Zaczęłam chichotać. Marcin bezszelestnie zbliżył się i złapał mnie za ramię.

– Spokojnie, spokojnie – szeptał. – Proszę, opanuj się.

Dlaczego on próbuje mnie uspokoić? Przecież jestem opanowana, to on się denerwuje. Cała twarz mu drga, dobrze, że nikt go teraz nie widzi!

Znów dzwonek.

– Trzeba otworzyć – wyszeptałam.

– Zwariowałaś?

– Ale oni wiedzą, że jesteśmy w domu. Przecież na podwórku stoi nasz samochód. O Boże! I jeszcze dzip Konrada!

Marcin głośno przełknął ślinę.

– Spokojnie, samochody to nic – wyszeptał. – Przecież mogliśmy wszyscy pójść pieszo nad morze. Nie ma nas w domu.

– Kto to, do cholery, może być? Pójdę do pokoju i zerknę przez okno – zaproponowałam.

– Beata, nie gadaj głupot!

Marcin trzymał mnie mocno za ramię, jakby rzeczywiście obawiał się takiego scenariusza.

– O kurwa, nie zasunąłem zasuwki! – wyszeptał nagle.

Z przerażeniem patrzyłam na ogromne dwuskrzydłowe drzwi z masywną mosiężną klamką. Wystarczyłoby, żeby nieproszony gość ją nacisnął, a zobaczyłby nas, stojących nad zwłokami. Boże, co teraz? A może jednak ten ktoś już sobie poszedł?

Z ust Marcina wydobył się cichy jęk.

– O kurwa, zostawiłem ryby na ganku...

Nie rozumiałam, dlaczego tak zdenerwował się tymi rybami. Większym zagrożeniem były niezamknięte drzwi. Czekaliśmy. Mijały sekundy, minuty. Dzwonek milczał. Marcin powoli podszedł do drzwi i zasunął zasuwkę. Zgrzytnęło. Jeżeli ten ktoś wciąż tam stał, zapewne usłyszał ten odgłos. Wstrzymałam oddech. Nikt nie zadzwonił, nie zapukał.

– Dobra, znosimy go – powiedział mój mąż.

– Nie pomogę ci. Nie zejdziesz po tych schodach z takim ciężarem. Spadnę.

– Nie czas na histerie.

– Nie histeryzuję. Przecież wiesz, że mam zachwiania równowagi.

– To co mam, kurwa, zrobić? Zrzucić go ze schodów? A może zadzwonić na policję?

Oboje wiedzieliśmy, że nie ma odwrotu. Zabrnęliśmy za daleko. Pochyliłam się i złapałam Konrada za nogi. Marcin, trzymając go pod pachami, wszedł na pierwszy stopień schodów, potem na kolejny. Schodził powoli, tyłem, wymacując stopą schodek po schodku. Deski skrzypiały pod potrójnym ciężarem. Ja wciąż znajdowałam się na korytarzu, małymi kroczkami zbliżając się do nieuniknionego, aż w końcu przystanąłam przy pierwszym stopniu. Bolały mnie ręce. Zwłoki zdawały się z każdą sekundą przybierać na wadze. Głowa Konrada zwisała, odchylona do tyłu; w piwnicznym półmroku dobrze widziałam jasny podbródek. Postawiłam stopę, zapatrzona w białą skórę na szyi nieboszczyka.

Ten widok odblokował we mnie warstwę odczuć, która do tej pory pozostawała uśpiona. Żałość spadła na mnie z ogromną siłą. W mojej głowie mimowolnie zaczęły odtwarzać się obrazy z Konradem w roli głównej. Widziałam go pochylającego się nad krzakiem róży, zdejmującego czapkę, uśmiechającego się, pijącego kawę. W tym ciągu nie było chwili, w której się na mnie rzucił. Pamiętałam go wesołego i zadziornego. I oto tego człowieka już nie ma. A jego pies? Boże, przecież on miał psa, co teraz będzie z Osłem? Myśl, że zwierzak czeka na powrót pana, rozbiła mnie kompletnie.

Prawa noga Konrada wysunęła mi się z rąk.

– Kurwa! – zaklął Marcin.

Zakręciło mi się w głowie. Puściłam drugą nogę i usiadłam na stopniu. Marcin wciąż schodził po schodach, ciągnąc za sobą zwłoki. Dyszał ciężko. Buty Konrada uderzały o kolejne stopnie. Zasłoniłam rękami uszy. Nie pomogło. Łup, łup, łup.

W końcu ciało z głośnym hukiem upadło na ceglaną posadzkę. Opuściłam głowę na kolana i rozpłakałam się na dobre.

Marcin wyminął mnie i wyszedł na korytarz. Czy to znaczy, że zrezygnował z zamiaru ukrycia zwłok? Nie, on nie może mi tego zrobić!

Spróbowałam się podnieść. Nic z tego, mój błędnik oszalał. Zawołałam i Marcin zawrócił do piwnicy. Poprosiłam go o pomoc.

– Zaraz – powiedział i zbiegł po schodach.

Ze zdumieniem zobaczyłam, że trzyma w ręku dużą poduszkę, i przysła mi do głowy absurdalna myśl, że chce ją podłożyć Konradowi pod głowę. Marcin jednak podszedł do piwnicznego okna, zaledwie w połowie przysłoniętego deską, i wcisnął poduszkę w jego odkrytą część. Teraz na pewno nikt nic nie zobaczy. Nikt nie dowie się, co zrobiliśmy.

Marcin pomógł mi wstać i pokonać te kilka schodków.

– Poszukaj w apteczce czegoś na uspokojenie – powiedział, gdy weszliśmy do kuchni.

– Po co? – zapytałam zdezorientowana.

– Powinnaś coś wziąć. Jesteś cała roztrzęsiona.

Podniósł z podłogi młotek i obejrzał go dokładnie.

– Czy Kaśka zauważy jego brak? – zapytał.

W odpowiedzi wzruszyłam ramionami.

– Młotek jak młotek... W szopie są chyba ze trzy. Potem przyniosę jeden z nich do domu, a ten zakopię – oznajmił Marcin i wyszedł.

ROZDZIAŁ XIII

Z głośników sączyła się wesoła melodia, zupełnie niepasująca do sytuacji, a mimo to podkręciłam radio. Muzyka miała odciąć mnie od dźwięków dochodzących z piwnicy. Nie chciałam ponownie usłyszeć zgrzytu ostrza łopaty o cegły. Wylałam do zlewu resztę piwa i wrzuciłam butelki do kosza. Gdzie są kapsle? Jeden pod krzesłem, drugi blisko ściany. A trzeci? Nie ma! Ogarnął mnie niepokój. Muszę go znaleźć! Spokojnie, to tylko kapsel, nie dowód zbrodni. Retrospekcja. Już wiem. To Konrad go podniósł i chyba schował do kieszeni. Tak, na pewno. Miałam już iść do piwnicy, ale się zawahałam. Jeżeli każę Marcinowi wyjąć kapsel, ten znów uzna, że histeryzuję, i będzie miał rację. Przecież to przedmiot bez znaczenia. Chyba rzeczywiście powinnam wziąć coś na uspokojenie...

Otworzyłam apteczkę, starego, dobrego relanium nie znalazłam, były tu jakieś inne leki nasenne i melisa. Zdecydowałam się na ziółka, choć zapewne bardziej by mnie uspokoiły dwa kieliszki wódki. Zaparzyłam melisę i piłam ją, chodząc po kuchni.

Ile czasu zajmie Marcinowi ukrycie zwłok? Trzy, cztery godziny? Żeby tylko dobrze ułożył na nowo cegły, bo byle nierówność wystarczy, a Kaśka wezwie nową ekipę do naprawienia posadzki. Cholerna perfekcjonistka!

Sygnal komórki. Na wyświetlaczu pokazało się zdjęcie Gabrysi.

– Słucham, kochanie – powiedziałam nadzwyczaj spokojnie.

– Mamuniu, zrobiłam coś strasznego... – rozległo się w słuchawce piskliwe zawodzenie.

Mocny uścisk w klatce piersiowej. Jeden głęboki oddech i krótkie pytanie:

– Co się stało?

– Chryste, co ja zrobiłam? Ja się zabiję! Mam tego dosyć. Zabiję się!

– Kochanie, co się dzieje?

W odpowiedzi usłyszałam wiązaną przekleństw, ale nie był to głos Gabrysi. Ktoś przy niej stał, jakiś mężczyzna. Boże! Moje dziecko było w niebezpieczeństwie! Trzeba mu pomóc, trzeba ratować!

– Kochanie, mów natychmiast! Kto tam z tobą jest?

– Mamuniu, to mój kolega.

– Jaki kolega?

Mój głos zaczynał przechodzić w krzyk. Gabrysia, słysząc niepokój, odpowiedziała spokojniej.

– Nie znasz go, mamuniu. Zgodziłam się, że mu zrobię dredy. Właściwie to sama go na nie nakręciłam. Jestem głupia, po prostu kretynka, idiotka!

– Kochanie, przecież ty nie umiesz robić dredów. Dlaczego się do tego wzięłaś?

– Myślałam, że to proste... Przecież tyle razy widziałam, jak ty je robisz. Ale

jakoś mi nie wyszło. Mamuniu, błagam, ratuj!

– Spokojnie, dredy można rozplątać, zwłaszcza świeże. Sądzę, że mocno ich nie skręciłaś?

– Mocno, bardzo mocno je skręciłam. I już próbowałam rozplątać. Nie da się. Michał się szarpie. Mówi, że mu wyrywam włosy.

– Gabrysiu, ja jutro wracam do Poznania. Przyprowadzisz go do mnie, do zakładu. Potrwa to parę godzin, ale będzie miał włosy jak wcześniej. A jeżeli jeszcze będzie chciał, to za darmo zrobię mu profesjonalne dredy.

Słyszałam, jak Gabrysia powtarza moje słowa.

– Poszedł sobie – powiedziała w końcu. – Jest wściekły. Na jego miejscu też bym była. Miał takie ładne włosy, a ja mu je zniszczyłam. Tak mi głupio...

W jej głosie znów pojawiła się nuta rozpacz.

– Kochanie, nie przejmuj się. To nic złego. W końcu nikogo nie zabiłaś...

Umilkłam. Czym była zepsuta fryzura w obliczu morderstwa? Choć swego czasu sama nie przespałam paru nocy, bo zamiast pasemek pozostawiłam na włosach klientki nieładne plamki. A skoro cierpiałam na bezsenność po nieudanym farbowaniu czy cięciu, co będzie teraz, po zabójstwie? Jak ja sobie z tym poradzę? Przypomniała mi się zawartość przeglądanej niedawno apteczki. Pernazyna, stilnox, deprim, melatonina, leki na sen. Chyba będę musiała zaopatrzyć się w niektóre. Pomogą mi zasnąć, ale wyrzutów sumienia i strachu nie zagłuszą. Niestety.

Oparłam czoło o zimną szybę i zagapiłam się na rosnącą samotnie wierzbę. Przygnębiający widok. Żeby choć brzoza albo sosna, albo jakiegokolwiek drzewo bez tych smętnie zwisających gałęzi! Miałam spierzchnięte usta. Przesunęłam czubkiem języka po dolnej wardze. Chwila ulgi, jednak wiedziałam, że za chwilę uczucie suchości powróci z podwójną siłą.

Rozejrzałam się za balsamem do ust. W łazience go nie było, na toaletce w sypialni też nie. W pokoju z kominkiem na fotelu leżała torebka. Otworzyłam ją i wygrzebałam maleńki słoiczek. Odrobinę nałożyłam na usta. Nareszcie ulga, niestety tylko fizyczna. W lustrze zobaczyłam swoje odbicie: szara twarz z dziwnym wyrazem otępienia.

Przypomniałam sobie o dzwonku do drzwi wejściowych podczas transportu zwłok do piwnicy. Kto to mógł być? Jeżeli mieszkaniec Sztutowa, zapewne rozpoznał samochód Konrada, zielonego, charakterystycznego dżipa z naklejkami na bocznych szybach. Gdzie po raz ostatni widziany był zaginiony? Przed domem Katarzyny Lemańskiej. No może nie on osobiście, ale jego wóz owszem. Wyjrzałam na podwórko; auto stało przy samym ganku. Trzeba się go pozbyć. Dobrze, że Marcin wyjął z kieszeni Konrada kluczyki, bo żadne z nas nie poradziłoby sobie z łączeniem kabelków pod maską. Żeby tylko ten niespodziewany gość nie wrócił! Z mocno bijącym sercem lustrowałam okolicę, wypatrując

jakiegoś ruchu. A im dłużej patrzyłam, tym bardziej się bałam, tym więcej dostrzegałam zagrożeń. Wydawało mi się, że ktoś jest w szopie, że zaraz jakaś postać wyłoni się zza stodoły. Niemal widziałam ciemną sylwetkę materializującą się między drzewami jarzębiny... Wyobraźnia podsuwała mi Raskolnikowa zabijającego siekierą przypadkowego świadka zbrodni. A co, jeśli ten ktoś znów tu przyjdzie? Co z nim zrobimy? Zamordujemy? Wzdrygnęłam się. Boże! Co za straszne i absurdalne pomysły przychodzą mi do głowy! Nikogo nie będziemy mordować, po prostu nie otworzymy drzwi. Nie ma nas w domu. Jesteśmy na bardzo długim spacerze nad morzem, towarzyszy nam Konrad. Wrócimy późno, już po zapadnięciu ciemności. Zaprosimy jeszcze Konrada na kawę, ale on odmówi, tłumacząc, że jest z kimś umówiony. Pożegna się z nami na podwórku, wsiądzie do swojego dzipa, odjedzie i tyle go widziano. Tak, to dobra wersja zdarzeń. Nie można się wypierać, że tego dnia Konrada u nas nie było.

Oderwałam się od okna i poczłapałam do kuchni. W radiu leciały akurat najważniejsze sportowe wydarzenia. Skra Bełchatów pokonała Trentino Volley. Któryś z zawodników dziękował kibicom za głośny doping. A mnie bolała głowa. Czułam strach, żal i w dodatku ból, pragnęłam przerwać ten stan jak najszybciej. Koniak pomoże z pewnością!

Wyjęłam butelkę z kredensu, napełniłam wysoki kieliszek i wypiałam. Palący płyn powoli spływał do żołądka. Po chwili łyknęłam jeszcze. Gdy przechyliłam butelkę po raz trzeci, okazało się, że jest pusta. Ból w głowie narastał. W pokoju z kominkiem powinno być jeszcze wino, przypomniałam sobie. Nie, lepsze będzie coś na sen. Otworzyłam apteczkę. Deprim. Wzięłam pigułkę i powlokłam się do sypialni. Tabletkę, wzmocniona melisą i alkoholem, zadziałała natychmiast. Zasnęłam z kraciastym kocem naciągniętym na głowę.

Obudził mnie Marcin. Z trudem otworzyłam oczy, chroniąc je przedramieniem przed mocnym światłem żarówki.

– Skończyłem. Trochę mi zeszło, bo nie mam wprawy, ale skończyłem. Wszystko wygląda dobrze – powiedział zmęczonym głosem.

Usiadłam. Za oknem było już ciemno.

– Która godzina? – zapytałam.

– Po osiemnastej. Teraz trzeba zająć się jego samochodem. Im wcześniej się go pozbędziemy, tym lepiej.

Popatrzyłam niepewnie. W wizerunku Marcina coś mi nie pasowało. Przez chwilę nie potrafiłam określić, co to takiego. Papieros! Trzymał w dłoni żarzącego się papierosa!

– To Kaśki – wyjaśnił. – Na szczęście zostawiła paczkę. – Zaciągnął się z przyjemnością.

– Myślałam, żeby odstawić dzipa pod jego dom, ale nie znam adresu. Kaśka wie, była u niego.

Wypuścił dym nosem i pokręcił przecząco głową.

– Nie będziemy jej pytać. Dobrze byłoby, żeby do niego nie dzwoniła, nie szukała przez najbliższe dni. Nie chciałbym, żeby to ona pierwsza zauważyła jego zniknięcie. Lepiej, żeby ktoś miejscowy, a i to za jakiś czas. Za dwa, trzy tygodnie, kiedy nas tu już nie będzie. Rozumiesz?

Rozumiałam.

– Mieszkał sam, to dobrze – kontynuował Marcin. – To bardzo dobrze, nikt go nie będzie szukał, jak nie wróci na noc.

– Miał psa. Osioł będzie na niego czekał – odezwałam się.

– Niedobrze. Ciekawe, gdzie on go trzymał. Jeśli w zagrodzie, zwierzak przynajmniej nie będzie wałęsał się po Sztutowie... – Ponownie zaciągnął się papierosem. – Pojadę dżipem do Gdańska, zostawię go na jakimś osiedlu i wrócę autobusem.

– To nie jest dobry pomysł – stwierdziłam.

– Dlaczego? Masz lepszy?

– A jeżeli zatrzyma cię drogówka, co wtedy? Nie lepiej zostawić auto gdzieś w lesie?

Patrzyłam na rękawy jego swetra, brudne aż po łokcie. Prawa ręka, w której trzymał papierosa, drżała. Zrobiło mi się go żal.

– Boże, dlaczego nie pojechaliśmy na urlop do Egiptu? – wyszeptałam.

– Beata, proszę...

– ?

– Po powrocie do domu już nigdy nie wspominajmy o tym, co tu się stało.

Skinęłam głową na zgodę.

– Muszę już jechać. Ten samochód nie powinien tu dłużej stać – powiedział Marcin i ruszył do drzwi.

Poszłam za nim. Zatrzymaliśmy się w korytarzu. Marcin naciągnął na siebie zdjętą z wieszaka kurtkę Konrada. Z kieszeni wystawała żółto-czarna czapka.

– Na ganku stoi skrzynka z dorszami – mówił, zapinając zamek. – Są oskrobane, trzeba je tylko wypatroszyć. Sporo ich, ponad dwadzieścia. Zajmiesz się tym?

– Nie mam siły...

– Okej. To zostawimy je do jutra, nie powinny się zepsuć. Rano dwie godzinki i po robocie. A teraz tylko jakoś je zabezpieczę, żeby kot się do nich nie dobrał.

Podaliśmy mu kluczyki. Wzdrygnęłam się.

– Piłaś? – zapytał, wskazując na butelkę na kuchennym stole.

– Tak. Dwa kieliszki. I melisę, i tabletkę na sen.

– Szkoda. Gdybyś nie piła, mogłabyś po mnie podjechać. Zadzwońbym...

– Przyjadę – przerwałam.

– Tylko tego brakuje, żebyś się wpakowała samochodem do rowu! Siedź

w domu. A najlepiej położyć się spać.

– Gdzie w końcu zostawisz dzipa? – zapytałam.

– Sam nie wiem. Chyba już za późno, żeby jechać do Gdańska. Mogę nie złapać powrotnego kursu. Może gdzieś bliżej? Najlepiej na jakimś parkingu. W lesie zwracałby uwagę i zaraz ktoś zadzwoniłby na policję. Na parkingu może stać i stać całymi tygodniami.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem. Raczej nieprędko, może za parę godzin. Nie czekaj. Wezmę klucz.

– W proggu Marcin odwrócił się jeszcze. – Nie zamykaj na zasuwkę, bo będę musiał cię obudzić.

– Wzięłaś komórkę? – zapytałam.

– Tak.

Miałam dziwne przeczucie, że nie dopatryliśmy wszystkiego. Co jeszcze? Trzeba uważać na szczegóły, ważne drobiazgi, które przeoczone mogłyby nas zgubić. Złapałam Marcina za rękaw.

– O co chodzi? – zaniepokoił się.

Milczałam. Miałam pustkę w głowie.

– Czy myśmy o czymś nie zapomnieli? – zapytałam w końcu.

– Niby o czym?

– No właśnie nie wiem. Pytam.

I nagle sobie przypomniałam. Odciski palców!

– Mam rękawiczki – uspokoił mnie Marcin. – Nie bój się, nie zostawię na kierownicy śladów.

– Ale na kluczykach już są. Daj, wyczyszczę.

W szufladzie kuchennego kredensu, tej samej, z której przed kilkoma godzinami moja ręka bez udziału woli wyjęła młotek, znalazłam gumową rękawiczkę. Wciągnęłam ją i pod bieżącą gorącą wodą umyłam kluczyki. Dokładnie wytarłam je ścierką i odniosłam Marcinowi.

– Uważaj na siebie – powiedziałam łamiącym się głosem.

Chciało mi się płakać. Gdyby teraz mnie objął i próbował pocieszyć, rozkleiłabym się zupełnie. Na szczęście od razu wyszedł i przekręcił klucz z drugiej strony drzwi. Na rozdygotanych nogach powlokłam się do pokoju z kominkiem i stanęłam przy oknie. Patrzyłam, jak Marcin wsiada do dzipa i włącza światła. Samochód potoczył się w stronę drogi. Przyśpieszył. Światła migają chwilę pomiędzy drzewami, później znikły. Zostałam sama.

A raczej nie sama, bo z trupem w piwnicy. Dreszcz przeszedł mi po plecach. Ten wielki pusty dom był przerażający. Każdy cichy trzask wiekowych desek, każdy odległy odgłos wydawał się mieć w sobie coś złowrogiego. Zawróciłam do kuchni, wyjęłam z apteczki deprim i zaaplikowałam sobie kolejną tabletkę. Cel: przespać czas bez Marcina. Zostawiłam włączone światło w kuchni oraz w pokoju

z kominkiem i poszłam do sypialni. Wsunęłam się pod koc i odpłynęłam natychmiast.

Obudziłam się z silnym uczuciem trwogi, z walącym jak szalone sercem. Leżałam nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, i zastanawiałam się, co mnie tak wystraszyło. Może przyśnił mi się koszmar? Twarz miałam mokrą od potu, bluzkę również. Zerwałam się na odgłos zamykanych drzwi. Chyba w pokoju z kominkiem.

– Marcin! – zawołałam.

Odpowiedziała mi cisza. Czy to możliwe, że mój mąż już wrócił? Która godzina?

Przebiegłam przez ciemny korytarz i wpadłam do pokoju z kominkiem. Pusto. Nikogo. Mój wzrok powędrował w stronę grubych złotych wskazówek zegara na narożnej szafce. Siódma. Od wyjścia upłynęła niecała godzina! Czyżby coś się stało, coś nie powiodło?

– Marcin! – zawołałam ponownie.

Cisza.

A może to nie był odgłos zamykanych drzwi, może mi się tylko wydawało? Stałam, nasłuchując. Niemal wstrzymałam oddech. Kroki, ciche, powolne. Słyszałam je wyraźnie. Boże, ktoś jest w domu! Owładnął mną pierwotny strach, czyste przerażenie, związane z fizycznym zagrożeniem. Uciekać! Muszę stąd uciec, na podwórze, do samochodu. Kluczyki! Gdzie one są? Szkoda czasu na poszukiwania, niebezpieczeństwo jest zbyt blisko!

Rzuciłam się do drzwi frontowych, nieważne, że w samych skarpetkach. Złapałam za klamkę. Zamknięte. Dłoń powędrowała do zasuwki. Odsunięta. Dotarło do mnie, że znalazłam się w pułapce. Marcin zamknął mnie od zewnątrz! Nigdzie nie ucieknę. Przerażenie niemal odebrało mi świadomość.

– Kto tu? – zawołałam. A może tylko mi się wydawało, że wołam?

Cisza. Żadnych kroków, żadnego skrzypienia desek. Upiorny brak odgłosów, świadczący o przyczajonym zagrożeniu. Czekałam na cios, uderzenie, atak. Pot cienkimi stróżkami spływał mi po karku, pulsująca krew prawie rozrywała żyły. Próbowalam językiem zwilżyć wargi, ale ślina była zbyt gęsta.

Gdy wydawało się, że dłużej nie wytrzymam napięcia, kroki rozległy się ponownie. Na oślep rzuciłam się w stronę kuchni, skąd dochodziły. Otworzyłam drzwi i wpadłam do środka. Pusto. Co się dzieje? Czy ja zwariowałam? Czy te kroki istnieją wyłącznie w mojej głowie? Nie, są rzeczywiste! Teraz rozległy się za moimi plecami. Od tego kogoś dzieliły mnie zaledwie kuchenne drzwi. Odwróciłam się i w bezruchu czekałam, aż się otworzą. Zaraz stanę oko w oko z niebezpieczeństwem...

Nagle kroki zaczęły się oddalać, więc odruchowo, niemal bezgłośnie wymówiłam imię męża, wyciągnęłam przed siebie rękę i pchnęłam. Drzwi

otwierały się bardzo powoli, odsłaniając półmrok korytarza.

Wejście do piwnicy stało otworem. Jęknęłam. Ze strachu ledwie trzymałam się na nogach; lęk zmienił mnie w bezrozumną, rozdygotaną istotę. Bardzo powoli zbliżyłam się do otwartych drzwi i w nikłym świetle żarówki zobaczyłam strome schody i jakąś postać. Ktoś stał nad grobem Konrada! Poczułam, że tracę przytomność. Próbowałam przytrzymać się futryny, ale dłoń ześlizgiwała się z gładkiej powierzchni. Osuwałam się coraz niżej, aż w końcu uklęknęłam na progu. Ratując się przed omdleniem, wciągnęłam do ust haust zimnego piwnicznego powietrza.

Postać poruszyła się. Czarny płaszcz, czarny kapelusz. Boże, to nie człowiek, to upiór! Chciałam krzyczeć, ale nie miałam siły. Czarna zjawa podeszła do schodów i zaczęła się wspinać po stopniach. Była coraz bliżej. Deski skrzypiały groźnie, wieszcząc nadejście zła.

– Pani Beato, co pani jest? – usłyszałam.

Znałam ten głos, ale nie potrafiłam połączyć go z osobą. Wiedziałam tylko, że nie jest dla mnie zagrożeniem. Ulga spływała powoli. Wraz ze spadkiem napięcia pojawiły się łzy. Płakałam bezgłośnie.

– Pani Beato, co się z panią dzieje?

Rozumiałam sens słów, ale nie mogłam pojąć, dlaczego ten ktoś pyta.

Przede mną pojawiła się twarz. Znałam ją, choć nie mogłam przypomnieć sobie, do kogo należy. Ten ktoś mnie podniósł. Jego twarz znowu znalazła się przed moimi oczami.

– Pani Beato, przepraszam. Pani jest przerażona... To przeze mnie, przepraszam!

Czarny upiór w płaszczu i kapeluszu wziął mnie pod ramię i poprowadził do kuchni. Nie opierałam się.

– Pani Beatko, kochana, nie chciałam! Proszę mi wybaczyć...

Patrzyłam na zdejmującą czarny kapelusz kobietę. Miała siwe, gładko zaczesane włosy i złote koła w uszach. Rozpoznałam panią Henrykę.

– Co pani tu robi? – zapytałam cicho.

– Przyjechałam porozmawiać. Mam bardzo ważną sprawę, naprawdę. Tego nie można tak zostawić...

– Ale co pani robiła w piwnicy? Czego pani tam szukała?

W moim głosie pojawiła się agresja. Byłam zła na starszą panią za swój strach. Za to, że bawiła się ze mną w ciuciubabkę, skradając się po domu i nie odpowiadając na moje wołanie.

– Pani Beatko, ja musiałam tam zejść! Ta piwnica śni mi się po nocach od ponad dwudziestu lat, jest moim największym koszmarem. Czy pani uwierzy, że mieszkając tutaj przez tyle lat, nie zeszłam do niej ani razu? Dzisiaj po raz pierwszy...

Pani Henryka zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez poręcz krzesła. Wygładziła na biodrach kraciatą sukienkę.

– Na ganku widziałam w skrzyni dorsze – ciągnęła. – Powinna je pani wypatroszyć, bo się zepsują. Długo tam stoją?

Milczałam, próbując uporządkować myśli. Pani Henryka sama odpowiedziała sobie na pytanie.

– Chyba długo, bo jak byłam tu kilka godzin temu, już tam stały. Musi się pani za nie wziąć. Najpóźniej jutro z rana.

– Jak pani tu weszła? – zapytałam.

Kobieta pochyliła się nad krzesłem i z kieszeni płaszcza wyjęła klucz. Położyła go na stole.

– Proszę go przekazać pani Kasi. To od tych wąskich drzwi w końcu korytarza, prowadzących do sadu. Zawieruszył się w naszych rzeczach, gdy się wyprowadzałyśmy, znalazłyśmy go dopiero niedawno. Wzięłam go dzisiaj ze sobą, żeby oddać.

Patrzyłam podejrzliwie to na klucz, to na panią Henrykę. Pochwyciła to spojrzenie.

– Dzwoniłam, długo dzwoniłam do drzwi – zaczęła się tłumaczyć. – W domu paliło się światło, a wy nie otwieraliście. Nie wiedziałam, czy jesteście, czy nie. Przeszłam się chwilę po okolicy, odczekałam trochę, pomyślałam, że sprawdzę. Miałam klucz, to sobie otworzyłam. Przepraszam za tę samowolę, ale nie chciałam wracać do Malborka bez niczego. Chciałam z wami porozmawiać, z panią i pani mężem. A pan Marcin to gdzie jest?

Wystraszyła mnie. Gorączkowo szukałam bezpiecznej odpowiedzi, ale mój umysł, spowolniony tabletkami nasennymi, opierał się myśleniu. Może powiem, że Marcin odsypia poranny połów dorsza? Nie, to niedobry pomysł. Trzeba powiedzieć, że gdzieś pojechał. Nie, nie mógł, bo przecież na podwórku stoi nasz samochód. Jakoś jednak muszę usprawiedliwić jego nieobecność.

– Mój mąż wybrał się... No właśnie, na plażę, uwierzy pani? Z aparatem fotograficznym. Bo on jest zapalonym fotografem, bierze udział we wszystkich konkursach. Teraz się napalił, żeby zrobić nocne zdjęcia morzu. Odradzałam mu, tylko zmarznie, ale się uparł. Dobrze, że chociaż wziął rękawiczki. Mnie by się nie chciało tak stać i czekać, aż zdjęcie się naświetli. On wyszedł, a ja położyłam się i od razu usnęłam. Nie słyszałam, że pani dzwoni.

Pani Henryka z delikatnym uśmiechem kiwała potakująco głową.

– Może kawę? Albo herbatę? – zaproponowałam.

– Dziękuję, już piłam dzisiaj kawę. Gdy nie zastałam państwa po południu, poszłam odwiedzić koleżankę. Mieszka niedaleko kościoła, też nauczycielka, pracowałyśmy razem. Tak się ucieszyła na mój widok! Trochę powspominałyśmy dawne lata. Oczywiście nakarmiła mnie, normalny obiad zjadłam, no i kawę

wypiłam. Przenocuję u niej, bo do Malborka nie mam już czym wrócić.

– To napijemy się soku pomarańczowego – powiedziałam, otwierając lodówkę.

Moje ruchy były powolne, trochę niepewne. Usiłowałam przypomnieć sobie, czy mam jakieś ciastka albo cukierki. Otworzyłam jedną szafkę, potem drugą i trzecią. Nic. Tylko rodzyнки, suszone morele i musli, nienadające się raczej na poczęstunek. Napełniłam dwie szklanki sokiem i usiadłyśmy przy stole naprzeciwko siebie.

– O czym chciała pani z nami porozmawiać? – zapytałam.

Pani Henryka rozejrzała się niepewnie po kuchni, jakby nie pamiętała, po co przyszła.

– Nie poczekamy na pana Marcina?

– Na pewno wróci późno. Nigdy się nie śpieszy, gdy pstryka te swoje zdjęcia.

– Może to i lepiej, że go nie ma... – oznajmiła cicho pani Henryka.

Przycisnęłam palcami skronie. Rozmowa wymagała sporej koncentracji, a ja najchętniej zamknęłabym oczy i odpłynęła w błogą nieświadomość. Niechże ta kobieta już powie, z czym przyjechała, i niech sobie idzie!

– Słucham panią – ponagliłam.

– Pani Beatko kochana... Musimy wyprawić mu pogrzeb. Normalny pogrzeb, z księdzem.

– Komu? – Przed oczami stanął mi Konrad.

– Muszę pani o czymś powiedzieć... O czymś ważnym. Bo widzi pani, te szczątki, które znaleźliście, to wcale nie były szczątki pana Majewskiego.

– Wiem – odparłam.

– Wie pani? Skąd?

Pani Henryka była zaskoczona.

– Pewna wiarygodna osoba poinformowała nas, że pan Majewski przeprowadził się do Warszawy. Podobno był przez wiele lat pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego.

– Czy wie pani, czyj był ten grób? Ten w piwnicy? – zapytała pani Henryka.

– Tylko się domyślam.

Patrzyłyśmy na siebie w milczeniu. Starsza pani poprawiła mankiety przy rękawach sukienki i wygładziła biały kołnierzyk.

– Pani natomiast wie doskonale, czyje to były szczątki – stwierdziłam pewnym głosem.

– Owszem.

– Staszka? – zapytałam.

– Tak. Właśnie jego.

Oto poznałam tożsamość nieboszczyka sprzed lat. Zagadka, którą tak się ekscytowałam przez ostatnich kilkanaście dni, została rozwiązana, ale nic mnie to

nie obeszło. W obliczu mojej własnej zbrodni wszystko inne straciło znaczenie.

– A więc to prawda... – powiedziałam beznamiętnie.

– Ten list, który pani znalazła na strychu... – zaczęła pani Henryka. – Ten list mną wstrząsnął. Miałam wrażenie, że jest zaadresowany do mnie, do mojego sumienia. List z za grobu, to straszne.

– Skąd pani wie, że to Staszek? Skąd ta pewność?

– Po prostu wiem, kochana pani Beatko.

– Ale skąd? A w ogóle to kto go zabił? – dopytywałam.

– Karl. To Karl go zabił.

Dosłownie wypluła z siebie te słowa. Jakby nie mogła się doczekać, aż je wypowie.

Od samego początku Karl przewijał się przez całą tę sprawę, teraz jednak informacja ta zaskoczyła mnie nieco, a raczej rozczarowała. Zwyczajnie nie chciałam, żeby to był on. Zazdrosny mąż pięknej Sabiny lepiej nadawał się do tej roli.

– Dlaczego Karl to zrobił? I skąd pani wie, że to on? – powtórzyłam pytanie.

Pani Henryka podparła brodę dłonią i spojrzała mi prosto w oczy.

– Ja go kochałam – wyznała. I widząc moją reakcję, wyprostowała się gwałtownie. – Nie, nie Karla. Staszka. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia, wtedy gdy podarował mi róże. W jego uśmiechu, w jego wesołych oczach. Jacy my byliśmy ze sobą szczęśliwi! Nie przeszkadzało mu, że jestem od niego starsza, to raczej był mój problem. Czekałam na wakacje, na żniwa, bo wtedy tutaj przyjeżdżał. Oficjalnie po to, żeby sobie dorobić przy pracy w polu, a tak naprawdę do mnie. Tylko do mnie. Leżeliśmy razem w zbożu i patrzyliśmy w niebo. Nic nas nie obchodziło. Wokół mogły dziać się cuda i przechodzić katastrofy, my mieliśmy tylko siebie. Planowaliśmy, że się pobierzemy, ale najpierw on miał skończyć studia. Nikt nie wiedział o naszej miłości. Nie wiem, czemu tak ją ukrywaliśmy. Chyba się bałam, że siostra i szwagier będą mi odradzać małżeństwo z tak młodym chłopakiem... Dostałam od Staszka broszkę, piękną, srebrną, w kształcie ptaka. Kupił ją na Jarmarku Dominikańskim. Mam ją do dziś, mocno poczerniała. Jak ja wtedy pięknie wyglądałam, w czerwonej sukience i z tą broszką na piersi! Miałam wtedy czarne, grube włosy, dwa warkoczki. Staszek nazywał mnie Anną Kareniną. Zresztą nasza miłość była jak u Tołstoja, romantyczna i tragiczna. On skończył wreszcie studia i podjął pracę w „Głosie Wybrzeża”. Na żniwa już nie przyjeżdżał, bo nie mógł. Przecież pracował. Więc ja pojechałam do niego. Po raz pierwszy. Wiozłam mu czereśnie. Sama je zrywałam o piątej rano, wybierałam te najpiękniejsze, największe i niepopękane. Pamiętam, że Staszek zabrał mnie do jakiejś zadymionej kawiarni. Nie podobało mi się tam, było tłoczno i głośno. Rozmowa się nie kleiła. Co chwila wchodził ktoś z jego znajomych, on się zrywał i biegł się przywitać. Wszystkich częstował moimi czereśniami, do mnie wracał

dopiero po kilku minutach. Nikomu mnie nie przedstawił. Dobrze przyjrzałam się dziewczynom, z którymi się obcałowywał na powitanie. Były młode. Wyglądały inaczej niż ja. Wszystkie w dżinsach i w kolorowych bluzkach. Aż głupio się czułam w mojej czarnej sukience z bistoru. Gdy powiedziałam, że muszę już wracać, odetchnął z ulgą. Usłyszałam to wyraźnie. Oto spadał mu z głowy kłopot. Nie musiał załatwiać dla mnie, dla nas, noclegu... Więcej już do niego nie pojechałam, ale każdego dnia czekałam, aż się pojawi. Przyjechał dopiero po sześciu latach, w stanie wojennym. Po mięso, ser i jajka. Miałam już wtedy prawie czterdziestkę, ale znów uwierzyłam, że teraz zacznie się dla nas nowe życie, wspólne. Staszek dał mi powód, żebym tak myślała. Był dla mnie bardzo miły. Nazwał mnie nawet raz Anną Kareniną, jak kiedyś. I może wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pojawiła się ona...

Pani Henryka umilkła. Zaciskała dłonie. Dwie zmarszczki, biegnące po obu stronach nosa ku kąciom ust, jakby się pogłębiły w ciągu ostatnich minut.

– Mówi pani o Sabinie? – zapytałam.

– Tak, o niej, o pięknej Sabinie. Czy uwierzy pani, że obściskowała się z nim na oczach całego Sztutowa, pod kościołem, przy sklepie? A przecież była mężatką! Nie miała wstydu, honoru! I jeszcze własną córkę w to wciągała. Trzyletnie dziecko zabierała na spotkania z kochankiem, obrzydliwe! A najgorsze było to, że przyłaziła za nim tutaj. Chichotała jak nastolatka i machała tymi swoimi blond włosami we wszystkie strony. Może i była ładna, ale klasy nie miała za grosz. Dobrze, że jej Natalia trafiła pod moje skrzydła, bo nie wiem, co by z niej wyrosło...

Uniosłam brwi.

– Natalia była moją uczennicą – wyjaśniła pani Henryka. – Przez osiem lat czuwałam nad jej wychowaniem. Efekty są widoczne gołym okiem. Dzisiaj jest uznanym lekarzem i wspaniałą kobietą.

Ponownie napełniłam sokiem szklanki. Upiłam nieco.

– Pani Henryko, jak to się stało, że Karl zabił Staszka?

Wzrok mojego gościa powędrował w stronę makatki przedstawiającej żółte tulipany.

– Wie pani, że kiedyś w tym samym miejscu wisiał kawałek obrusu z wyhaftowanymi dwoma kotkami? – oznajmiła starsza pani z nienaturalnym ożywieniem. – Dzieło Janki, kilka wieczorów na nie poświęciła. Te kotki były naprawdę słodkie. Wszyscy się nimi zachwycali. Również nocujące u nas jakieś dziesięć lat temu małżeństwo z Warszawy. Chcieli kupić ten kawałek obrusu, ale kto był brał za coś takiego pieniądze? Janka po prostu im go dała.

– Pani Henryko, Staszek dostał siekierą w głowę. To było morderstwo, nie zaś nieszczęśliwy wypadek. Dlaczego Karl go zabił? Proszę mi powiedzieć.

Owładnęła mną zwykła ludzka ciekawość. Bałam się, żeby ta dystygowana

kobieta, która wyjawiała mi największy sekret swojego życia, nie uznała, że na tym już koniec. Jeszcze wstanie i wyjdzie, zabierając ze sobą sekret śmierci Staszka!

– Gdy była pani tutaj z siostrą, wspomnieliście, że mąż Sabiny odgrażał się, że zabije Staszka. – Spróbowałam pociągnąć ją za język. – Potem udało mi się ustalić, że Staszek zaginął właśnie wtedy, gdy tu przyjeżdżał, gdy romansował z Sabiną. Kochanek i zazdrosny mąż... Jeżeli jeden znika, to drugi musi mieć z tym coś wspólnego. Każdy by tak pomyślał i ja również. Wczoraj nawet byłam w tej sprawie u niej, to znaczy u pani Sabiny, ale zaprzeczyła stanowczo, jakoby to jej mąż miał zabić Staszka. Nie żeby go broniła. Po prostu uważa, że nie był do tego zdolny.

Pani Henryka wydawała się zaciekawiona moimi słowami.

– Czy ona jeszcze długo czekała? – zapytała.

– Czy długo...? – powtórzyłam, nie do końca rozumiejąc sens pytania.

– Mieli podobno razem uciec do Szwecji – wyjaśniła pani Henryka. – Mieli rozpocząć wspólne życie, gdy zniknął. Przecież nie wiedziała, że nie żyje, musiała na niego czekać. Ja bym czekała. A ona? Ile miesięcy, ile lat? Chciałabym to wiedzieć.

Informacja za informację, oto kolejny etap rozmowy... Ja jej wyjawię, co mówiła Sabina, a ona powie mi, co się tutaj wydarzyło prawie trzydzieści lat temu. Powróciłam myślami do wczorajszej wizyty. Próbowałam ją odtworzyć w pamięci i zrelacjonować dokładnie.

– Dwa miesiące. Później pojechała do Gdańska, żeby sprawdzić, ale Staszka nie było. Od Karla dowiedziała się, że znikł. Pomyślała, że po prostu wyjechał bez niej, i przestała czekać. Dopiero jakiś czas temu dowiedziała się z Internetu, że zaginął i że stało się to wtedy, gdy mieli razem wyjechać. I że matka wciąż go szuka.

– Dwa miesiące... Tylko dwa miesiące... Penelopą to ona nie jest, o nie. Ja na niego czekałam kilka lat, a byłam gotowa całe życie. Żeby on wiedział, że ona tylko dwa miesiące, a ja całe życie...

– Pani Henryko, Karl przecież nie mógł zabić Staszka. Przecież od dawna już tu nie mieszkał. Poza tym był już starym, słabym człowiekiem. No i po co miałby mordować własnego pasierba? Pani mnie okłamała.

Wstałam i spojrzałam na starszą panią z góry. Uśmiechałam się. Dominowałam nad nią, a ona traciła pewność siebie. Chyba najchętniej by stąd uciekła. Uniosła się lekko, jakby chciała wstać, ale zaraz opadła na krzesło. Wyciągnęłam w jej stronę palec.

– To pani go zabiła! – krzyknęłam.

Zaskoczyło mnie własne zachowanie, ale jednocześnie poczułam jakąś niezdrową satysfakcję.

– Nie, nie zabiłam go – wyszeptała skulona pani Henryka. – To Karl...

– A skąd pani wie, że mieli wyjechać do Szwecji? – Nie przestawałam

krzyczeć. – Już wtedy pani o tym wiedziała i postanowiła, że na to nie pozwoli!

Napawałam się widokiem przerażonej kobiety. Chciałam, żeby się bała, jak ja się boję, bo zabiłam Konrada. Ten strach prędko mnie nie opuści. Dlaczego ona ma mieć lepiej?

– Pójdzie pani do więzienia! Ta zbrodnia jeszcze się nie przedawniła!

Pani Henryka przechyliła się w stronę swojego płaszcza.

– Nie ucieknie pani! – wrzasnęłam, aż zadrapało mnie w gardle.

– Pani Beatko, proszę się uspokoić... Zapewniam panią, że nie ja zabiłam Staszka. To zrobił Karl. Zrobił to na moich oczach.

Opadłam na krzesło. Cała dygotałam.

– Pamięta pani, jak Janka opowiadała, że pewnego dnia Staszek przyjechał do nas z Karlem? – ciągnęła pani Henryka. – Rzekomo Karl chciał raz jeszcze zobaczyć stare kąty. Uwierzyliśmy w to wszyscy, a jakże. Cel ich wizyty był jednak zupełnie inny. Przyjechali, zjedli obiad, trochę porozmawialiśmy o polityce, bo to wtedy wszystkich zajmowało. Było miło, ale czułam jakieś napięcie. Chyba czekałam, że Staszek wstanie, przeprosi nas i poleci do niej... On jednak wciąż siedział przy stole. W pewnym momencie zaczął mówić, że ma dla nas propozycję, że wszyscy możemy trochę zarobić, że rzecz jest bezpieczna i prosta. Pomyśleliśmy, że chodzi o handel mięsem i jajami na większą skalę. Mój szwagier oznajmił, że pogadają o tym wieczorem, bo teraz musi jechać do Nowego Dworu, no i pojechał, a Janka razem z nim. A ja zostałam ze Staszkiem i Karlem. Obaj bez słowa wyszli z domu, a po chwili wrócili z łomem, łopatą i jeszcze z jakimiś narzędziami. Zeszli do piwnicy i zaczęli rozwalać podłogę pod schodami. Wpadłam tam i zażądałam wyjaśnień, ale ten stary szkop kazał mi się wynosić. Popchnął mnie, a Staszek w ogóle nie zareagował. Dalej uderzał łomem w podłogę, aż na boki leciały odłamki cegieł. Normalnie cała się trzęsłam. Wrzasnęłam, że zawiadomię policję. I wtedy Staszek się wyprostował i powiedział, że tu jest ukryte złoto, że ja i moja siostra też na tym skorzystamy. Uwierzyłam mu. U nas od zawsze krążyły legendy o niemieckich skarbach. Podobno niektórzy nawet coś wykopywali...

Wróciłam do kuchni, pozmywałam po obiedzie, zrobiłam sobie kawę, potem herbatę. I czekałam. Miałam wrażenie, że trwa to wieki. Aż w końcu usłyszałam podniesione głosy. Kłócili się. Stałam w uchylonych drzwiach piwnicy. Nie poznawałam Staszka. Klął, strasznie klął, wyzywał Karla od cholernych esesmanów. Podstawiał mu pod nos dłoń, w której trzymał kilka złotych pierścionków i obrączek. Chciał wiedzieć, gdzie jest reszta. Karl zapewniał, że to wszystko. „Obiecowałeś mi złote góry”, krzyczał Staszek. „Miało wystarczyć na wywiezienie do Szwecji kobiety i dziecka, a tu co? Prawie nic. To dla paru marnych obrączek zamordowałeś w obozie tylu ludzi?”. A Karl na to, że to nie byli ludzie, tylko Żydzi. Staszek splunął mu w twarz i odwrócił się. Chciał wyjść

z piwnicy, ale Karl złapał go za ramię i zażądał, żeby teraz podzielili się złotem, bo taka była umowa. Staszek tylko się roześmiał. Wszedł na pierwszy schodek, potem na drugi. I wtedy mnie zauważył. Zatrzymał się i patrzył jak zahipnotyzowany. Widziałam, jak Karl podnosi coś z podłogi, jak się na niego zamierza... Nie śpieszył się wcale. Miałam czas, żeby krzyknąć, ostrzec, ale tego nie zrobiłam. To nie była siekiera, tylko łom. Staszek nawet nie jęknął. Zwalił się ciężko na posadzkę. A ja wciąż stałam i patrzyłam. Chyba byłam w szoku. Dopiero gdy Karl zaczął wchodzić po schodach i zbliżył się do mnie na wyciągnięcie ręki, rzuciłam się do ucieczki. Oczywiście było, że teraz zabije mnie. Złapał mnie przy drzwiach frontowych i przycisnął. Był stary, ale niesamowicie silny. Powiedział, że jak go wydam, to mój szwagier i siostra będą mieli kłopoty na równi ze mną, bo zostanę oskarżona o współudział. Zapytał, czy na pewno chcę, żeby sąsiedzi na nasz widok spluwali i ze wstrętem odwracali głowy, czy chcę, żeby uczniowie wołali za mną „morderczyni”? Bo on już się o to postara, żebyśmy nigdy nie zaznali spokoju. Potem jeszcze dodał, że teraz pomogę mu zrobić porządek. Nie rozkazywał, po prostu stwierdził fakt. Zaciągnął mnie do piwnicy i najpierw kazał pozbierać rozsypane obrączki i pierścionki. Zgarniałam je, przesuwając się na kolanach po zimnej posadzce. Obok leżało ciało Staszka. Karl przystąpił do powiększania dziury pod schodami. Patrzyłam na niego, ściskając w dłoni złoto. A później on kazał mi je oddać i rozebrać Staszka. Bałam się spojrzeć na zwłoki, a co dopiero je dotknąć! Pamiętam, że się rozpłakałam. Więc Karl pogonił mnie na strych po jutowy worek, a sam wziął się do pozbawiania trupa ubrania. Przyniosłam ten worek, ale nie weszłam do piwnicy, tylko zrzuciłam go z góry i uciekłam do kuchni. Po jakimś czasie Karl mnie zawołał, ale ja miałam zatkanie dłońmi uszy i strasznie płakałam. Przyszedł po mnie, zasapany, i powiedział, że muszę mu pomóc wrzucić ciało do dołu. Poszliśmy i zobaczyłam potworny obrazek: nagie zwłoki, ubranie Staszka rzucone w kąt... I jakiś szkielet, prawdziwy kościotrup! Zaczęłam wrzeszczeć jak opętana, przestałam, dopiero gdy Karl uderzył mnie w twarz. Przewróciłam się, próbowałam uciec z piwnicy. Na czworakach wspinałam się po schodach, ale on mnie z nich ściągnął. Trząśł mnie i krzyczał mi wprost do ucha, że mam się uspokoić. Wyciągnął z kieszeni jeden z tych złotych pierścionków i wcisnął mi go na palec. Powiedział, że to dla mnie, tylko muszę być grzeczna. Potem nie mogłam zdjąć tego pierścionka, dopiero mydliny pomogły. Na drugi dzień wrzuciłam go do szamba.

Pomogłam Karlowi zaciągnąć zwłoki do dołu i natychmiast uciekłam do kuchni. Przyszedł do mnie ponownie jakieś pół godziny później, z worem na plecach. Ciężko dyszał, bardzo ciężko, jak to stary i schorowany człowiek. Przeraziłam się, że zaraz mi wykorkuje, a ja nie miałam ochoty na trzeciego trupa w domu. Usiadł na krześle, worek postawił między nogami. Kazał mi przynieść swój płaszcz; miał w nim tabletki. Podałam mu wodę. Milczał długo, miałam

wrażenie, że nad czymś się zastanawia. Powiedział wreszcie, że Alojzy musi dokończyć jego robotę, że powinnam przekonać siostrę i szwagra, że to był wypadek, że dla nas wszystkich będzie lepiej, jeśli nikt się o tym nie dowie. Dodał jeszcze, że nie chciał zabić Staszka. Wyciągnął z kieszeni złotą obrączkę, położył ją na stole i powiedział, że to dla Alojzego. Ta obrączka też trafiła do szamba... Później Karl włożył płaszcz, zarzucił worek na plecy i wyszedł. W tym worku zapewne miał ubranie Staszka. No i tego kościotrupa. Skoro w piwnicy wykopaliscie tylko jeden szkielet, to znaczy, że on musiał wtedy zabrać ten drugi. Tak chyba było, bo jeśli dobrze pamiętam, ten worek mocno mu ciążył. Do dziś się zastanawiam, czyj to szkielet. Czy to możliwe, że kilka lat wcześniej Karl zabił kogoś innego? Jak pani myśli?

– To nie Karl zabił, a jego dziadek. Tak przynajmniej mówiła pani Anna, która podobno wie o tym od męża. Choć tak naprawdę nie wiadomo, kto zabił tego Żyda, bo przecież Karl nie musiał żonie powiedzieć prawdy...

Pani Henryka wyprostowała się i popatrzyła na mnie zaskoczona.

– O czym pani mówi? Jakiego Żyda?

– Podczas wojny. Uciekiniera ze Stutthofu – odparłam.

Starsza pani założyła za ucho siwy kosmyk.

– A więc pani Ania żyje, biedaczka... – mówiła, patrząc na swoje dłonie. – Tak mi jej szkoda! Lepiej, żeby się nie dowiedziała, że to Karl zabił jej syna, jej Staszka. To byłoby zbyt okrutne. Nie mówcie jej tego. Nie mówcie, kto jest mordercą.

Myślałam podobnie. Anna Dietrich powinna pozostać w przekonaniu, że jej mąż był wspaniałym człowiekiem. W przeciwnym razie umrze w poczuciu winy, że dopuściła do tragedii, bo w porę nie dostrzegła, do czego zdolny jest jej Karl.

– Dlaczego pani nie opowiedziała nam o tym podczas pierwszej wizyty? – zapytałam.

– Przy mojej siostrze nie mogłam. Tyle lat nawet przed nią ukrywałam mój związek ze Staszkiem, a potem jeszcze tę kolejną tajemnicę... Trudno jest wyjawić prawdę bliskiej osobie, zwłaszcza po tylu latach milczenia. Poza tym wiem, jak by zareagowała. Już widzę to jej karcące spojrzenie, tę oburzoną minę. Nie, nie chcę, żeby dowiedziała się kiedykolwiek.

– Jak to możliwe, że pani Janka nic nie wie? Musiała wiedzieć, musiała! Przecież jej mąż miał dokończyć zakopywanie zwłok.

Pani Henryka gwałtownie pokręciła głową.

– Nic im nie powiedziałam, zupełnie nic – zaprotestowała. – Tamtego dnia, gdy wrócili do domu, byłam odrętwiała. Drewno, mówię pani, dosłownie. Alojzy dziwił się, że naszych gości już nie ma, ale coś tam bąknęłam, że się śpieszyli. Poszłam do swojego pokoju i padłam na łóżko, sztywna jak kłoc. Nawet nie mogłam ruszyć głową. Myślałam tylko o tym, że do końca życia będę sama, bo Staszek nie żyje. Przyznaję, bardziej wówczas myślałam o sobie niż o nim.

Płakałam, gryzłam poduszkę i własne ręce. Jednak nad ranem żal i to potworne napięcie zaczęły odpływać. Powoli powracały rozsądek i jasność myślenia. Najpierw uświadomiłam sobie, że Staszka utraciłam już wcześniej, mianowicie wtedy, gdy pojawiła się w jego życiu Sabina. Wyjechałby z nią do Szwecji i tyle bym go widziała. Może więc lepiej, że nie żyje? Potem zaczęłam się zastanawiać, co dalej. Ogarniało mnie przerażenie na myśl, że Alojzy i Janka mieliby się dowiedzieć o wszystkim. Z każdą minutą nabierałam przekonania, że nikt nigdy nie powinien poznać prawdy. Nie zawsze można liczyć na zrozumienie, na ludzką wyrozumiałość, zwłaszcza w wypadku morderstwa. Nie w takiej małej społeczności jak Sztutowo.

Rano poszłam do pracy, do szkoły. Miałam już w głowie cały plan: w zakopaniu zwłok miał mi pomóc mój były uczeń, Witek. Idealnie się nadawał, dobry w robotach budowlanych i opóźniony w rozwoju, z poważnymi problemami mowy. Nikomu nie wygadałby mojej tajemnicy. Musiałam tylko na parę godzin pozbyć się z domu Janki i Alojzego. Modliłam się, żeby żadne z nich nie zeszło do piwnicy. W pokoju nauczycielskim, w szafce, stała nierozpoczęta paczka kawy, w tamtych czasach prawdziwy skarb. Wzięłam ją, nie licząc się z konsekwencjami. Po lekcjach pobiegłam do znajomego, który miał sanie i konie, dałam mu tę kawę i poprosiłam, żeby przyjechał do nas za dwie godziny i pod byle pretekstem zabrakł moją siostrę i jej męża na kulig, aż do Kątów Rybackich. Janka uwielbiała kuligi, ale szwagier nie chciał jechać, bo robota, bo obrządek. Niemal na siłę wypchnęłam go z domu, przekonując jeszcze, że w Kątach powinni odwiedzić starego drwała. Gdy zamknęłam za nimi drzwi, zbiegłam do piwnicy. Byłam tak poruszona, że nawet się nie bałam. Staszek leżał w dole, przykryty cienką warstwą ziemi i kawałkami cegieł. Bałam się, że Witek na widok trupa ucieknie, więc pobiegłam do stodoły i przytargałam dwa worki torfu. Wysypałam je na Staszka. Było nieco lepiej.

Witek pojawił się, ciągnąc za sobą wyładowane sanki, na których miał trochę cegieł i cement, i od razu wziął się do roboty. Nawet na sekundę nie spuszczałam go z oka. Trochę mu pomagałam. Niestety, nowa posadzka bardzo się odróżniała od pozostałej. Przez pół godziny wdeptywałam w nią i wcierałam rękami ziemię... Wykonaliśmy z Witkiem kawał dobrej roboty, skoro przez tyle lat nikt nie zauważył, że posadzka została uzupełniona.

Pani Henryka wstała od stołu, zostawiając niedopity sok. Włożyła kapelusz i sięgnęła po płaszcz.

– To już koniec – powiedziała.

Nie ruszyłam się. Dla mnie to nie był koniec. Chciałam wiedzieć coś jeszcze. Coś bardzo ważnego.

– Pani Henryko, jak się pani żyło z tą tajemnicą? – zapytałam, wstrzymując oddech.

Powoli zapinała płaszcz, wpatrując się w swoje buty. No tak, już nic nie usłyszę, pomyślałam.

– Ciężko, pani Beatko. Bywało naprawdę ciężko. Najgorsze są noce, te bezsenne i te z koszmarami. Prawie każdej śni mi się, że nie mogę wyjść z tej ciemnicy, że cegły zapadają się pod moimi stopami. Boję się piwnic. Nawet teraz, kiedy mieszkamy w bloku, czuję lęk za każdym razem, gdy do niej schodzę. A przecież jest taka inna od tej tutaj! Mam jednak nadzieję, że teraz, gdy o tym opowiedziałam, gdy Staszek trafi do poświęconej ziemi, jak chciał, będzie mi łatwiej.

Wzięłam klucz, który przyniosła. Wyszłyśmy na korytarz, pani Henryka pierwsza, ja za nią. Skierowała się do drzwi frontowych.

– Nie tutaj! – zawołałam.

Odwróciła się, zaskoczona.

– Te drzwi zamknięte są od zewnątrz – wyjaśniłam. – Mąż mnie zamknął, bo miałam położyć się spać. Chodziło o to, żeby mógł wejść bez budzenia mnie.

Skinęła głową ze zrozumieniem i ruszyła w stronę wąskich metalowych drzwi na końcu korytarza.

– Czy zawiadomić panią o terminie pogrzebu? – zapytałam.

– Nie, raczej nie – odparła po chwili. – Nie chciałabym spotkać się z panią Anią. Ja już swoje zrobiłam. Wyjawiłam, że te szczątki to on.

Pani Henryka wyszła na niewielką drewnianą werandę, a potem schodkami podążyła wprost do sadu. Przez chwilę widziałam ją w świetle padającym z korytarza. Szła powoli, ostrożnie, nie odwracając się, aż w końcu znikła w ciemności. Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami. To już koniec historii, wiem wszystko. Może za pięćdziesiąt lat ktoś wykopie Konrada i zacznie rozwiązywać zagadkę jego śmierci, ale mnie to już dotyczyć nie będzie.

Powlokłam się do kuchni. Włączyłam radio i usiadłam przy stole. Pożałowałam, że nie ma tu telewizora. Przez tyle dni nie czułam jego braku, ale teraz potrzebowałam skoncentrować uwagę na czymkolwiek. Program informacyjny czy publicystyczny nadawał się do tego doskonale. Pomyślałam, że mogę uruchomić laptopa i trochę pomyszkować w nowościach fryzjerskich, nie mogłam się jednak zmobilizować. Ssanie w żołądku przyprawiło mnie o mdłości i przypomniało, że dzisiaj zjadłam tylko śniadanie. Powinnam coś przekąsić i przygotować kolację dla Marcina. Lodówka była prawie pusta, kilka jajek i kawałek wyschniętego sera. Na ganku stała skrzynia z dorszami, mogłabym usmażyć ze dwa, ale musiałabym po nie wyjść tylnymi drzwiami i obejść dokoła cały dom. Przerazała mnie myśl o błędzeniu w ciemnościach w sadzie. Usmażyłam dwa jajka, dodałam do nich trochę utartego sera i zjadłam wprost z patelni.

Marcin wrócił na krótko przed północą, zmęczony i zmarznięty. Miał na sobie brudną bluzę dresową z kapturem.

– Kurtkę i czapkę Konrada wyrzuciłem do śmietnika, a ten dres odkupiłem od jakiegoś pijaczka. Dałem mu na dwa piwa – wyjaśnił.

Żadne z nas nie pomyślało, że powinien wziąć ze sobą swoją kurtkę i czapkę.

Usmażyłam mu ostatnie cztery jajka i zrobiłam herbatę. Pił zachłannie, parząc sobie usta. Oboje milczeliśmy. Nie powiedział, gdzie zostawił dżipa, a ja nie pytałam. Nie opowiedziałam też o wizycie Henryki. Tyle złego się dziś wydarzyło, że jakakolwiek rozmowa o tym graniczyłaby z masochizmem. Potrzebowaliśmy psychicznego odpoczynku, nicniemówienia, niemyślenia, pograżenia się w błogiej nieświadomości.

Marcin odsunął pusty talerz i bez słowa wyszedł z kuchni. W sypialni rzucił się na łóżko, w ubraniu, nieumyty. Przykryłam go kocem i poszłam pod prysznic. Rano obudził nas sygnał komórki. Kaśka powiedziała, żebyśmy klucz powiesili pod daszkiem ganku, tam, skąd go wzięliśmy w dniu przyjazdu. Śmiała się, żartowała. Czekałam, aż zapyta o Konrada i o posadzkę w piwnicy, na szczęście nie zrobiła tego. Swobodna pogawędka na ten temat byłaby ponad moje siły.

Ubrana w gruby polar wyszłam na ganek. Wciągnęłam kaptur, podwinęłam rękawy i wzięłam się do patroszenia dorszy. Sprawnie manewrowałam ostrym nożem. Rybie łby i wnętrzności rzucałam przed schody. Po kilku minutach pojawił się rudy kot. Skradał się powoli, ostrożnie. Złapał w zęby jeden z łbów i oddalił się na trzy, cztery metry.

Z domu wyszedł Marcin, niosąc parującą kawę. Bez słowa wyciągnęłam po nią rękę. Przejął ode mnie nóż i odciął łeb kolejnej rybie.

– Wczoraj odwiedziła nas pani Henryka... – powiedziałam.

– Ona? Tutaj? Po jaką cholere?

– Przyjechała, by nam powiedzieć, że te szczątki to Staszek. – Wzięłam łyk kawy. – Karl go zabił – dodałam.

– A skąd ona to niby wie? Znów znalazł się jakiś tajemniczy list?

Zignorowałam ironię w jego głosie.

– Ona była kochanką Staszka – powiedziałam poważnie. – Nikt o tym nie wiedział, bo się ukrywali. Liczyła, że on się z nią ożeni, ale niestety. Czekala na niego parę lat, jednak gdy pojawił się tu ponownie, związał się z Sabiną.

– Ciekawe – mruknął.

Kolejny dorsz stracił głowę i wnętrzności, po czym spoczął w głębokiej misce.

– Wszystkie zabieramy? – zapytał Marcin.

– Zostawię dwie sztuki Kaśce, włożę do zamrażarki. Będzie miała na kolację. –

Kawa stygła, dopiłam ją szybko. – W piwnicy Karl ukrył złoto – ciągnęłam. – No wiesz, złote obrączki, pierścionki odebrane Żydom w obozie. Obiecał Staszekowi, że się z nim podzieli, więc przyjechali tutaj, żeby je wykopać. No i wykopali, ale Staszka nie zadowolilo tych kilka błyskotek. Liczył na więcej, miał przecież jechać

do Szwecji, kasa była mu potrzebna. Pokłócili się, Karl złapał za łom i walnął Staszka. To wszystko widziała Henryka. Z domowników tylko ona była obecna. A Karl zagroził jej, żeby o niczym nikomu nie mówiła.

– Uwierzyłaś w to? – Marcin wyprostował się na moment.

– Tak, uwierzyłam, bo to prawda. A wiesz, co jeszcze powiedziała? Że tamtego dnia, wraz ze złotem, wykopali jeszcze kościotrupa. To na pewno był ten uciekinier z obozu, o którym mówiła nam pani Anna. A zatem relacje obu pań uzupełniają się nawzajem i potwierdzają.

– A dlaczego ten babsztyl dopiero wczoraj wyskoczył ze swoimi rewelacjami?

Marcin był zły. Prawdopodobnie dopiero teraz odreagowywał wczorajszy dzień. Nikogo nie zabił, ale miał na sumieniu ukrywanie zbrodni. Nie próbowałam go uspokajać. Jeżeli teraz się trochę pozłości, może potem będzie mu lżej.

– Pani Henryce zależy po prostu, aby Staszek trafił na cmentarz pod własnym imieniem, a nie jako jakiś NN.

Mój mąż wbił nóż w drewnianą ławkę. Wyciągnęłam go z trudem i pochyliłam się nad kolejną rybą. Kot, ośmielony poczęstunkiem, wszedł na ganek i zaczął ocierać się o nogi Marcina. Niestety, nie zauważył, że człowiek, który przed chwilą rzucił mu rybi łeb, nie ma dzisiaj humoru. Odepchnięty gwałtownie kocur odbił się od ażurowej ściany ganku, a następnie kilkoma skokami uciekł na drugi koniec podwórza.

– Ja bym nie robił żadnego pogrzebu. Po co? Kaśka powinna zwyczajnie skremować te kości. Pani Dietrich też bym nie zawiadamiał.

– Może i masz rację, ale o tym niech decyduje Kaśka.

Czekałam, aż powie, gdzie zostawił dżipa, ale on milczał. Jeżeli nie zapytam teraz, nigdy się nie dowiem. Gdy wsiądziemy do samochodu, zacznie obowiązywać pakt niemówienia. Już otwierałam usta, ale Marcin wziął kubek po kawie i wszedł do domu. Po chwili wrócił z nożem, usiadł obok mnie i wziął się do patroszenia ryb. Może jednak lepiej, żebym nie wiedziała?

– Ty usmażysz dorsza, a ja nas spakuję – powiedziałam.

Zgodził się.

Gdy wkładałam do torby ubrania i krążyłam po pokojach w poszukiwaniu różnych drobiazgów, myślałam, że wracam do Gabrysi, do zwyczajnego życia. Jeszcze dzisiaj zajrzę do salonu, no bo przecież muszę rozplątać te nieszczęsne dredy, które namotała moja córka. Weszłam do łazienki. Z kosza wyjęłam pomarańczowy ręcznik kąpielowy, z półki zgarnęłam lakier do paznokci i grzebień. Nagle moje usta poruszyły się bez udziału woli.

– Zabiłam człowieka – usłyszałam krótkie zdanie.

Drgnęłam. Nie zamierzałam nic mówić! Czy tak już będzie zawsze? Pochylę się nad głową klientki i niespodziewanie wyszepeczę: „Jestem morderczynią”? A potem zobaczę w tafli lustra przerażone spojrzenie. Uśmiechnę się i dodam: „To

żart”. Co zrobić, żeby było mi łatwiej? Ale nie za tydzień czy miesiąc, lecz tu i teraz. Krzyczeć? Tak, krzyczeć, bo krzyk przynosi ulgę. I jeszcze walić głową w kafelki, bo ból fizyczny zagłuszy ten w duszy.

Nie krzyczałam, nie rozbiłam głowy o ścianę. Wyszłam z łazienki, bo zawołał mnie mąż.

Gorące kawałki dorsza parzyły mi usta. Jadłam szybko, siedząc na brzegu krzesła. Marcin wciąż stał przy patelni. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Wymaluj się. Wyglądasz jak upiór – powiedział chłodno.

Dotknęły mnie te słowa. Potrzebowałam psychicznego wsparcia, a nie złośliwości, w której, niestety, było wiele prawdy.

– Od razu widać, że kogoś zabiłaś. Żeby tylko policja nas nie zatrzymała, bo się nie wymigasz. Obrączki i na dołek.

Odsunęłam talerz z nieskończonym dorszem i bez słowa wyszłam z kuchni. Z torby wyjęłam kosmetyczkę. Nie mogłam w niej niczego znaleźć, wysypałam więc zawartość na łóżko. Pędzelek, cień do powiek i maskara. Usiadłam przed lustrem i przystąpiłam do makijażu. Nie zwracałam uwagi na płynące po policzkach łzy. Sprawnie nałożyłam śliwkowy cień na powiekę i rozprowadziłam go równomiernie.

Marcin położył rękę na moim ramieniu.

– Sorry – powiedział cicho.

Odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Boję się. Bardzo się boję, że będziemy nawzajem obwiniać się o to, co się stało. Ty mi nigdy nie wybaczysz, że go zabiłam, że nakłoniłam cię do ukrycia zwłok. A ja będę miała do ciebie żal, że akurat wtedy pojechałeś na te cholerne dorsze. Będziemy się zadręczać przez kilka lat, a potem się rozwiedziemy.

– To może rozwiedzmy się, kurwa, już teraz! Tego właśnie chcesz? – krzyknął, uderzając pięścią w drzwi szafy.

Jeszcze nigdy nie widziałam go tak rozgniewanego. Zaczęłam płakać, głośno, spazmatycznie. Marcin uderzył ponownie.

– Mnie też nie jest łatwo! – wrzasnął.

Nawet nie próbowałam pohamować łez. Pędzelek do makijażu i maskara leżały na podłodze. Schyliłam się.

– Mam dosyć tego miejsca. Zbieramy się! – powiedział Marcin, już nieco spokojniej, i wyszedł z sypialni.

Pośród rozsypanych na łóżku kosmetyków odszukałam mleczko do demakijażu. Wciąż płacząc, usiadłam przed lustrem i zaczęłam zmywać cień z lewej powieki.

Marcin ma rację, powinniśmy jak najszybciej stąd wyjechać. Po powrocie do domu będzie lepiej, musi być. Rzuciłam brudny wacik na toaletkę i przystąpiłam do pakowania kosmetyczki. Śpieszyłam się. Na siłę wciskałam pudełka, słoiczki

i tubki. Rozejrzałam się po pokoju. Na parapecie leżała ładowarka do komórki. Włożyłam ją do bocznej kieszeni torby. To wszystko, można iść.

– Ja już wychodzę! – zawołałam, mijając kuchnię.

Stałam na ganku i czekałam na męża. Zrobiło się przeraźliwie zimno. To chyba przez ten lodowaty wiatr od morza? Szkoda, że nie wzięłam kluczyków, schowałabym się w samochodzie...

Marcin pojawił się po kwadransie. Przekręcił klucz, a następnie powiesił go na gwoździu pod daszkiem. Każde z nas podniosło swoją torbę, zeszliśmy po schodkach. Rudy kot wyłonił się zza szopy i pożegnał nas przeciągłym miauczeniem. Powoli wyjeżdżaliśmy z podwórka. Odwróciłam się jeszcze i spojrzałam na dom: duży, z czerwoną dachówką i okiennicami. Upiorny dom, miejsce niejednej zbrodni. Oparłam głowę o zagłówek i przymknęłam oczy.

Wreszcie koniec urlopu.

Table of Contents

[ROZDZIAŁ I](#)
[ROZDZIAŁ II](#)
[ROZDZIAŁ III](#)
[ROZDZIAŁ IV](#)
[ROZDZIAŁ V](#)
[ROZDZIAŁ VI](#)
[ROZDZIAŁ VII](#)
[ROZDZIAŁ VIII](#)
[ROZDZIAŁ IX](#)
[ROZDZIAŁ X](#)
[ROZDZIAŁ XI](#)
[ROZDZIAŁ XII](#)
[ROZDZIAŁ XIII](#)